

**Barbara Rose Brooker**  
**Singielka/seniorka**  
**(niepotrzebne skreślić)**  
Przełożyła Maciejka Mazan

---



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

## **Singielka/seniorka (niepotrzebne skreślić)**

### **Spis treści**

Okładka Karta tytułowa Zajrzyj na strony: Dedykacja ROZDZIAŁ  
1 ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4 ROZDZIAŁ 5  
ROZDZIAŁ 6 ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8 ROZDZIAŁ 9  
ROZDZIAŁ 10 ROZDZIAŁ 11 ROZDZIAŁ 12 ROZDZIAŁ 13  
ROZDZIAŁ 14 ROZDZIAŁ 15 ROZDZIAŁ 16 ROZDZIAŁ 17  
ROZDZIAŁ 18 ROZDZIAŁ 19 ROZDZIAŁ 20 ROZDZIAŁ 21  
ROZDZIAŁ 22 ROZDZIAŁ 23 ROZDZIAŁ 24 ROZDZIAŁ 25  
ROZDZIAŁ 26 ROZDZIAŁ 27 ROZDZIAŁ 28 ROZDZIAŁ 29  
ROZDZIAŁ 30 ROZDZIAŁ 31 ROZDZIAŁ 32 ROZDZIAŁ 33  
PODZIĘKOWANIA O autorce Karta redakcyjna



*Dedykuję tę książkę, przesyłając wyrazy miłości, moim córkom, Suzy Unger i Bonny Lisie Osterman, a także Emilii Pisani, mojej błyskotliwej redaktorce, dzięki której ta książka ujrzała światło dzienne, oraz Davidowi Vigliano, najlepszemu agentowi na świecie. Największe wyrazy uznania dla moich studentów, którzy już jutro staną się pisarzami.*

## ROZDZIAŁ 1

*Gwiazdzista noc* van Gogha urywa mi głowę. Boże, te wirujące gwiazdy, dzikie emocje i pulsujące życiem kolory to jest coś. Kurde, nie ma nic lepszego niż sztuka.

No więc nazywam się Anny Applebaum. Mam sześćdziesiąt pięć lat i rubrykę o życiu osób dojrzałych w „San Francisco Times”. W tej chwili robię notatki do następnego tekstu w Muzeum Sztuki Współczesnej w San Francisco. Na ogół piszę o restauracjach, siłowniach, wydarzeniach kulturalnych i takich tam, ale mam nadzieję, że artykuł o sztuce będzie dla czytelników bardziej inspirujący.

Robi się późno, więc zbiegam po schodach do wielkiego marmurowego holu z fantastycznymi obracającymi się mobilami Caldera i wypadam na zewnątrz. Leje jak cholera, a ja zgubiłam parasolkę, więc przyspieszam, starając się nie wywrócić w moich skórzanych kozaczkach na ośmiocentymetrowych obcasach. Jest godzina szczytu i ludzie otwierają parasole, pędząc do tramwajów. Boże, jakie piękne to miasto, te góry wokół zatoki. Urodziłam się tu i nigdy nie mam dość widoków. Zupełnie jakbym mieszkała w szklanej kuli, którą się potrząsa.

Przemoczona do suchej nitki idę do Union Square, chcąc złapać najbliższy autobus, ale zaczyna lać jeszcze bardziej, a niebo przecina błyskawica. Wpadam do pierwszej lepszej kawiarni, postanawiając zostać w niej, dopóki burza nie minie.

Knajpka jest mała i przytulna. Przy stolikach siedzą nieliczni goście wpatrzeni w ekrany laptopów. Zdejmuję płaszcz i fedorę, otrząsam je z deszczu i zajmuję miejsce przy oknie. Zamawiam kawę i już mam się zabrać do notatek do felietonu, kiedy dzwoni komórka. To Monica, moja redaktorka. Piszę dla jej gazety od pięciu lat i przez ten czas dzwoniła do mnie tak rzadko, że wiem, iż na pewno coś się stało.

– Halo! – wołam kordialnie.

– Złe wieści – rzuca szybko Monica. Mówi przez głośnik i wyobrażam ją sobie z papierosem w ręce. – Gazeta coraz gorzej się sprzedaje.

– Jutrzejszy felieton będzie świetny – odpowiadam z przekonaniem. – Piszę o van Goghu i o muzeum jako miejscu, w którym seniorzy...

– Anny – przerywa mi Monica – nasi seniorzy noszą pampersy dla dorosłych. Nie mają pojęcia o jakimś van Goghu. Rynek dla nich w ogóle nie istnieje. Jeśli nie zmienisz podejścia i nie znajdziesz jakiegoś kontrowersyjnego tematu, będę musiała zrezygnować z twojego felietonu.

– Seniorzy piszą, że mają dość dyskryminacji ze względu na wiek – mówię, starając się nie okazać irytacji.

– Jeśli „San Francisco Times” traci pieniądze, to nie ma znaczenia! – odwarkuje Monica. – Żadnego. Nie mogę publikować polityki dla seniorów – piszesz głównie o swoich antywojennych poglądach i o tym, że świat jest porąbany.

– Raz napisałam, że według mnie wojna w Iraku to pomyłka i że seniorzy powinni przeciwko niej protestować.

– Nie jesteś Christiane Amanpour. Gdybyśmy chcieli politycznego komentatora, tobyśmy go zatrudnili. Prosiłam cię, żebyś stonowała swoje opinie. Napisałaś, że w Radosnym Sanatorium panują okropne warunki. Zadzwoiła do mnie właścicielka. Straszna menda.

Gryzę się w język, żeby nie powiedzieć Monice, że ja też jestem w grupie wiekowej, o której mówi, i nie podoba mi się jej ton, ale przecież nie chcę palić za sobą mostów.

– Nie znoszę etykiety seniorki, tak samo jak wszystkich innych: gej, hetero, starzec – sprzeciwiam się najłagodniej, jak potrafię. – Mam sześćdziesiąt pięć lat, ale nie uważam się za seniorkę. Jestem po prostu człowiekiem. Kiedy tylko skończysz pięćdziesiąt lat – i nie wyglądasz jak te kocice z Orange County<sup>[1]</sup> – zostajesz przypisana do kategorii zmurszałych staruszek. Chciałabym napisać o dyskryminacji ze względu na wiek. To dopiero kontrowersyjny temat.

– Dziewczyno, daj spokój. Nikt nie chce czytać o starości i seniorach zachowujących się jak John Travolta w *Gorączce sobotniej nocy*. Większość naszych staruszków przeszła wylew i

siedzi w fotelach na kółkach, zapakowana w pieluchy. Jeśli nie wymyślisz czegoś gorącego i kontrowersyjnego, będę musiała zwrócić ci wolność.

– Jasne. Bez urazy, ale masz dopiero trzydzieści osiem lat i nie doświadczasz dyskryminacji ze względu na wiek. No dobrze, coś wymyślę.

– Ej, Anny, wierzę w ciebie. Pracujemy razem od sześciu lat i lubię cię, ale ciągle muszę się tłumaczyć przed Bunny Silverman, która uważa, że ta gazeta to „New York Times”. Wymyśl więc coś, co sprowokuje gorącą reakcję. Muszę kończyć.

Odkładam telefon i wpadam w panikę. Cała się trzęsę. Szkoda, że nie mam papierowej torby; kiedy jestem zdenerwowana, oddycham głęboko, trzymając ją przy ustach. Teraz robię to samo z papierową chusteczką. „O Boże, błagam, nie mogę stracić tej pracy. Potrzebuję pieniędzy. Mimo renty i emerytury, a także czasem dochodów ze sprzedaży obrazów, ledwie wiązę koniec z końcem. Jestem sześćdziesięcioletnią rozwiedzioną, niedosypiającą felietonistką bez grosza przy duszy. Ale pragnę sławy, bogactwa i prawdziwej miłości. I mam powyżej uszu ludzi, którzy mi powtarzają, że jestem na to za stara. Wiek nie ma nic do rzeczy, gdy chodzi o marzenia”.

Odkąd pamiętam, chciałam być pisarką. Nawet wyobrażałam sobie, że jestem sławną dziennikarką, jak na przykład Diane Sawyer, i stoję w deszczu w jakimś zapomnianym przez Boga kraju, podczas gdy za moimi plecami wali się świat, a potem biegnę do redakcji, żeby to wszystko opisać. Czasem trudno mi pogodzić się z myślą, że minął taki kawał życia, a mnie nie spotkało nic istotnego.

Zamawiam kolejną kawę i przyglądam się, jak trolejbusy suną w górę ulicy. Przypominam sobie lata, kiedy pracowałam nad powieścią – którą po wyjściu za mąż odłożyłam do szuflady – i kończyłam pracę dyplomową z twórczego pisania. Potem, po rozwodzie, prowadziłam w darmowych gazetkach rubrykę o aktualnościach, handlu nieruchomościami i restauracjach. Ledwie wiązałam koniec z końcem, aż pięć lat temu udało mi się podbić

serce Moniki – wpadłam do jej gabinetu z listą artykułów na temat seniorów i gadałam tak długo, aż powiedziała: „Wyluzuj. Zatrudniam cię. Podobają mi się twoje pomysły”.

Patrzę na strugi deszczu na szybach, wspominając ten dzień, kiedy Donald oznajmił, że chce się rozwieść. Znalazłam w kieszeni jego garnituru viagrę, a kiedy zażądałam wyjaśnień, przyznał, że uprawia seks z Conchitą, naszą dwudziestoletnią gosposią, i dodał, że odchodzi. Przed sądem zeznał, że jest bankrutem bez środków do życia. Dostałam więc skromne alimenty i przeprowadziłam się do mojego obecnego mieszkania w San Francisco. A Donald tuż po rozwodzie ożenił się z Conchitą. Mają dwóch synów. I nadal nie zadzwonił do naszej córki Emily, która ma czterdzieści jeden lat, ale wciąż czeka na telefon od niego. Smutne to wszystko. Żal mi jej. Nigdy nie poświęcaliśmy jej zbyt wiele uwagi – ja zawsze malowałam, pisałam albo marzyłam o karierze, Donald był zajęty kancelarią i kupowaniem nieruchomości. Emily szybko musiała dorosnąć.

Deszcz ustaje. Płacę rachunek. Chcę złapać autobus o piątej; zamierzam dziś jeszcze popracować nad pudełkami. Mam na ich punkcie świra. Zbieram je na budowach, a potem tworzę w nich małe światy – miniaturowe kompozycje, które są inspiracją dla moich obrazów. Ale ostatnio utknęłam, gdyż to zajęcie zaczęło mi się wydawać nudne.

Zapinam czarny skórzany płaszcz i wybiegam na zewnątrz. Pędzę pod górkę na Sutter Street, gdzie łapię autobus.

Wciskam się w tłum, usiłując zająć wolne miejsce z przodu.

– E, nie tak szybko – mówi pryszczaty chłopak w śmierzącej parce, wyprzedzając mnie. Przez chwilę stoję wstrząśnięta, potem przeciskam się na tył autobusu i tam znajduję miejsce przy oknie.

Autobus wlecze się powoli pod górkę, mijając rzędy wiktoriańskich budynków w landrynkowych kolorach. Przyglądam się swojemu odbiciu w szybie, zastanawiając się, czy wyglądam staro. Mam podkrążone oczy, a moje brązowe włosy do ramion zwisają smętnie. Nie tak jak w reklamach szamponu, gdzie loki



dziewczyn powiewają na wietrze jak jedwab. Właściwie co to jest starość? W tym kraju stary jest każdy, komu stuknęła dwudziestka. Zamykam oczy, przypominając sobie, jak tydzień temu byłam w domu Emily. Moja córka mieszka w Berkeley ze swoim partnerem Harrym, pięćdziesięcioletnim architektem, i ich czarnym labradorem Fredem. Zachęcali mnie do zarejestrowania się na portalu randkowym, żeby kogoś poznać. „Zanim się zestarzejesz i trafisz do domu opieki” – przekonywała mnie Emily. Ale zaprotestowałam, argumentując, że nie chcę poznawać ludzi przez internet. Emily zawsze martwi się o mnie i radzi, jak mam postępować, doprowadzając mnie tym do szału.

Od czasu rozwodu nieczęsto wychodzę z domu; spotykam się jedynie z moimi przyjaciółkami Janet i Lisą – rozmawiamy przez telefon co wieczór i wszystko sobie mówimy – i sąsiadem z bloku Ryanem McNallym. Ryan jest dziesięć lat młodszym ode mnie, nagradzanym fotografem z „National Geographic”. Spotkaliśmy się dziewięć lat temu w pralni, gdy oboje czekaliśmy, żeby wyjąć ubrania z suszarki. Zaczęliśmy rozmawiać i nagle niespodziewanie opowiedziałam mu o swoim niedawnym rozwodzie. On wyznał, że jest wdowcem. Zaprzyjaźniliśmy się i kiedy Ryan nie wyjeżdża służbowo, chodzimy do kina, muzeum, na wernisaże i często wzajemnie oceniamy swoje prace. On dobrze się zna na sztuce i kocha ją tak samo jak ja. Weekendy spędza w swoim wiejskim domu w Sebastopolu, gdzie hoduje kwiaty.

Autobus staje na Broadwayu i wysiadam. Zrobiło się już ciemno, na niebie pojawił się księżyc. Idę dwie przecznice, które dzielą mnie od domu; zatrzymuję się przed krzakami róż na trawniku i wspominam, jak dwa miesiące temu Ryan przed wyjazdem do Holandii ściał dla mnie te różowe i poradził, żebym skróciła im łodygi pod wodą, zanim włożę je do wazonu.

Przebiegam przez mauretański hol, mijam sztuczny wodospad i wspinam się po nierównych schodach do mojego mieszkania, wdychając słodkie zapachy perskich potraw i chińskiego jedzenia na wynos. Mijając puste mieszkanie naprzeciwko mojego, myślę, że nie chciałabym umrzeć samotnie

na sofie tak jak biedna pani Nelson, której ciało wywieziono w czarnym foliowym worku na oczach wszystkich sąsiadów.

Otwieram drzwi, gotowa stawić czoła nocy.

<sup>[1]</sup> Reality show pod tytułem *The Real Housewives of Orange County* (przyp. red.).

## ROZDZIAŁ 2

Już prawie północ, a ja nie mogę zasnąć. Po przygotowanej naprędce kolacji złożonej z sardynek i krakersów oraz obejrzeniu paskudnych informacji w CNN przebieram się w pochłapane farbą dzinsy i roboczą koszulę. Związuję sięgające mi do ramion włosy w koński ogon i puszczam salsę. Nie potrafię pracować bez muzyki. Przygotowuję paletę i układam przybory malarskie.

Zaczynam pracować nad Romantycznymi Pudełkami – akrylowymi pudełkami po butach, które znalazłam w Chinatown. Teraz wypełniam je kartkami z wierszami i płatkami róż. Pod ścianami czekają wielkie blejtramy, które Ryan pomógł mi naciągnąć. Są też Wiszące Pudełka – z miękkiego plastiku, które znalazłam w sklepie z magicznymi akcesoriami, zwisające na cienkich zapętlonych sznurkach. Malowanie mnie fascynuje. Dzięki tym obrazom lepiej widzę rzeczywistość, potrafię określić, czego nie wiem albo nie mogę powiedzieć. To zdumiewający proces. Przez kilka lat miałam agentkę, i choć nie uważam mojego malarstwa za dochodowe, to jednak marzę, że pewnego dnia urządzę własny wernisaż.

Mieszkanie nie jest duże, ale sufit znajdujący się na wysokości pięciu metrów daje złudzenie przestrzeni. Szklane drzwi oddzielają salon od maleńkiej kuchennej wnęki i jadalni, którą przerobiłam na atelier. Kilka lat temu Ryan pomógł mi zrobić półki na książki, farby i płótna. W kolorowych meksykańskich wazonach z pchłego targu w Marin kipią herbaciane róże. Bez względu na stan finansów co tydzień jeżdżę na targ i kupuję te kwiaty. Na długim białym stole pod ścianą stoją oprawione w ramki zdjęcia Emily, Ryana i innych przyjaciół.

Wiercę w pudełkach dziurki i wprowadzam przez nie małe żaróweczki, które podświetlają od spodu przezroczyste pojemniki. Potem pracuję nad Ślubnym Pudełkiem – kwadratowym, z papier mâché, z ażurową przykrywką. Chcę, żeby odzwierciedlało dziewiczą miłość. Zanurzam pędzel w białej akrylowej farbie wymieszanej z suchymi kwiatami i maluję. Przez następną godzinę przyklejam w dziurkach na wieczku perełki.

W pokoju zrobiło się zimno. Zamykam okno. Z nieba leją się potoki deszczu. Ładne żółte listki przyklejają się do szyb jak mokre gwiazdki; spod kół samochodów mknących przez wyziębione, mokre ulice bryzgają fontanny wody.

Nie lubię zasypiać w bałaganie, więc myję pędzle, wkładam je do puszek po kawie do wyschnięcia, wrzucam tubki z farbami do wielkiego plastikowego kubła, który trzymam pod biurkiem. W końcu wkładam sterty „New Yorkera” i „New York Timesa” do wiklinowego kufra, usiłując zachować w moim zagraconym mieszkanku coś w rodzaju porządku. Opracowałam własną metodę wprowadzania ładu według kolorów, jeśli chodzi o pędzle, płótna i inne rzeczy, chociaż tak naprawdę uwielbiam chaos – inspiruje mnie – a zbyt pedantyczny porządek podcina mi skrzydła.

Przeciągam się i zerkam na kolorowe zdjęcie Ryana, które zrobiłam parę miesięcy temu, przed jego wyjazdem do Holandii. Przycina róże. Pochyla się nad nimi, muskularny i wysportowany, a słońce rozświetla jego przetykane srebrem kędzierzawe włosy. Obok stoi fotografia Emily i czarnego labradora Freda.

Jeśli nie liczyć odgłosów coraz rzadziej przejeżdżających za oknem samochodów i od czasu do czasu wycia syreny, w budynku panuje cisza. Nagle czuję się bardzo, bardzo samotna i zastanawiam się, czy tak będzie już do końca mojego życia. Czasami nawiedzają mnie koszmary, że mam wylew i Emily wysyła mnie do domu starców, a tam siedzę w korytarzu, z brudnymi włosami, w grubych okularach i się ślinię, a na kwiecistym tandetnym szlafroku mam przyklejoną kartkę z moim imieniem. Dygocząc, otulam się starym czerwonym szalem, który wiele lat temu zrobiła mi Emily, i myślę, że może rzeczywiście powinnam skorzystać z serwisu randkowego. Moja córka często zachowuje się jak moja matka i równie często ma rację. Troszczymy się o siebie nawzajem.

Zresztą w czym problem? Teraz wszyscy siedzą w sieci, więc dlaczego by się nie zarejestrować na portalu randkowym? Kto się dowie?

Na tę myśl biegnę z nową energią do biurka.

Loguję się na serwisie randkowym JDate, rejestruję się i zgodnie ze wskazówkami opłacam tylko trzy miesiące. Wpisuję nick: LadyAnny. Potem wypełniam kwestionariusz, w którym wpisuję, że preferuję mężczyzn od pięćdziesięciu pięciu do dziewięćdziesięciu lat, nie interesuje mnie małżeństwo, nie palę i jestem zwolenniczką liberałów. Następnie zamieszczam tekst:

„Sześćdziesięcioletnia felietonistka szuka zabawy i romantycznych chwil z mężczyzną, który jest wykształcony, ma poczucie humoru i nie boi się deszczu. Odważ się. Wiek nie ma znaczenia. Skontaktuj się ze mną”.

Na koniec wklejam najnowsze zdjęcie, które widnieje w mojej rubryce z felietonem.

Po otrzymaniu maila potwierdzającego, że zostałam oficjalnie członkiem JDate, przejęta tym faktem, przez godzinę przeglądam zamieszczone na portalu zdjęcia, zaskoczona ogromną liczbą mężczyzn powyżej sześćdziesiątki. Tylko że większość z nich chce poznać kobietę „do czterdziestki, rozmiar trzydzieści sześć, wysportowaną, niezależną finansowo”. Parskam śmiechem, czytając ich nicki: Twardy Wacek, SuperSam, Mocny Harry – i patrząc na zdjęcia astronautów, szefów kuchni, mężczyzn na jachtach rybackich trzymających ogromne ryby. Inni uwiecznili się na polu golfowym lub obok samolotów. Mają zacheski, niektórzy są ubrani w szorty albo fraki, a wszyscy wymieniają pełną listę tytułów i zawodów: doktorzy, prawnicy, miliarderzy, maklerzy inwestycyjni.

Klikam na profile sześćdziesięciosześcioletniego wdowca i projektanta łodzi, terapeuty, który napisał książkę *Szczęśliwe kobiety*, oraz siedemdziesięcioletniego przystojnego mężczyzny – wysokiego, smukłego, w narciarskim stroju, stojącego na szczycie góry w takiej pozie, jakby był jej zdobywcą. Wybrał sobie nick Wielki Człowiek. Napisał, że ma siedemdziesiąt lat, handluje z powodzeniem diamentami i pragnie romantycznego DŁUGOFALOWEGO ZWIĄZKU Z DOJRZAŁĄ, inteligentną i niezależną kobietą. Podoba mi się to o dojrzałości. Piszę do niego maila z propozycją spotkania.

Następnego ranka włączam komputer, chcąc jak najszybciej sprawdzić swój profil w JDate. Loguję się, otwieram maila i ze zdumieniem widzę, że handlarz diamentami odpowiedział.

Czytam:

„Droga Anny. Nazywam się Marv Rothstein. Chciałbym się z Tobą spotkać w piątek o wpół do siódmej wieczorem w Harris Cocktail Lounge. Proszę o potwierdzenie. Będę w ciemnym garniturze. Sam cię znajdę”.

Zaskoczona tak szybką odpowiedzią wpisałam jego nazwisko w Google i okazało się, że to słynny na całym świecie handlarz diamentami, którego firma ma filie w Afryce Południowej, Belgii i Francji. Jego klientami są same sławy, od gwiazd filmowych i celebrytów po polityków. Co taki mężczyzna robi na serwisie randkowym? Ale dochodzę do wniosku, że warto mu poświęcić trochę czasu.

Piszę: „Nazywam się Anny Applebaum. Do zobaczenia o wpół do siódmej. Będę ubrana na czarno. Mam długie ciemne włosy z pasemkami i jestem wysoka. Cieszę się na spotkanie, Anny”.

### ROZDZIAŁ 3

Następnego dnia w południe siedzę w restauracji w Macy's z Janet i Lisą. W tym wielkim, przypominającym stołówkę wnętrzu pachnie enchiladą, a ludzie, którzy przyszedli tu na zakupy, stoją w długich kolejkach po jedzenie. Janet ma przerwę obiadową, a Lisa chwilę wolnego między kolejnymi spotkaniami z klientami.

– Sześćdziesięciolatkiem to koszmar – oznajmia Janet, jedząc kanapkę z indykiem. – Albo noszą w portfelu zdjęcia ubranych w bikini żon, które już dawno nie żyją, albo są tak skąpi, że musisz maszerować dwadzieścia kilometrów do miejsca, gdzie zaparkowali samochód.

Janet ma na sobie ciemnogrnatowy chanelowski kostiumik. Włosy – niegdyś miedziane, teraz ufarbowane na jaśniejszy odcień rudości – spięła w kok na czubku głowy. Ma niedoskonałą, ale mimo to piękną twarz – wydatny nos i przenikliwe ciemne oczy, a także pełne czerwone usta.

– Jesteś bystra – mówi Lisa. – Znajdziesz jakiś pomysł na felieton. – Lisa jest drobniutka – nosi rozmiar trzydzieści sześć – ma jasne włosy i ciemne inteligentne oczy. Na szarą marynarkę od Armaniego zarzuciła apaszkę od Hermès. Obok postawiła turkusową torbę Birkin.

Janet, rozwiedziona od trzydziestu lat, jest kierownikiem działu sprzedaży u Chanel w Macy's. Poznałyśmy się dziewięć lat temu, kiedy kupowałam szminkę i zgadałyśmy się, że mamy córki w tym samym wieku, a nasi mężowie nas opuścili, i się zaprzyjaźniłyśmy. Janet wychowała się w sierocińcu i zawsze musiała zarabiać na siebie. Potem spotkałam Lisę Berman na przyjęciu dla wolontariuszy oprowadzających wycieczki po muzeum i połączyła nas miłość do de Kooninga i Picassa. Lisa ma sześćdziesiąt dwa lata, jest wdową – jej mąż zmarł na zawał serca dziesięć lat temu – i bardzo cenioną agentką handlu nieruchomościami. Ma żonatego syna i wnuka.

– Prawie w ogóle dzisiaj nie spałam, bo surfowałam po JDate.com – oznajmiam ciekawa ich reakcji. – W piątek wieczorem mam randkę. Spotkamy się u Harrisa na kolacji. Ma

siedemdziesiąt lat, jest bogaty i działa w handlu diamentami.

– Oho! Kochanie, nie żałujesz sobie! – woła Janet. – Ci staruszkowie, z którymi ja się umawiam, zabierają mnie na pizzę. Połowa z nich nosi pieluchy, a kaszląc, puszczają bąki. Jeśli idą za szybko, sikają w spodnie. Połowa łyka viagrę i cały boży dzień ma wzwód. Chrupią ExtenZe niczym cukierki i siusiaki rosną im od tego jak drągi.

– Tylko uważaj – mówi Lisa, podnosząc do ust mały kąsek sałatki z ekologicznych buraków. – Może to seryjny morderca.

– Żydzi nie bywają seryjnymi mordercami – warczy Janet – tylko prawnikami, lekarzami...

– I skąpiradłami – dorzuca Lisa i upija łyk mrożonej herbaty. – Pamiętajcie tego prezesa, którego poznałam na JDDate? Wszystko na wysoki połysk, kierowca, luksusowy apartament. Dał mi na urodziny złotego roleksa. A gdy tylko odmówiłam mu seksu, odebrał mi zegarek, należący zresztą do jego zmarłej żony. Szkoda, bo łączyła nas chemia.

– Chemia-sremia – mruczy Janet, wkładając do ust frytkę. – Jak się taki nie umie zachować, to wypad. Umawiałam się kiedyś z jednym bogatym kuśnierzem. Mieszkał w Royal Tower w farańskich luksusach, ale to straszne skąpiradło. Podawał kelnerowi zniżkową kartę w taki sposób, że bym nie widziała.

– Janet, tak naprawdę nie obchodzą mnie jego pieniądze...

– Może to ten jedyny – przerywa mi Janet z uśmiechem. – Musisz wyjść za mąż, zanim zaczniesz brać antydepresanty, dostaniesz protezę biodra i wylądujesz na rejsie dla samotnych serc na Alaskę. Wyjdź za niego, zanim twoją jedyną rozrywką stanie się niedzielna wizyta dzieci przynoszących jakieś beznadziejne kiczowate prezenty z supermarketu.

– Skończyłam już z małżeństwami – mówię. – Nie wiem, czy można wytrzymać z jednym mężczyzną aż do śmierci. To nie czasy Jane Austen. Mamy wybór.

– Jasne, możemy albo mieszkać samotnie, albo z jakimś piernikiem na viagrze – dodaje Janet.

– Amen – zgadza się Lisa. Zerka na salę i szepcze: – Janet



wcale nie żartuje z tymi lekami. Na świecie szaleje pokolenie viagry.

Janet marszczy nos z obrzydzeniem.

– Nawet największe niedojdy teraz mogą. Byłam z sześćdziesięcioośmioletnim tytanem ubezpieczeń. Gość ledwie dychał, ale kiedy tylko dotknęłam jego żalosnego jajka w rozmiarze groszku, od razu strzelił jak łoś w rui. Myrna Goldblatt wybrała się na rejs z takim jednym bogaczem, który tak się naźarł tego niebieskiego gówna, że się w sobie zaklinowali jak psy i trzeba było wzywać lekarza, żeby ich rozdzielił.

– O Boże – szepczę, usiłując się nie śmiać. – Biedactwo.

– Janet! – rzuca surowo Lisa.

– Rozchmurz się, skarbie. – Janet milczy przez chwilę, przyglądając mi się z natchnionym wyrazem twarzy. – Anny, musimy się zająć twoim wizerunkiem.

Lisa przytakuje.

– Jesteś wysoka i szczupła, ale trzeba ci zaaplikować botoks. I ubierasz się za bardzo w posthipisowskim stylu. Pozbądź się tej siwizny i zrób sobie złote pasemka. Niech się tobą zajmie Hasid, mój fryzjer. Zadzwońię do niego.

– Daj mi spokój! Dziewięć lat chodziłam na terapię i w końcu zaakceptowałam swój wygląd.

Obie przyjaciółki wzdychają zdesperowane, ale Janet nie daje za wygraną.

– Zobaczysz, zrobię cię na bóstwo.

Lisa musi wracać do pracy, a ja – pewna, że nie mam nic do stracenia – idę za Janet na górę.

Macy's to zoo. Z głośników ryczy muzyka. Na środku głównego piętra znajduje się stanowisko Chanel. Siadam na wysokim drewnianym stołku przed lustrem, a asystent Janet, Manuel, zmywa mi twarz wacikiem zwilżonym czymś ostro pachnącym. Manuel jest chudy jak żerdź, ma dziewiętnaście lat, nastroszone włosy i aroganckie spojrzenie małych oczu. Nosi się na czarno i rusza tak, jakby tańczył.

– Ma pani dobre mleczko? – pyta z mocnym hiszpańskim

akcentem.

– Nivea – odpowiadam pokornie.

– Bardzo źle! – gorszy się Manuel. – Zatyka pory. To dlatego ma pani taką ziemistą cerę. Trzeba ją złuszczyć. – Jego dwie asystentki, na oko dwunastoletnie, kiwają gorliwie głowami niczym grecki chór. Wokół nas zbiera się mały tłumek gapiów.

Janet przejmuje pałeczkę. Staje na przenośnych schodkach.

– A teraz, kochanie, najpierw nałożymy krem nawilżający. Cóż za zmarszczki! – gani mnie, cmokając. – Spójrz na moją cerę, jaka gładka. To dzięki nawilżaniu. Przy pierwszym spotkaniu mężczyźni myślą, że mam trzydzieści lat. – I dodaje ciszej: – Na noc przemywam twarz i wiesz-co oliwą virgin. Nasze wiesz-co się wysusza.

– Nawilżanie – powtarzam.

– Zamknij oczy, kochanie – rozkazuje Janet, owiewając mi twarz oddechem cuchnącym papierosami. – Teraz nakładam ci podkład, który zakryje te ciemne plamy i popękane naczynka. Paskudztwo. Skarbie, to ważne.

– Oczywiście.

Następnie Janet obrysowuje mi oczy kredką i nakłada na powieki szary cień, mamrocząc coś o „seksownym odymieniu”. Potem uczy mnie podstaw nakładania różu.

– Jasne. Tak zrobię.

– Kochanie, zachowuj się obojętnie – szepcze, ziejąc mi w twarz zapachem dymu. – Te pierniki uwielbiają suki. Podniecają się nimi. I nie dawaj mu na pierwszej randce. Niech myśli, że twoje wiesz-co jest ze złota.

– To tylko spotkanie – protestuję zawstydzona, bo krąg gapiów zacieśnia się coraz bardziej.

– Choć mam zwiędłe wiesz-co i farbuję siwiznę – szepcze Janet – zachowuję się tak, jakbym uważała ich za niegodnych mojego skarbu.

Wszyscy to słyszą. Oblewam się rumieńcem, mając nadzieję, że pod tą tapetą tego nie widać. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię.

Janet kończy i podstawia mi pod nos lusterko, żebym oceniła rezultat. A mnie on naprawdę się podoba.

– Pięknie. Dziękuję.

– Kochanie – mówi Janet, tuląc mnie do siebie – przygoda czeka za rogiem. Bądź wesoła. Bądź piękna. Rób pilingi. Pij wodę.

– Jasne.

– Ćwicz jęki. Oni uwielbiają, kiedy dochodzisz, rycząc jak napalony byk.

Wszyscy gapią się na moją twarz i słuchają Janet.

Manuel zaś rozplywa się z zachwytu nad moim „boskim” wyglądem.

– Weszła tu pani jako czupiradło, a wychodzi jako diwa.

Janet wrzuca mi do torby garść próbek Chanel. Znowu się ściskamy, wypadam na zewnątrz i wracam do domu taksówką. W głowie wirują mi rady Janet i Lisy oraz nadzieje związane z tym nowym, wspaniałym światem, w który wkraczam.

## ROZDZIAŁ 4

Jest piątek, a ja ledwie żyję. Za dwie godziny spotykam się z Marvem Rothsteinem. Nie do wiary, po raz pierwszy od czasu rozwodu idę na prawdziwą randkę. Przechodzi mnie dreszcz emocji, trzęsą mi się ręce.

Suszę włosy. Nadal są brązowe, ale wczoraj zrobiłam sobie złote pasemka, które zlały się z siwizną. Emily ciągle mantyczy, że jestem za stara na długie włosy, ale ja je kocham i wraz z upływem lat mam je coraz dłuższe.

Wygładzam kabaretki i wkładam buty na platformach w stylu Joan Crawford. Są czarne, z cienkimi paskami w kostkach i idealnie pasują do czarnej spódnicy za kolana.

Ostrożnie obrysowuję wargi czerwoną konturówką i wypełniam błyszczakiem Chanel. Wcieram trochę wazeliny w moje nadal ciemne i gęste brwi, a w końcu rozpylam obłoczek perfum Chanel i dwukrotnie się w nim obracam. Całość uzupełniam długimi do ramion srebrnymi kolczykami, kolia z tybetańskiego srebra i pierścionkami z bursztynem. Uwielbiam srebrną artystyczną biżuterię; kupuję ją na targach rzemiosła.

Jestem gotowa. Zapinam długą, dopasowaną czarną marynarkę i wygładzam ją na biodrach. Jeszcze raz obracam się przed lustrem. Dzwoni moja komórka; szybko ją odbieram, myśląc, że to Marv.

– O której po ciebie przyjeżdża? – pyta Emily. Słyszę oddech osoby stojącej przy drugim telefonie.

– Spotykamy się w barze koktajlowym u Harrisa.

– Niech po ciebie przyjedzie! – woła moja córka.

– Zgadza się – dodaje Harry z drugiego telefonu. Ma pięćdziesiąt lat, jest od dawna jej partnerem i pracuje w domu jako architekt. Zawsze podsłuchuje rozmowy Emily. Ale go lubię.

– Co wiesz o tym facecie? – pyta Emily napastliwie.

– Ma siedemdziesiąt lat, dwa razy rozwiedziony, ceniony handlarz diamentów, lubi podróżować po świecie. Ma syna w twoim wieku, także dwukrotnie rozwiedzionego. Na zdjęciu wygląda ładnie. Wydaje się wysportowany.

– Kiedy rozwiódł się z drugą żoną? – indaguje Harry.  
– Jeszcze nie wiem.  
– To zapytaj – radzi Emily. – Musisz uważać.  
– Miłość nie potrzebuje CV – odpowiadam.  
– Mamo! To hasło z głupiej pocztówki! – jęczy moja córka. –  
I nie mów o rozwodzie. Mężczyźni tego nie znoszą. Niech on  
gada.  
– Zgadzam się – potwierdza Harry.  
– I dobrze to rozegraj. Bądź niedostępna. Jeśli znowu cię  
zaprosi, powiedz, że nie masz czasu.  
– No przecież mam!  
– To po co nas pytasz o zdanie?! Zresztą nigdy nie słuchasz  
rad!  
– Emily tylko się o ciebie martwi – wyjaśnia Harry  
współczująco. – Chcemy twojego szczęścia.  
– Weź prezerwatywy – radzi Emily.  
– Co?! Nie uprawiam seksu na pierwszej randce. To mnie nie  
interesuje.  
Oboje wzdychają, potem słyszę jakieś szepty.  
– Co masz na sobie? – chce wiedzieć Emily. – Mam nadzieję,  
że nie te dziwaczne buty w stylu Joan Crawford. Harry przyznaje  
mi rację.  
– Tego nie powiedziałem – rozlega się głos z drugiej  
słuchawki.  
– Ubieram się, jak mi się podoba – oznajmiam.  
– Zadzwoń do mnie z samego rana – żąda moja córka.  
Rozłączam się i wracam do komputera, gdzie jeszcze raz  
sprawdzam profil Marva Rothsteina. Zrobił dyplom z zarządzania  
w Toledo State College. Stopniowo otwierał kolejne sklepy z  
brylantami i budował swoje imperium. Czytam: „Uwielbiam być  
dziadkiem. Kocham moją sześciolletnią wnuczkę. Przepadam za  
jazzem, sztuką współczesną i tangiem”.  
Zamykam komputer, zastanawiając się, czego atrakcyjny  
człowiek sukcesu szuka na JDate. Biorę torebkę i wychodzę z  
domu, myśląc, że pora się tego dowiedzieć.

Jest zimna styczniowa noc; księżyc świeci żółtym blaskiem, mgła faluje jak jedwab. San Francisco milczy, słysząc tylko syreny przeciwmgielne i szum wiatru. Restauracja znajduje się o parę kroków od mojego mieszkania, więc idę przez Van Ness Avenue, omijając dziury w chodniku i powtarzając sobie, że się nie przewrócę. Jeszcze tego brakuje, żebym przed pierwszą od lat randką złamała sobie biodro. W głowie gra mi zmysłowa muzyka, a skóra cierpnie z emocji.

Otwieram drzwi restauracji, cała rozdygotana, i wchodzę.

## ROZDZIAŁ 5

Stoję w progu, mrugając. Wzrok już nie ten, więc potrzebuję chwili, zanim się zorientuję w otoczeniu. Idę do baru i siadam w kącie, twarzą do drzwi. Naprawdę tu ładnie – to jeden z tych zwykownych lokali, w których barmani noszą muszki i potrzęsają shakerami, a z głośników sączą się dźwięki *Autumn Leaves*.

Przyszłam kwadrans za wcześnie, więc zamawiam ulubionego drinka: stoliczna z lodem i trzema zielonymi oliwkami. Ogarnia mnie błogość – po raz pierwszy od tygodnia zapominam o długach i problemach w pracy.

Punktualnie o szóstej trzydzieści podchodzi do mnie wysoki, smukły mężczyzna o zaczesanych do tyłu jedwabistych srebrnych włosach, odsłaniających rzymski nos i pochmurną, lecz przystojną twarz. Zachowuje się tak, jakby był właścicielem tego lokalu – zuchwały, władczy uśmiech, spojrzenie szybko omiatające całą salę. Ma na sobie elegancki ciemny garnitur w prążki, jasnobłękitną koszulę i jedwabny krawat w kolorze burgunda. Rany, niezły. Naprawdę ciacho. Natychmiast daję się zauroczyć.

– Anny?

– Marv, cześć. – Wyciągam rękę, myśląc, że jest przystojniejszy niż na zdjęciu – krzyżówka żydowskiego Clinta Eastwooda i Harrisona Forda.

– Zamówiłam sobie drinka – mówię spłoszona.

– Dołączę do ciebie. – Obrzuca mnie spojrzeniem ciemnych oczu i siada przy stoliku.

Niecierpliwie spogląda na czającego się nieopodal kelnera, wzywa go i zamawia Cutty Sark.

– Jesteś ładniejsza niż na zdjęciu – stwierdza, przyglądając mi się wnikliwie, jakby szacował wartość diamentu.

– Ty też – odpowiadam jak idiotka. Nie mogłam się powstrzymać, jestem totalnie zauroczona. Ale trochę mnie denerwuje ten jego wzrok. Mam wrażenie, że prześwietla mi duszę.

Gdy kelner przynosi drinka, Marv trąca swoim kieliszkiem mój.

– Za dzisiejszy wieczór – mówi jedwabistym głosem. Uśmiecha się, nie pokazując zębów. Wypijam wódkę jednym haustem i czuję szumek w głowie.

– Opowiedz mi o sprzedaży diamentów. To chyba fascynujące.

Niskim, modulowanym głosem, obszernie i z wielką pewnością siebie Marv opowiada o swojej drodze na szczyt i sprzedawaniu diamentów na całym świecie. Dzieli czas między Zimbabwe i filie w Belgii i Francji, kocha swoją pracę i zawsze szuka kamienia jeszcze czystszej wody niż te, które już znalazł.

– Nie ma nic piękniejszego niż idealny brylant – mówi z tęsknym spojrzeniem.

– A krwawe diamenty? – pytam ostrożnie.

Marv kręci głową.

– Kupuję kamienie na aukcjach albo od rekomendowanych osób. Wśród moich klientów są sułtani, modelki i gwiazdy kina. Ludzie, którzy kochają piękno i mogą sobie na nie pozwolić. – Upija łyk alkoholu, z wdziękiem trzymając kieliszek w dwóch palcach. – Dzięki diamentom mam wstęp do najwyższych sfer. Poznaje pięknych ludzi – dodaje marzycielsko.

Kiedy tak opowiada o klejnotach, podróżach i pragnieniu kupienia kopalni diamentów, myślę, że wszystko w nim mnie podnieca: dźwięk głosu, idealny węzeł jego krawata, wyprostowana sylwetka, szyk, elegancja, zapach jakiejś wyrafinowanej wody kolońskiej. Bije wszystkich na głowę.

– A czy brylanty naprawdę są najlepszym przyjacielem dziewczyny? – pytam nieco ciszej, dobrze wiedząc, że zaczynam flirtować.

– Dla większości kobiet – odpowiada z uśmiechem.

– Pewnie uważasz, że moja biżuteria jest niezbyt wyrafinowana – mówię, pobrząkując bransoletkami.

– Pasuje do ciebie. Jesteś artystką. – Marv robi pauzę i wpatruje się we mnie, prawie nie mrugając. – Lubisz sport?

– Nie znoszę.

– A ja uwielbiam. Jeżdżę na nartach we wszystkich miejscach



na świecie. Moja pierwsza żona Gisele była francuską mistrzynią narciarstwa. Rzuciła mnie dla trenera, zginęła w wypadku na stoku.

– Przykro mi.

– Dobrze wyglądasz jak na sześćdziesiąt pięć lat – mówi po chwili niezręcznego milczenia. – Nigdy nie spotykałem się z kobietą w twoim wieku.

– A to ci dopiero. Nie słyszałeś, że sześćdziesiątkapiątka to nowa czterdziestka?

– Jesteś bardzo atrakcyjna. Różnisz się od innych kobiet.

– Tak sądzisz?

– Ja to wiem.

– Dlaczego odpowiedziałeś na moje ogłoszenie? – pytam po długiej chwili.

Jego uwodzicielskie spojrzenie znika, twarz pochmurnieje.

– Zaciekawiałaś mnie. Sprawdziłem w Google i odkryłem, że piszesz felietony, a ja podziwiam kobiety, które coś osiągnęły. – Robi pauzę i przygląda mi się uważnie. – Moją drugą była żoną interesuje tylko gra w tenisa w brylantowej biżuterii i wyprowadzanie psa na spacer. Mieszka w Marin, w bajecznym domu, za który płacę. – Urywa i dostrzegam w jego oczach samotność i ból. – Pozostaliśmy przyjaciółmi.

– Aha – mruczę, myśląc, że może to typ „nadal kocham moją była”. Marv otwiera menu. Składa zamówienie, pytając, na co mam ochotę.

Odpreżamy się i zaczynamy rozmawiać nieco swobodniej. Wyznaję, że przez trzydzieści lat byłam mężatką, a od dziesięciu jestem rozwódką. Opowiadam też o córce – że mieszka w Berkeley z partnerem Harrym, ma piekarnię i nie wyszła za mąż. Marv słucha, ale nie komentuje. Potem mówi o swoim synu, a wtedy w jego oczach pojawia się światełko, zwłaszcza gdy wspomina o wnuczce.

– To mała dama. Zachwycająca. – Przez chwilę patrzy w dal, zatopiony w myślach. – A co ty robisz na JDate?

Waham się.

– Jak wszyscy – szukam miłości.  
– Miłości? Co to jest miłość?  
– Mówisz jak książkę Karol. Ja też mogłabym spytać, czego ktoś taki jak ty szuka na portalu randkowym, skoro najwyraźniej spotykasz mnóstwo osób.

Marv zastanawia się przez chwilę.

– Lubię przygody. Szukam następnego idealnego diamentu.  
– No, a ja wierzę w miłość – oznajmiam. Wiem, że bardzo się odślaniam, ale chcę, żeby znał moje prawdziwe uczucia.

Marv dotyka mojego policzka, nagle zadumany.

– Anny, kojarzysz mi się z walentynkami, martini w deszczowe popołudnie i pocałunkami pod rozgwieżdżonym niebem. Jesteś romantyczką. Nazwę cię Walentynką.

Kelner przynosi naszą kolację: duszonego w winie łososa i cienką jak nitki fasolkę szparagową. Marv je powoli, schludnie – a właściwie ledwie skubie jedzenie, większość odsuwa na brzeg talerza – tymczasem ja konam z głodu i muszę się bardzo hamować, żeby nie pożreć wszystkiego naraz. On nie spieszy się z jedzeniem, zachowując nieskazitelne maniery – jedną rękę trzyma na kolanie.

Przez całą kolację Marv monologuje o latach spędzonych we Francji, swojej miłości do tego kraju, szykownych Francuzach i ich życiu oraz o bajecznych restauracjach Paryża i tamtejszych wybornych daniach.

– W Europie nosi się piękne, szyte na miarę ubrania. Większość moich strojów kupuję we Włoszech.

Na koniec pijemy espresso. Dziwne, jak swobodnie czuję się z tym człowiekiem. Pytam, kiedy zaczął handlować diamentami.

Marv milczy przez chwilę, jakby nie wiedział, czy chce mi to zdradzić. Potem mówi, że jako czternastolatek pracował w sklepie jubilerskim swojego wuja Teda w Toledo.

– Byłem bardzo biedny i musiałem harować, żeby coś osiągnąć. Pewnego dnia do sklepu przyszła piękna młoda kobieta. Miała na palcu pierścionek z wielkim brylantem i była olśniewająca, i w tej chwili zrozumiałem, że chcę kupować i

sprzedawać takie brylanty. Znajdowanie rzadkich klejnotów to wyzwanie, a ja już wtedy to kochałem. Tylko to mnie obchodziło. No, i może śpiew.

– Interesujące – mówię poruszona jego wyznaniem, chłopięcą tęsknotą. – Ja zawsze chciałam być pisarką. Ale maluję. Mam agentkę i liczę na to, że kiedyś uda mi się zorganizować własny wernisaż. Pracuję nad portretami kobiet w pudełkach.

Przy naszym stoliku zatrzymuje się kwiaciarka z gardeniami. Ma ich cały kosz. Z głośnika znowu płyną dźwięki muzyki Cole'a Portera.

– Wezmę wszystkie – mówi Marv do kobiety i wrzuca jej do koszyka pięćdziesięciodolarowy banknot. Kwiaciarka owija kwiaty celofanem i podaje mi je.

– Dziękuję. – Wdycham słodką woń płatków. – Kocham gardenie.

Marv przygląda mi się, jakby podejmował jakąś decyzję. Potem zerka na zegarek.

– Chodźmy do mnie. Pokażę ci moje obrazy.

Zaskoczył mnie. Czuję, że oblewam się rumieńcem, kiedy tak stoję z bukietem gardenii, i myślę: „No dobrze, ten bogacz kupił mi kwiaty i postawił kolację, ale pójście do jego mieszkania oznacza zbyt wielkie zaangażowanie. Emily kazała mi być nieprzystępną”.

– Muszę rano oddać tekst. Nie dziś – mówię.

– Jasne, kiedy indziej – odpowiada nagle oficjalnym tonem.

Wstaję, lekko się chwiejąc. Kolano mi zeszywniało. Czasem, gdy podniosę się za szybko, tracę równowagę. Ale on bierze mnie za rękę i wychodzimy na dwór, gdzie parkingowy podstawia nam czarnego mercedesa kabriolet.

W samochodzie Marv włącza odtwarzacz i śpiewa zachrypniętym głosem wraz z Frankiem Sinatrą, jakby występował na scenie. Odchylam się, patrząc na księżyc podobny do barokowej perły, i nagle noc staje się upalna, jakby zbliżało się trzęsienie ziemi. Na światłach Marv bierze mnie za rękę i czuję mrowienie skóry, jakby łaskotały ją wyładowania elektryczne.

- Te gwiazdy wyglądają jak brylanty – szepczę.
- Wkrótce znikną – odpowiada ponuro.
- Gwiazdy są wieczne.
- Nic nie trwa wiecznie – mówi, ściskając mi dłoń.

Samochód zatrzymuje się przed moim blokiem. Marv odprowadza mnie do drzwi. Trzymam gardenie, idziemy powoli.

Na progu grzebię w torebce i wyjmuję klucz, którym otwieram drzwi. W świetle żarówki nad wejściem oczy Marva wydają się niemal orzechowe, a w jego gęstych ciemnych brwiach połyskują malutkie siwe włoski. Marv całuje mnie lekko w usta i sam smak jego warg sprawia, że brakuje mi tchu. Boże, rozkoszuję się tym pocałunkiem.

Marv się uśmiecha, jakby wiedział, co do niego czuję.

- Chcę to wkrótce powtórzyć, Anny.
- Ja też – mówię z łomoczącym sercem.
- Zadzwoń do ciebie.

Wbiegam do holu i pędzę po schodach.

Nie włączam światła, by przedłużyć tę noc. Mam wrażenie, że ktoś rzucił na mnie czar, że stoję na krawędzi bezdennej przepaści i staram się w nią nie wpaść. Nie do wiary, że to się naprawdę dzieje – ta magia, ta absolutnie oszałamiająca chemia. Wkładam gardenie do wielkiej czary z wodą i wdycham ich słodki zapach.

Siadam przy oknie na moim ulubionym skórzanym fotelu i patrzę na gwiazdy mrugające srebrem na ogromie ciemnego nieba. Zastanawiam się, czy Marv naprawdę myślał, że pójdę do jego mieszkania albo że się z nim prześpię. Czy aż tak wypadłam z obiegu, że zachowałam się jak głupia gimnazjalistka? Ale przecież nie jestem gotowa na seks. Nie wspominając już o jego obsesji na punkcie byłych żon. Mimo to jest w nim coś, od czego kręci mi się w głowie. To jego poszukiwanie piękna odsłania jakąś bezbronność, jakby był chłopcem marzącym o lśniącym nowiutkim samochodzie. Podobnie dzikiej chemii nie doświadczyłam od czasu pewnej imprezy czterdzieści pięć lat temu, kiedy poznałam Donalda i przetańczyłam z nim noc. „Będę

cię zawsze kochał” – powiedział wtedy mój przyszły mąż. Zawsze, czyli dopóki nie spotkał Conchity.

Na ulicach zamiera ruch. Ale gwiazdy nadal migoczą, a mnie serce bije mocno na myśl, że jutro wstanie nowy dzień i znowu zobaczę Marva.

Biorę łagodną aspirynę, wapno i lek na obniżenie cholesterolu i kładę się do łóżka. Słodka woń gardenii na nocnym stoliku drażni moje zmysły.

Otulam się starą puchową kołdrą i wyłączam światło. Uwielbiam nocną ciszę. A kiedy powoli zapadam w sen, nadal czuję na ustach jego pocałunki, serce mi drży i przeżywam uczucia, które już dawno pogrzebałam, śnię o motylach i zapachu gardenii.

## ROZDZIAŁ 6

„Boże, nie każ mi kochać Marva Rothsteina”. Minęły dwa tygodnie, a on nie zadzwonił. I choćbym nie wiem ile razy powtarzała sobie, że to padalec i nie jest dla mnie, nie mogę przestać o nim myśleć, obsesyjnie zastanawiając się, gdzie popełniłam błąd. Co chwila sprawdzam maile i wmawiam sobie, że wypadła mu jakaś podróż albo spotkało go coś nieprzewidzianego. „Pewnie wyjechał w interesach” – wyjaśniam dziewczynom i Emily.

Jest słoneczne popołudnie i spędzam je w psim parku w Berkeley razem z Emily, która wyprowadza Freda. Idziemy szybko, starając się nadążyć za zwierzakiem, który biegnie wzdłuż linii drzew, uganiając się za piłką. Emily – w czarnych legginsach, białym podkoszulku i tenisówkach – nie wygląda na czterdzieści jeden lat. Czarne jak węgiel włosy związała czerwoną wstążką w długi koński ogon. Przekrzykując wiatr, podaje mi swój najnowszy przepis na rożki. Jej piekarnia odniosła sukces i moja córka zdobyła dwóch nowych partnerów biznesowych.

– Nie słuchasz – rzuca, spoglądając na mnie z desperacją. Oczy ma czarne, a zadarty nos i pełne wargi bardzo przypominają mi jej ojca.

– Czekolada i rodzynki! – warczę. – Słucham.

– Ciągłe myślisz o tym padalcu Marvie. Mężczyźni, którzy cię podrywają i później nie dzwonią, to gady. Od dwóch tygodni snujesz się jak chora pensjonarka, czekając na ten głupi telefon. Nic nie trwa wiecznie, powiedział. Weź to sobie do serca. Przy nim nic nie trwa dłużej niż chwila. Odpowiedz na inne anonse. Znajdź człowieka, który nadaje się na męża.

– Nie chcę męża. Mam pracę.

– Felieton, który za chwilę wyleci – mówi moja córka ze współczuciem, jak rodzic słuchający nierealnych marzeń dziecka.

Znowu rzuca piłkę Fredowi. W drugiej ręce trzyma jego ukochane zabawki: szmacianą, niemiłosiernie pogryzioną kaczkę i oblaną masłem orzechowym kość.

– No ale przecież mógł wyjechać – upieram się, siadając na

ławce. Emily zajmuje miejsce obok mnie.

– Mamo, on ma komórkę. I z kim miałby wyjechać? Z byłą żoną?

– Nie. Tylko się przyjaźnią.

– Mamo, przecież wiesz, o co chodzi. Tak samo się zachowywałaś, gdy było jasne, że tata kogoś ma. Nie przychodził do domu, a ty go ciągle usprawiedliwiałaś. I nie uprawialiście seksu. Sama mi to powiedziałaś.

– Nie praw mi kazań.

– Chowałaś głowę w piasek. Mamo, chyba nie chcesz przez rozwód stracić szansy na poznanie kogoś cudownego. Pomyśl na przykład o Ryanie. Jest fajny, jest artystą. Macie wiele wspólnego.

– Tylko się przyjaźnimy.

– Przestań z tymi bzdurami. On jest wspaniały i uwielbia cię, to widać. Harry też go lubi.

– Przecież ma pięćdziesiąt cztery lata, a ja sześćdziesiąt pięć.

– I co z tego? Zawsze mówiłaś, że wiek nie ma znaczenia.

Marv ci się spodobał, bo wiesz, że jest nieosiągalny. Zawsze chcesz tego, czego nie możesz mieć, a nie chcesz tego, co ci się pcha w ręce.

– A jak ci się żyje z Harrym? – pytam po długiej chwili ciszy.

– Chcesz spytać, dlaczego Harry się ze mną nie ożenił?

– Tego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś.

– Mieszkacie razem od sześciu lat. Stuknęła ci czterdziestka, on ma ponad pięćdziesiąt lat. W czym problem? Dlaczego nie chce się z tobą ożenić? Ma fobię na punkcie związków? Skoro nie zdecydował się do tej pory, to już nigdy...

– Uspokój się! – krzyczy Emily, cała czerwona. – Zawsze naciskasz. Harry nie chce małżeństwa! Co w tym takiego świetnego? Myślisz, że chcę przechodzić przez to samo co ty?

– Przepraszam, Emily. Pragnę tylko twojego szczęścia. Czuję się winna, że tyle przeze mnie wycierpiałaś.

Moja córka zagryza wargę i spogląda na mnie błagalnie wielkimi wyrazistymi oczami.

– Mamo, nie chcę, żebyś się starzała w samotności. A gdy zachorujesz i będziesz robić pod siebie, a nikt ci nie pomoże?

Przyglądam się, jak szczotkuje Freda specjalną psią szczotką, przemawiając do niego w ich prywatnym języku. Robi mi się smutno. Przypominam sobie, jak w dzieciństwie z czułością czyściła arabskie konie ojca. I żałuję, że nie mogę się cofnąć w czasie, by jeszcze raz ją wychować, okazać jej więcej miłości, więcej troski. Odkąd zaczęłam terapię, wyraźnie widzę, że się od niej izolowałam, że istniały dla mnie tylko obrazy, pisanie i sny, że ją zaniedbywałam, tak samo jak zaniedbywała mnie moja matka. I zastanawiam się, czy dorosłe córki potrafią nawiązać z matkami prawdziwą więź, czy umieją zapomnieć o przeszłości.

Emily nalewa wody z plastikowej butelki do miski, którą wyjęła z torby, i wkłada do środka kostkę lodu. Fred chłepcze wodę, potem dostaje ciastko z masłem orzechowym. Idziemy w milczeniu do samochodu. Emily ma głowę uniesioną, ja spuszczoną.

W aucie nie rozmawiamy. Fred leży na moich kolanach. Docieramy do stacji szybkiej kolei, gdy zapada już zmrok. Emily daje mi torbę rożków.

– Zadzwoń, jak dotrzesz do domu – prosi.

Wysiadam z samochodu, a ona odjeżdża.

Zapada już niemal wieczór, kiedy wchodzę do mieszkania. Zapalam halogeny w korytarzu, które rozjarzają się z cichym pyknięciem. Emily wytrąciła mnie z równowagi, ale nie mogę przestać wspominać, jak całowałam się z Marvem. „Na pewno musiał wyjechać – wmawiam sobie. – Poza tym to była tylko jedna randka”.

Włączam stację z muzyką klasyczną, słucham Bacha i usiłuję się odprężyć. Potem robię sałatkę i oglądam wiadomości. Po kolacji próbuję popracować nad pudełkami, ale nie potrafię. W głowie wirują mi myśli, wspominam ostatnie słowa Marva, obiecującego, że zadzwoni, i zastanawiam się, dlaczego tego nie zrobił.

Siadam do komputera i opisuję moją randkę, usiłując



zrozumieć, co poszło nie tak. Odtwarzam każdy zapamiętany szczegół, każdą chwilę milczenia Marva, każdy jego gest. Na ogół jedynym sposobem wyrażenia przeze mnie uczuć jest ich opisanie.

*Siedzi wygodnie w fotelu swojego mercedesa z rozkładanym dachem i trzy razy powtarza, że te siedzenia są podgrzewane i że wspaniale jest mieć taki samochód.*

*Istotą jego ego są pieniądze. On kocha pieniądze i to wszystko, co może za nie kupić. Uwielbia doskonałość. Jest jak dziwny robak, który pełza po powierzchni ziemi, nigdy nie zapuszczając się w głąb. „Wkrótce znikną” – powiedział o gwiazdach. Czy naprawdę żyje tylko chwilą, a potem chowa się w swoich zamkach z brylantów i koneksji? Czy seks to dla niego miłość? A miłość oznacza seks? Czy te dwie sprawy kiedykolwiek występują razem?*

Potem piszę, jak wyglądał i co jadł. Nazywam go Panem X. *Pan X wchodzi takim krokiem, jakby był posiadaczem ziemi, po której stąpa, a ja momentalnie nie mogę złapać tchu. Mam wrażenie, że płonę, że moje serce się otworzyło. A on szuka następnego idealnego diamentu.*

*Pocałował mnie pod gwiazdami; miałam wrażenie, że mnie połyka. Słyszałam bicie jego serca i wiedziałam, że wystarczy jeszcze jeden pocałunek, a pójdę z nim do jego mieszkania i nie będę chciała już nigdy stamtąd wyjść.*

Przestaję pisać i raptem uderza mnie myśl: Pan X może być tematem mojego felietonu. Nadaje się idealnie. Jest inteligentny, odniósł sukces, nie rezygnuje z młodości. Zostanie wzorem dla różnych nieszczęsnych przedstawicieli pokolenia viagry – mężczyzn, którzy opychają się lekami na potencję jak cukierkami, sądząc, że dzięki nim odzyskają młodość, i którzy nie dopuszczają do bliskości. Tak, nic nie dzieje się bez powodu. Na pewno ta randka właśnie po to się wydarzyła. Tak miało być. To

spostrzeżenie dodaje mi sił, czuję ulgę i przyływ natchnienia.

Po następnych dwóch godzinach mój pierwszy felieton o Panu X jest gotowy. Zmieniam wygląd Marva – opisuję go jako niskiego mężczyznę o ciemnych włosach i powiększającej się łysinie. Relacjonuję szczegółowo naszą randkę, wspominając o drobiazgach, stroju Pana X, o tym, że wchodzi szybko, ale powłócząc nogami, i że często przerywa swoje barwne opowieści o podróżach, jakby się zastanawiał, czy ma ochotę mówić dalej. W ogóle każdy jego ruch wydaje się przemyślany. Opisuję jego wytworne maniery, doskonałą sylwetkę, urok. Kończę sceną pocałunku. „Zadzwoń do ciebie” – mówi mój bohater.

Drukuję tekst i robię ręcznie poprawki, a potem wprowadzam je do komputera. Podoba mi się energia tego mojego felietonu. Jest prawdziwa. Czuję przyływ nowych sił.

Piszę wyjaśnienie dla Moniki, proponując cykl artykułów o starszej kobiecie szukającej swojego Pana X. Miałoby się to nazywać *Kroniki viagry – cykl o miłości po sześćdziesiątce*.

Przesyłam oba teksty Monice. Gotowe. Już późno i w pokoju zrobiło się zimno.

Powoli się przeciągam. Czuję, że w mojej karierze właśnie nastąpił punkt zwrotny. Rozbieram się i natychmiast zasypiam. Śni mi się, że tańczę tango z Marvem. Mam na sobie czarną krótką sukienkę z dużym rozporkiem na udzie, a we włosach spiętych we francuski kok różową różę. Marv jest doskonałym tancerzem, ale ja depczę mu po palcach i za ciężko się na nim opieram. Jednak on trzyma mnie mocno i pewnie prowadzi w tańcu.

Następnego dnia z samego rana dzwoni Monica.

– Ten felieton o Panu X jest zabawny – mówi. – Uważam, że cykl o randkach starszych ludzi to świetny pomysł.

– Bardzo się cieszę. – Czuję ulgę i radość. Mam wrażenie, że wszystko znowu się zmieniło, i to na lepsze.

– Opublikuję to w przyszłym tygodniu. Zapomnij o modzie dla seniorów. To nuda.

– Zgadza się.

– Zdobądź Pulitzera dla naszej gazety.

- Jasne, zrobi się – odpowiadam ze śmiechem.
- Zabieraj się do pracy. Znajdź mi następnego Pana X.
- Tak jest.
- Nie możesz rozczarować swoich czytelników.

Rozłączam się, wchodzę na stronę JDate.com i otwieram maile, które przysłali mi inni mężczyźni. Czytam kilka z nich, postanawiając odpowiedzieć terapeutce i autorowi książki *Szczęśliwe kobiety*, a także mężczyźnie, który przedstawia się jako miliarder pragnący prostego życia.

Odpowiadam i czekam.

## ROZDZIAŁ 7

Minął tydzień i Ryan wrócił do domu z pleneru fotograficznego w Holandii. Umawiam się z nim na otwarciu wystawy jego przyjaciela Manny'ego Futza, kolegi z Chicago Art Institute. Jest wieczór i przyjeżdżam taksówką do Solar Gallery na Mission Street. Dziś się wystroiłam: włożyłam czarne błyszczące kozaki na szpilce, które znalazłam w second-handzie, czarną skórzaną kurtkę ze srebrnymi suwakami i dżinsy, na których namalowałam kwiaty.

Ryan wita mnie przy wejściu i ściska serdecznie.

– Anny, cudownie cię widzieć!

Całuje mnie w oba policzki.

– Ciebie też – mówię z radością. Jest ode mnie trochę wyższy – ma jakieś metr siedemdziesiąt cztery – ciemnozłote kędzierzawe włosy spływające mu aż na plecy i najbardziej błękitne oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Jest ubrany w czarną kurtkę, T-shirt, obcisłe dżinsy i jak zwykle motocyklowe buty.

Poprawiam fedorę i idę za Ryanem po kręconych schodach do galerii. Ten dawny magazyn – znajduje się nad znaną meksykańską restauracją i do środka napływa rozkoszny zapach potraw – to niemal trzysta metrów kwadratowych powierzchni i nierówne podłogi z szarego betonu. Wysokie industrialne okna wychodzą na zatokę i boisko. Nad potężnymi obrazami kołyszają się strategicznie rozmieszczone halogeny. W głośnikach dudni ognista muzyka latino, a w galerii roi się od zielonowłosych fanek sztuki, wystrojonych w sztuczne futra i z iPhone'ami w rękach. Bosko przystojni młodzi kelnerzy roznoszą szampana i czerwone wino w plastikowych kieliszkach. Ładne dziewczęta ubrane w czerń, z czerwonymi ustami, koralikami z gliny i kozakami na wysokich obcasach, stoją w grupkach, pisząc esemesy i rozmawiając przez komórki.

Po przywitaniu się z Mannym i złożeniu mu gratulacji wędrujemy z Ryanem od obrazu do obrazu. Wszystkie są ogromne i stanowią różne kompozycje kropek w kolorach juicy fruit. Ryan podchodzi bliżej do jednego z nich. Jego zgrabne, wyprostowane

ciało porusza się z gracją. Mężczyzna trzyma ręce w kieszeniach. Jest przystojny – w wielkomięski sposób. Ma w sobie coś eleganckiego, a jednocześnie mrocznego.

Stoimy przy sześciokątnej kompozycji zatytułowanej *Miasto w nocy*. Obok nas zatrzymuje się jakaś para.

– Kropki – mówi mężczyzna, zbliżając się do płótna. Ma ufarbowaną na rudo zaczeskę i wbił się w zbyt ciasną skórzaną kurtkę i za szerokie džinsy.

– Dużo tych kropek. Podobno dwadzieścia pięć tysięcy – zauważa jego towarzyska. Podchodzi bliżej i długim czerwonym paznokciem liczy kropki. Ma na sobie czarny podkoszulek, czarne legginsy i bluzę z logo Harvardu w tym samym kolorze. Jej drobna twarz jest bardzo blada, a usta – bardzo czerwone. – Ile w tym liryzmu...

– Kropki to kropki – odpowiada mężczyzna, wzruszając ramionami.

– To takie postmodernistyczne, takie...

– Postgówniane.

– Seurat malował kropki – broni się kobieta.

– Pointylizm – warczy jej towarzysz.

– Anny, co o tym sądzisz? – mówi Ryan ze śpiewnym irlandzkim akcentem i patrzy na mnie pytająco. Nad jego pełnymi, zmysłowymi wargami widnieje cienki wąsik. Ciemnozłote włosy opadają na czarny golf.

– Nie poruszają mnie tak jak van Gogh. Albo jak twoje zdjęcia dzieci z Etiopii. Te obrazy są... pretensjonalne – oznajmiam. – Sztuka dokumentuje życie. Zadaje pytania, wyraża stan ludzkiego ducha i nie powinna być tworzona dla bogatych mecenasów. Te kropki kojarzą mi się z tak wieloma artystami – Robertem Ryanem-Martinem, Royem Lichtensteinem...

– Właśnie. – W oczach Ryana pojawiają się iskierki wesołości. – Futz posługuje się kropkami, by opowiedzieć historię naszej kultury. On kpi ze świata sztuki.

– A mnie się nie podobają i już. To cyniczne spełnianie pragnień snobów, którzy muszą mieć na ścianie kropki, żeby

poczuć się ludźmi kulturalnymi.

Ryan parska śmiechem.

– Wyluzuj. Chodźmy coś zjeść. A potem obejrzę twoje pudełka.

Ramię w ramię wychodzimy w deszcz.

Po cudownie wesołym posiłku złożonym z makaronu idziemy do mnie. Robię kawę i proszę, żeby Ryan ocenił moje nowe prace.

– Podoba mi się ta siwa kobieta w szpilkach, która stoi w pudełku. – Ryan wskazuje oparte o ścianę średniej wielkości płótno. – Ma charakter. Jest świetna.

– Naprawdę? To coś nowego. Podoba ci się?

Ryan spogląda mi prosto w oczy.

– Nie jest krucha – ciągnie z zamyślonym wyrazem twarzy. Stoi tak blisko mnie, że widzę cienkie czarne obwódki wokół jego błękitnych jak chabry tęczówek.

– Sprawia wrażenie, że panuje nad wszystkim. Jest piękna, interesująca i seksowna. Zupełnie jak ty, Anny. Nie masz w sobie nic kruchego.

Jego spojrzenie mnie krępuje.

– Co to za cień? – pyta nagle Ryan, wskazując postać mężczyzny w rogu obrazu.

Rumienię się.

– Moja wyimaginowana miłość. Powracająca obsesja.

– To twoje obsesje sprawiają, że obrazy są interesujące.

Pracuj nad nimi.

– Zatem obsesje są dobre.

– Sam mam ich mnóstwo.

– Chętnie o nich kiedyś posłucham.

Potem Ryan opowiada mi o nowym nikonie, którego właśnie kupił, i różnych obiektywach, a ja wracam wspomnieniami do ostatniej zimy, kiedy męczył mnie ból w klatce piersiowej i myślałam, że to zawał. Obudziłam Ryana o drugiej w nocy, a on zawiózł mnie na pogotowie. Został ze mną, dopóki lekarze nie stwierdzili, że to tylko niestrawność, a potem odwiózł mnie do

domu, kojąc moje nerwy opowiastkami o swojej młodości w Irlandii.

– Pokażę ci, jak używać tych nowych obiektywów, Anny. Będziesz mogła robić lepsze zdjęcia... i może wykorzystasz je do swoich obrazów. – Ryan zdejmuje płachtę zasłaniającą kolejny obraz przedstawiający pudełka.

– Cudownie dziwne – mówi. – Zwłaszcza te papierowe motyle – jakby zrywały się do lotu – ciągnie w zamyśleniu. – Podobają mi się te cienkie igły zawieszane na złotych nitkach i malutkie wiszące pudełka z laleczkami.

– Wierzę, że prawda o nas istnieje w naszej podświadomości. Stamtąd biorę obrazy, które przedstawiam. Okradam siebie.

– Jeśli nie kradniesz własnej duszy... – mówi, przyglądając mi się uważnie.

– A kiedy tak się dzieje?

– Kiedy tylko obserwujesz i nie chcesz żyć własnym życiem.

– Napijmy się kawy – proponuję. Od jego przenikliwego spojrzenia robi mi się nieswojo.

Siadamy obok siebie na sofie, sącząc kawę, jedząc rożki i spokojnie rozmawiając. Ryan martwi się o zdjęcia bezdomnych psów zleczone mu przez pewne czasopismo. Chce uchwycić samotność tych zwierząt.

Opowiadam mu o swoim felietonie o Panu X, który ukaże się w przyszły czwartek.

– Moja szefowa się nim zachwyciła, a ja mam wielką nadzieję, że dzięki niemu moja kariera nabierze nowego tempa.

– Kim jest Pan X?

Waham się.

– To postać wzorowana na mężczyźnie, którego poznałam. – Opowiadam mu o randce z Marvem i mojej fascynacji. – Chciał mnie potem zaprosić do siebie, ale... no, przestraszyłam się. Znasz moją historię. W każdym razie bardzo mi się spodobał i wydawało mi się, że ja także mu się spodobałam, ale od trzech tygodni się nie odezwał. Może powinnam była się z nim przespać...

– Nie zwracaj sobie głowy draniem, który nie zadzwonił –

przerywa mi Ryan z rozdrażnieniem.

– Jest bardzo zajęty. Handluje diamentami wartymi miliony dolarów. Dużo podróżuje...

– Debil. Znajdź kogoś, kto zauważy, że jesteś cudowna.

– No tak. Po prostu chciałam ci o tym opowiedzieć.

Zastanawiam się, gdzie popełniłam błąd. Czy głupio się zachowałam, odmawiając pójścia do niego? On chciał mi tylko pokazać swoją kolekcję obrazów. – Robię pauzę. – Powiedział, że kojarzę mu się z walentynkami.

– Anny, zrobiłaś to, co dla ciebie dobre. Nigdy nie spuszczać z tonu. – Ryan waha się przez chwilę. – Wiesz, że ja bym do ciebie natychmiast oddzwonił?

– Pochlebiasz mi.

– Co o mnie sądzisz?

– Bardzo cię lubię, ale nigdy nie umiałabym myśleć o nas w taki sposób...

– Nigdy nie mów nigdy.

– Boże. Gadamy jak w filmie. – Śmieję się, żeby zagłuszyć nagłą ciszę, która zaległa między nami. Ale Ryan jest zamyślony.

Wstaje.

– Już późno. Muszę iść.

W drzwiach lekko się przytulamy.

– Kupiłem ci w Amsterdamie katalog van Gogha. Podrzucę ci go jutro.

– Dziękuję. Bardzo chcę go przejrzeć – mówię, wzruszona tym wyrazem pamięci. Zaskoczona jego wyznaniem odprowadzam go wzrokiem, gdy zbiega po schodach.



## ROZDZIAŁ 8

Marv nie dzwoni, ale wmawiam sobie, że to nie szkodzi. Mój pierwszy felieton o Panu X okazał się hitem. Niemal natychmiast zaczęły do mnie przychodzić maile od fanów. Kobiety po sześćdziesiątce opisują mi swoje spotkania z emocjonalnie niedostępnymi mężczyznami w rodzaju Pana X. Niektóre miały nadzieję, że ich zmienią. Nie posiadam się z radości. Monica też jest zachwycona i mówi, że *Kroniki viagry* naprawdę zyskują spore grono czytelników. Proponuje mi większą liczbę wierszy. Mam nadzieję, że moja rubryka stanie się sławna. Ale bez Marva nie mogę pisać o Panu X. Potrzebuję nowego materiału, nowych atrakcyjnych starszych facetów – więc zaczynam szukać ich na JDate. „Na świecie roi się od charyzmatycznych, seksownych, handlujących diamentami gości” – wmawiam sobie w nadziei, że zapomnę o Marvie Rothsteinie.

Wybieram mężczyzn po sześćdziesiątce, spotykanych w grupach wsparcia dla osób, które kogoś straciły, na pogrzebach i przyjęciach dobroczynnych. Wszyscy chcą mi udzielić wywiadu – i siedemdziesięcioletni scenarzysta, który wozi w samochodzie Emmy, nagrodę sprzed trzydziestu lat, i sześćdziesięcioletni spadochroniarz z Niemiec o jasnych, kędzierzawych włosach, kanciastej szczęce i niechęci do kąpielii. Spotykam się z nimi w Starbucksie lub na drinka. Większość tych sześćdziesięcioparolatków, nawet inteligentnych, szuka marzeń z młodości, czegoś, co przegapili w życiu. Jadą do Brazylii, żeby zrobić sobie lifting, kupują nowe samochody i chcą się umawiać z dwudziestopięcioletnimi szwedzkimi pokojówkami. Viagra ich rozzuchwaliła. Z różnych powodów zrezygnowali z seksu – aż tu nagle pojawia się niebieska tabletką i staruszkowie o niczym tak nie marzą, jak o rozsiewaniu nasienia. Jakie nasienie zostało siedemdziesięciolatkowi? Wiele osób ma wątpliwości, ale ja uważam, że wiek nie odbiera żadnych szans, a viagra jest jednym z największych odkryć ludzkości od czasów wynalezienia szczepionki na polio. Może po sześćdziesiątce sprawy w dobranym małżeństwie wyglądają inaczej – a może raczej, co bardziej

prawdopodobne, dobrane małżeństwa wyglądają inaczej od czasu pojawienia się viagry. Może zaczyna chodzić o seks, a nie intymność? A może o obie te sprawy.

Mój kolejny felieton, zatytułowany *Z zapartym tchem*, opowiada o sześćdziesięciodziewięcioletnim hipochondryku z bezdechem sennym. Najwyraźniej trafiam w czuły punkt, bo dostaję tony maili od starszych panów nazywających mnie wściekłą suką.

– No, to mamy kontrowersyjny temat – mówi Monica. Podnosi mi honorarium i dzięki temu udaje mi się zapłacić niektóre zaległe rachunki. Boże, uwielbiam pisać te felietony i uwielbiam być znana – sąsiedzi zatrzymują mnie na ulicy, obcy rozpoznają z fotografii w gazecie, a potem nawijają o moim artykule. Czuję, że żyję.

Piszę o dyskryminacji ze względu na wiek i o swoich przekonaniach. Notuję krótkie sprawozdania z moich spotkań, potem przerabiam je na felietony i nadaję im tytuły, na przykład: *Czy on nadal jest ze swoją byłą?*, *Zły chłopiec po sześćdziesiątce*, *Oprych czy opryszczka*. Większość mężczyzn, z którymi rozmawiam, chce mówić – z szokującą szczerością – o viagrze i swoim życiu erotycznym.

Oto Max, Maniak Higieny: ma siedemdziesiąt cztery lata, jest cenionym prawnikiem. Boże uchwyc, żeby ktoś mu zaplamiał jego nowy, lśniący czarny samochód. Max może godzinami się rozwodzić nad głośnikami, które kazał specjalnie zainstalować w swoim samochodzie. Kolekcjonuje auta i kobiety. Wygląda nieźle, szkoda tylko, że boi się zarazków. Nie dotknie menu, nie będzie z nikim jeść tego samego dipu. Jeszcze by coś złapał... Podkreśla, że zanim zacznie się kochać, ogląda dokładnie ciało kobiety, czy aby „nie jest zarażona”.

Mel Sknerus to sześćdziesięcioletni dziennikarz. Jego twarz pewnie kiedyś prezentowała się całkiem nieźle, ale teraz wygląda jak pyszczek gumowej żaby. Mel nosi kapelusz jak detektyw z lat czterdziestych i pachnące stęchlizną ubrania z second-handu. Nie ma samochodu, więc przyjeżdża autobusem, żeby zabrać mnie na

tani obiad w indyjskiej restauracji. Z ustami pełnymi ryżu bełkocze, że jego życie zawodowe to „kurna, ruina”. Jęczy, że „jedyne sposoby, żeby w moim wieku coś zarobić, to wygrać w lotto albo złamać biodro w supermarkecie”.

Stary Kretyn: Walter Blumberg ma sześćdziesiąt dwa lata i jest chirurgiem specjalizującym się w implantach penisa. Nosi tupecik, w którym wygląda, jakby chodził ze szczurem na głowie, i okulary o tak grubych szklach, że zmieniają mu oczy w mikroskopijne punkciki. Jest po trzech rozwodach i nie może znaleźć „odpowiedniej kobiety”. Choć spędził rok w więzieniu za niepłacenie podatków, stale powtarza, że w college’u zdobył tytuł Mistra Hrabstwa Orange, a kobiety nadal za nim szaleją.

– Jestem przystojnym lekarzem, który zarabia sporo pieniędzy, więc każda babka się za mną ogląda. Ale to staruszki. Moja kobieta musi mieć najwyżej trzydzieści dwa lata, inteligencję i świetne cyce – mówi. – W moim wieku nie poślubię jakiejś siwej babuleńki, która wyda moje pieniądze na implanty piersi, skoro i tak za dziesięć lat czekają ją pieluchy dla dorosłych. Ja pytam, kto mnie będzie zmieniał pieluchy? Kobiety chcą tylko naszych pieniędzy.

– Nie wszystkie – przerywam mu – a jeśli tak jest, to dlatego, że są dyskryminowane.

Walter patrzy na mnie jak na kosmitkę.

Jim Wilson to przystojny, sprawny siedemdziesięcioletni. Jeździ dziesięcioletnim fordem, ma wiele nieruchomości i jest wdowcem. Nosi rozciągnięte spodnie khaki i wymiętą koszulę. Przechwala się, że zachował na pamiątkę pierwszą zarobioną dwudziestopięciocentówkę, i mierzy mnie tak przenikliwym wzrokiem, jakbym była domem na sprzedaż.

– Mieszkasz w bloku czy domu?

– W wynajętym mieszkaniu – mówię.

– Ja wynajmuję na parę tygodni w roku dom w Meksyku i mam tysiąc akrów ziemi w Montanie. Szukam kobiety, która posiada własne nieruchomości. Nie chcę już odgrywać Świętego Mikołaja.

Przestaję pisać. Już prawie południe, a o drugiej mam spotkanie w Starbucksie z sześćdziesięciosześcioletnim owdowiałym projektantem jachtów, który niedawno się ze mną skontaktował. Dzwonię, żeby potwierdzić spotkanie. Natychmiast odbiera.

– Jak cię poznam? – pytam. – Nie zamieściłeś zdjęcia.

– Podobno wyglądam jak Clint.

– Klimt? Ten malarz?

– Eastwood – rzuca niecierpliwie. – Nie zamieściłem zdjęcia, bo nie chcę, żeby starsze kobiety mi się narzucały.

– Jasne – mówię. – No, ja będę ubrana na czarno. Jestem wysoka i mam długie brązowe, lekko siwiejące włosy.

Przybywam do Starbucksa godzinę przed czasem. Chcę jeszcze popracować. Staję w kolejce. Mężczyźni i kobiety, niektórzy w sportowych ubraniach i bejsbolówkach, zamawiają kawę. Ten Starbucks znajduje się tuż koło mojego mieszkania. Jestem tu codziennie po zakończeniu pisania i trzykilometrowym spacerze po Fisherman's Wharf, gdzie obserwuję łodzie i rybaków łowiących kraby w wielkie sieci. Uwielbiam przychodzące tu dzieci. Angela, ładna blondyneczka, która nieustannie się śmieje, macha do mnie.

– Cześć, Anny – mówi Justin. – To samo?

– Duże cappuccino bez cukru, z odłuszczonego mlekiem.

– Załatwione. – Justin pisze moje imię na kubku. To przystojny Afroamerykanin, mniej więcej dwudziestopięcioletni. Uroczy. Woła do Jessiki. „Kawa dla Anny!”, a ona do mnie macha. Jest drobniutka, jej czarne, lśniące, przycięte prosto włosy sięgają do brody. W przeszłości często dawała mi kawę za darmo. To studentka sztuki z Academy of Art. Na ścianie powiesili, oprawiwszy w ramki, mój artykuł zatytułowany *Seniorzy w Starbucksie*.

Znajduję stolik w głębi sali, przy oknie. Dziś mnóstwo osób jeździ na rowerach i przesiaduje na dworze, rozmawiając i pijąc kawę. Polk Street jest wąska, ma wyboiste chodniki i pełno na niej sklepów ze zdrową żywnością, drogich delikatesów i kawiarni,

wymieszanych ze starymi, nastrojowymi księgarniami, nad którymi znajdują się zaniedbane mieszkania. Autobusy wycieczkowe, niemal zbyt szerokie, by się tu zmieścić, powoli toczą się ulicą.

Spijam ze smakiem piankę z cappuccino. Pracuję nad tekstem następnego felietonu *Nawet brzydki faceci to dranie*, a potem robię nowe notatki. Szum młynka do kawy i głosy młodych ludzi wykrzykujących zza kontuaru imiona klientów mieszają się z sygnałami komórek i stukotem klawiatur.

Podnoszę głowę i dostrzegam przy ladzie kogoś tak samo wysokiego i szczupłego jak Marv. Serce mi łomocze. Ale po chwili mężczyzna się odwraca i widzę jego twarz. To ktoś obcy. Wracam do pisania. W końcu nieco po drugiej do kawiarni wchodzi wysoki, opalony mężczyzna, cienki jak frytka, z nastroszoną jasnobrązową czupryną. Zamawia kawę, potem bez wahania podchodzi do mnie i siada.

– Anny?

Kiwam głową.

– Dick Knight – mówi i bez żenady taksuje mnie spojrzeniem brązowych oczu. Uśmiecha się, odsłaniając zbyt równe i błyszczące zęby. Z bliska jego opalenizna wydaje się sztuczna. Dick ma pociągłą twarz i dziubek z włosów nad czołem.

– Znalazłem cię w Google – komunikuje, siorbiąc kawę. – Czytam w necie twoje felietony. Chyba jesteś zła na mężczyzn.

– Tylko na drani.

Dick śmieje się, jakby do nich nie należał.

Rozmawiamy o tym, co lubimy robić, jeść, oglądać, gdzie bywamy. Dowiaduję się, że mój rozmówca jest republikaninem z chrześcijańskiej partii konserwatywnej. Rozkręciwszy się, opowiada mi, jak „paskudne” było jego małżeństwo, i bębniąc pięściami w chudą pierś, powtarza, że teraz pora na *numero uno*.

– Moja żona była oziębła, a ja przez czterdzieści dwa lata znosiłem swój los – mówi i milknie na chwilę. – Jestem bardzo wrażliwym człowiekiem. Pragnę kobiety, która wygląda jak Pamela Anderson, ale ma rozum.

– Jasne – mruczę, myśląc jednocześnie, że ten felieton zatytułuję *Nieźle numero uno*.

– Nigdy nie byłem z kobietą w twoim wieku.

– Ojejciu. Mamy waginy i wszystko co trzeba.

Dick marszczy brwi i odwraca wzrok.

– Jak umarła twoja żona?

Na jego twarzy pojawia się bolesny wyraz.

– W salonie piękności, gdzie przedłużała sobie włosy.

Wstała, potknęła się o kabel i złamała biodro. Zawsze była niezdarna. Umarła z powodu komplikacji.

– Kiedy to było?

– Trzy dni temu.

Spoglądam na zegarek.

– O rety, mam tekst do skończenia. Muszę lecieć.

– Widać, że jesteś nerwowa – mówi Dick z wrednym spojrzeniem. – Ten brzydki kapelusz i malowane dzinsy...

– Noszę też wyszczuplające gacie – dobijam go i wstaję.

Później, w domu, piszę *Nieźle numero uno* i wysyłam Monice. Spisuję listę nowych pomysłów na felietony na temat wieku i dyskryminacji ludzi starszych. Mam kolejne maile od fanów. „Sześćdziesiątka to nowa czterdziestka, ale czy na pewno?” Piszę: „Czy to grzech, że dożyłam sześćdziesiątki? Czy nie wolno mi się cieszyć własnym wiekiem i tym, kim naprawdę jestem?”.

Dzwoni komórka, wyrywając mnie z zamyślenia. Nie odbieram, ale ona nie milknie. Nie rozpoznaję numeru, który mi się wyświetla, lecz dzwoniący nie rezygnuje, więc muszę skapitulować.

– Cześć, Anny. Tu Marv Rothstein.

Ściskam telefon z całych sił, serce mi łomocze, nie mogę oddychać.

– Dzwonię nie w porę?

– Yyyy... piszę – mówię, siląc się na niedbały ton.

– Chciałem do ciebie zadzwonić, ale nazajutrz po naszym spotkaniu wypadł mi nagle wyjazd do Zimbabwe w sprawie wyjątkowo doskonałego żółtego diamentu. Potem pojechałem do

Belgii, Londynu i Paryża. – Milczy przez chwilę. – Anny, myślałem o tobie.

Milczenie. Drzę.

– Zamierzałem przesłać ci kwiaty, ale nie wiedziałem, czy chcesz mieć ze mną do czynienia, skoro tak szybko uciekłaś. W każdym razie chciałbym się z tobą spotkać. – Znowu robi pauzę. – Możesz się wyrwać jutro wieczorem?

– No... tak.

– Umówmy się na kolację. Przyjadę po ciebie o ósmej. – I po chwili ciszy: – Tęsknię za tobą, Walentyńko.

Po zakończeniu rozmowy słaniam się na nogach. Wstyd mi, że zrobiłam z niego Pana X i obgadałam go przed Janet i Lisą, a jednocześnie fruwać z radości. Serce mi łomocze, jakby chciało się wyrwać z piersi. „O Boże, włosy – myślę. – Pójdę do Rose, żeby sobie zrobić fryzurę i na pewno manikiur... O rety! W co ja się ubiorę? A tak, w te nowe czarne spodnie i czarny golf. Prostota”.

Dzwonię do Janet. Odbiera po pierwszym sygnale.

– No więc znowu się z nim spotkam.

– Z kim?

– Marvem Rothsteinem.

– O, super!

– Trochę mi wstyd. Tak na niego gadałam, a kiedy tylko zadzwonił, lecę do niego. No i piszę o nim.

– Kochanie, nie rób sobie wyrzutów. Jest przystojny, bogaty i pewnie mu staje. Przestań się zadręczać.

– Już wiem, że będą z nim same kłopoty. Ma inne kobiety. Jestem tego pewna, a przecież nawet go nie znam.

– Znasz go na tyle, żeby o nim pisać. Skarbie, zyskasz pierścionek z brylantem, a reszta niech cię nie obchodzi. Zadzwoń do mnie po spotkaniu.

## ROZDZIAŁ 9

Można się było tego spodziewać. Marv przyjedzie za godzinę, a moje włosy ogłosiły strajk. Za nic nie chcą się ułożyć. Suszę je, usiłuję wygładzić, powtarzam sobie, że to tylko randka, wręcz spotkanie w interesach. Przecież ten mężczyzna zachowywał się tak, jakby świata poza mną nie widział, a potem nie zadzwonił. I proszę, co z tego wynikło. Mam felieton, który zyskuje coraz większą popularność, i moja kariera nabrała tempa. A to wszystko dzięki niemu.

Wyłączam suszarkę i zostawiam włosy rozpuszczone, przypinam tylko z boku spinkę z malutkim czarnym piórkiem.

Dzwoni telefon. To Janet.

– I co, nałożyłaś ten szary cień?

– Cień, krem nawilżający, perfumy, do wyboru, do koloru. Jestem gotowa.

– Dobrze, kochanie. Pokaż mu, że go lubisz. Facet ma forszę. Nie słuchaj tej marudy Lisy. Ciesz się, kochanie. – Janet wzdycha.

– Wczoraj umówiłam się z tym sześćdziesięcioletnim perskim hrabią, o którym ci mówiłam. Wspaniały. Uwodzicielski. Pachnie perfumami od Neimana Marcusa. Postawił mi kolację z winem w Scala's. Potem zawiózł mnie do swojego apartamentu w Ritzu-Carltonie. Aj, waj. Kiedy w końcu przychodzi co do czego, okazuje się, że gość ma malutkiego. Oraz alergię. Co sekunde szprycuje się jakimiś kropelkami i prychnie. Więc bądź zadowolona, że umawiasz się z ciachem.

– Zadzwoń do ciebie jutro – kończę ze śmiechem.

Jeszcze raz obracam się w mgiełce perfum Chanel i przyglądam włosy. Dokładnie o ósmej Marv dzwoni na moją komórkę. Czeka na dole. Sam dźwięk jego aksamitnego głosu doprowadza mnie do szaleństwa – i nagle żałuję, że włożyłam bawełniane majtki w motylki. Po rozwodzie nie czułam się szczególnie seksownie. Zaczęłam nosić gacie godne amiszki.

– Zaraz schodzę – mówię, starając się opanować drżenie głosu.

Zbiegam po schodach, zapominając o zachowaniu rezerwy.



Mocno trzymam się poręczy, żeby nie upaść, serce mi galopuje. Boże, oto on, mój Pan X, stoi obok swojego czarnego mercedesa i patrzy na mnie. Wygląda bardzo sztywnie, cały w czerni – czarny golf, czarny płaszcz, czarne dżinsy, zaczesane do tyłu srebrne włosy. Jego widok zapiera mi dech w piersiach. Marv prezentuje się lepiej, niż zapamiętałam.

– Cześć, Anny – mówi cicho; jego taksujące spojrzenie w ułamku sekundy rejestruje wszystkie szczegóły. Przytula mnie, mówi, że cieszy się, że mnie widzi, i kurtuazyjnie pomaga wsiąść do samochodu.

Włączamy się do ruchu. Tony Bennett śpiewa z głośników *I Left My Heart In San Francisco*. Noc jest zimna, ale pokryte futrem siedzenia są podgrzewane.

Sam fakt, że Marv siedzi obok mnie, podnieca mnie i odbiera zdolność oddychania.

– Podobno będzie padać...

– Ładnie pachniesz.

– Zielona herbata. Ty też.

– Czyli oboje ładnie pachniemy – mówi ze śmiechem. – Może zjemy w Pasha's? Mają najlepszą orientalną kuchnię w mieście.

– Dobra myśl. – Pikantne potrawy szkodzą mi na żołądek, ale w życiu mu tego nie powiem.

– Dziś zaczniemy w miejscu, w którym przerwaliśmy – oświadcza Marv.

– No, zobaczymy – odpowiadam, myśląc: „Ale bezczelny”.

Potem on śpiewa razem z Tonym Bennettem niskim, aksamitnym głosem, z dobrą dykcją. Na światłach bierze mnie za rękę. Boże, jak ten człowiek mnie kręci. Doznaję uniesienia, jakiego nie czułam od lat. Coś się między nami dzieje, jestem tego pewna.

Raja, szef sali, robi wielkie zamieszanie wokół Marva i prowadzi nas do zacisznego stolika w kącie. Gra bardzo nastrojowa perska muzyka, wszędzie migoczą płomyki świec. Ten mężczyzna naprawdę zna się na rzeczy. Zamawia mi stoliczną z

trzema zielonymi oliwkami i to samo dla siebie, jakbyśmy byli parą. Potem decyduje się na pikantne szaszłyki.

– Myślałam, że wolisz Cutty Sark – mówię i wypijam wódkę do dna.

– Chcę pić to samo co ty. Bardzo cię lubię.

– Skąd możesz wiedzieć po jednym spotkaniu?

– Wiem. Żałuję, że nie poznaliśmy się wcześniej.

– Co by to zmieniło?

– Bylibyśmy młodszy. – Marv pochmurnieje.

– Młodość nie ma nic wspólnego z wiekiem – zauważam, zawiedziona jego odpowiedzią.

A on się uśmiecha.

– Anny, jesteś słodka. Jak rozkwitła róża. – Puszczam do mnie oko. – Myślałaś o mnie?

– Zamierzam być tajemnicza, więc ci nie powiem.

Marv błyska zębami w uśmiechu.

– Naprawdę jesteś tajemnicza.

– A zatem rozwiodłeś się siedem lat temu – podejmuję temat, jedząc pikantnego bakłażana. – I przez ten czas nie spotkałeś nikogo, kto by ci się spodobał?

Marv wzrusza ramionami.

– Spotykałem się z pewną kobietą z Grass Valley. Miała dom z basenem i ładną figurę. Spędzałem z nią weekendy. W życiu nie miałem tak dobrego seksu. Ale ona nic nie inicjowała, tylko czekała, aż ją odwiedzę. Nie ułożyło się nam.

Reszty kolacji prawie nie pamiętam. Ledwie skubię jedzenie. Wszystkie moje wątpliwości z wolna się rozwiewają. Zmysłowa muzyka narasta, a my śmiejemy się z byle czego, flirtujemy jak napalone nastolatki, nie mówimy nic ważnego. Nigdy nie sądziłam, że na tym etapie życia będę się zachowywać tak zalotnie, potrząsać włosami jak Bette Davis, śmiać się z jego niemądrej opowieści o tym, co powiedział mu kiedyś dziadek, i udawać, że nie słyszałam jej dziesięć minut temu. Czuję podniecenie jak nigdy dotąd, jakby w restauracji nie było nikogo oprócz nas. A gdy on opowiada mi o idealnych diamentach, które kupował i sprzedawał,

czuję, że wszystko w nim mnie kręci – jego zadbane paznokcie, gładkość oliwkowej skóry, żółte plamki na obrzeżach ciemnych tęczęwek, wydatne usta, których kąciki unosi, zaczesane do tyłu jedwabiste włosy. Jestem zauroczona.

Po kolacji Marv zaprasza mnie do siebie.

– Chcę ci pokazać moją kolekcję obrazów. Chyba ci się spodoba.

– Wiesz, jest trochę późno.

– Oj, daj się namówić. Lampka koniaku, kawa, parę pocałunków.

– Nie strasz – rzucam, siląc się na luzacki ton. „Poza tym – myślę – z tego może być dobry felieton”.

W samochodzie Marv znowu puszcza Tony’ego Bennetta i śpiewa wraz z nim jak w nocnym klubie. Tłumaczę sobie, że parę pocałunków jeszcze nikomu nie zaszkodziło, a ja, chwała Bogu, nie mam już na sobie tych majtek w motylki, no więc dlaczego nie miałabym pójść do Marva?

Zatrzymujemy się na Nob Hill. Marv mieszka we wspaniałym apartamentowcu, takim, jakie widzi się w tych pismach, gdzie bogacze wylegują się na fotelach Corbusiera. Nob Hill to siedziba hoteli Fairmont i Mark Hopkins, efektownych wieżowców, kamienic, eleganckich restauracji. Wzdłuż ulic rosną rzędy drzew, przed każdym budynkiem trzymają straż odźwierni w czerwonych surdutach i ze złotymi gwizdkami na szyjach. Ręka w rękę idziemy do windy, która wiezie nas na dwudzieste ósme piętro. Zatrzymuje się w penthousie. Marv otwiera drzwi i biały, mały jak skarpetka piesek natychmiast zaczyna się uwijać wokół jego nóg.

– To Niunia – mówi. – Urocza, prawda?

Niunia waży jakieś dwa kilo i wygląda jak wacik z czarnymi oczkami.

– Prawda – przyznaję, głaszcząc psinkę. Niunia warczy, więc cofam rękę.

– Musi tylko lepiej cię poznać – wyjaśnia Marv. – To pies wystawowy. Bardzo wrażliwy.

– Masz wspaniały widok. – Podziwiam panoramę miasta i most Golden Gate. Ściany w salonie i jadalni, umeblowanych szykownymi ultranowoczesnymi meblami i antykami, są przeszklone. – Coś pięknego.

– Nieźle jak na chłopaka z Toledo. – Marv ma zadowoloną minę. Włącza światło i wpuszczone w sufit halogeny w kształcie gwiazdek rzucają łagodny różowy blask. Z głośników dobiega głos Franka Sinatry.

Marv opowiada mi, przejęty jak małolat, o gwiazdach, które mieszkają w tym budynku.

– Mam poznać Christie Hefner. – Milknie na chwilę. – Napijesz się koniaku?

– Chętnie – odpowiadam, podziwiając oprawione w ramki zdjęcia Marva z Madonną, Bono, Stingiem i jego żoną. Kobiety są wyniosłe i piękne. – Fantastyczne fotografie. To twoi klienci?

Marv przytakuje i nalewa koniak do dwóch dużych, pękatych kieliszków.

– Tylko jedni z wielu. Sprzedawałem diamenty większości pięknych kobiet tego świata. Wszystkie są wspaniałe. Idealne jak kamienie, które dla nich znalazłem.

– Za co ta nagroda? – pytam, patrząc na okazałą złotą tabliczkę z nazwiskiem Marva i podziękowaniem za „dobrą wolę”.

– Przekazałem pieniądze na kopalnię diamentów w Nigerii.

– No, no. – Siadam na kanapie z beżowego zamszu, zwróconą w stronę okna z widokiem, i rozglądam się dokoła. Wystrój pokoju, choć piękny i świadczący o sukcesie i zamożności, jest zbyt wystudiowany, wygląda jak dekoracja: głębokie zamszowe fotele, marmurowe posągi kochanków, kolorowe abstrakcyjne obrazy i dziesiątki kwitnących orchidei. Wszystko jest tak schludne i piękne, lśniące i poukładane, jakby nic brzydkiego nie miało prawa tu się znaleźć. Nie widzę biblioteczki. Zupełnie inaczej niż w moim mieszkaniu-atelier, zapchanym książkami, papierami i obrazami.

– Uwielbiam dobry koniak – mówi Marv, siadając obok mnie. Kładzie na stoliku z białego marmuru dwie podkładki w

kształcie muszli i podaje mi kieliszek.

Wdycha zapach alkoholu, wzdychając i przymykając oczy. Przez chwilę milczy, jakby koniak zasługiwał na specjalne uznanie. Od oświetlenia łzawią mi oczy i nadal kręci mi się w głowie po tym wieczorze, ale pociągam parę łyčzków.

– Razem z pierwszą żoną jeździliśmy na wycieczki, podczas których smakowaliśmy różne trunki – opowiada Marv. – W Paryżu kupowaliśmy koniak i wino. Nasz syn Maurice tam się urodził.

– Romantycznie.

– O, tak – mówi Marv z nostalgią. – Paryż to miasto stworzone dla kochanków i namiętności. – Kołysze kieliszkiem, spoglądając gdzieś w dal, a potem pije.

– Zawsze chciałam polecieć do Paryża – mówię, także pociągając łyk. – W młodości marzyłam, żeby tam zamieszkać, malować, pisać.

– Nie wybrałaś się tam z mężem? – Marv patrzy na mnie przenikliwie. Pod jego nieruchomym spojrzeniem wyczuwam namysł.

– Nie – wzdycham. – Był zajęty zarabianiem, a ja studiowaniem malarstwa. To już nieważne – dodaję szybko.

Twarz Marva nagle tężeje.

– Moja druga żona Debra pozwalała mi na seks tylko w poniedziałkowe noce. Nie lubiła się kochać, a ja ciągle tego chciałem. Dlatego się ze mną rozwiodła.

– Jak długo trwało wasze małżeństwo? – pytam, czując, że jego beztroski nastrój się zmienił.

– Z Debrą dwanaście lat – odpowiada szybko. – Z Giselle piętnaście. Obie cudowne żony były oziębłe.

– Ale powiedziałaś, że nadal przyjaźnisz się z Debrą. Czy może jeszcze coś was łączy?

Marv wzrusza ramionami z ponurą miną.

– Nie. Nie śpimy ze sobą. Debra czasem pomaga mi w interesach.

Wdycha ciężko, jakby przygniatało go brzemień całego świata. Zdejmuje mokasyny od Gucciego i wyciąga się na kanapie,

obejmując mnie w talii. Wciągam brzuch, żeby nie poczuł mojej oponki.

– Miętuska? – pyta, wkładając do ust pastylkę.

– Nie, dziękuję. Jak jasno świeci dziś księżyc. Wygląda jak perła, prawda?

Marv delikatnie odsuwa opadające mi na oko pasmo włosów.

– Jesteś śliczna – mówi łagodnie. – Pod pozorami zadziorności kryje się wrażliwa kobieta.

– Marv, tak długo nie...

Delikatnie bierze mnie w ramiona i całuje. Początkowo się opieram, ale potem ogarnia mnie ogień i odwzajemniam pocałunek. Całujemy się namiętnie, nasze języki stają się coraz śmielsze, a ja mam nadzieję, że Marv nie trafi na to miejsce po prawej w górnej szczęce, gdzie brakuje mi dwóch straconych podczas upadku zębów. Ale nie potrafię przestać go całować.

– Jesteś seksowna – szepcze, muskając palcami moją twarz.

– Tak sądzisz? – mamrocze tuż przy jego wargach, napierając na niego.

– Ja to wiem. Różnisz się od innych kobiet. Jesteś piękna i interesująca jak żadna inna. Chcę się z tobą kochać.

– Tak? Skąd wiesz?

– Wiem. Od pierwszej chwili chciałem się z tobą kochać. Ty się po prostu znasz na tych rzeczach.

– Chcesz się kochać czy uprawiać seks?

– Anny, jesteś jedyną kobietą, z którą chcę uprawiać seks.

Nagle nie wiem, co zrobić. Oblatuje mnie strach i tracę pewność siebie, dlatego wstaję, żeby przypudrować nos.

– Skorzystaj z łazienki – mówi Marv, prowadząc mnie na korytarz. – Prosto przed siebie i przez sypialnię.

W korytarzu pali się słabe światło. Jeszcze dygocząc po pocałunku, przechodzę przez ogromną sypialnię Marva. Nogi toną mi w puszystej wykładzinie, ściany są obite brzoskwiniowym jedwabiem. Ogromne łóżko przykrywa gruba narzuta. Nad nim wisi wielki indyjski gobelin. Łazienka wygląda jak z reklamy perfum Calvin Kleina – białe, bardzo piękne marmury, jacuzzi, szklana

kabina prysznicowa z siedzeniami z białego marmuru. W powietrzu unosi się lekka woń mięty. W wazonach z ręcznie wyrabianego turkusowego szkła stoją białe orchidee.

Odkręcam wodę w podwójnej umywalce, żeby zagłuszyć odgłosy, i biorę wielką butelkę paryskiej męskiej wody kolońskiej. Otwieram ją, wdycham subtelny, elegancki zapach. Potem myszkuję w szafce, przeglądam fiolki ze środkami nasennymi, diuretykami, tabletkami na wysokie ciśnienie... i dostrzegam buteleczkę viagry. Czytam etykietkę. Trzy tygodnie temu doktor Morton Cohn zapisał trzydzieści dwie pigułki o wadze dwudziestu pięciu miligramów. Zostało tylko jednaście, co oznacza, że od naszego spotkania Marv z kimś się widywał.

Ogłuszona i przybita odstawiam buteleczkę, przypominając sobie tę chwilę, kiedy znalazłam viagrę w kieszeni Donalda. To zły znak. Przez te wszystkie tygodnie, kiedy Marv nie dzwonił, brał to draństwo. „Myślałem o tobie i tylko o tobie” – powiedział. Nie ma mowy, nie będę należeć do jego haremu. Już to przechodziłam.

Moje marzenia nagle się rozwiewają jak piana na wietrze.

Myję ręce pachnącym mydłem i zakręcam wodę.

Przyglądam włosy i wracam do salonu.

Marv znowu leży na kanapie.

– Połóż się obok mnie – prosi, klepiąc poduchy.

Spoglądam na zegarek.

– Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno. Bardzo późno. Jutro muszę oddać felieton.

– Och, Anny. Zostań. Rano odwiozę cię do domu. Zostań.

– Nie. Przykro mi, muszę już iść.

Marv zaciska mocno usta, powoli wkłada buty i mówi, że weźmie Niunię, bo trzeba ją wyprowadzić.

– Jasne – mruczę, zapinając kurtkę.

W samochodzie Niunia siedzi Marvowi na kolanach, tuląc się do niego całym swoim małym ciałkiem. Panuje głucha cisza, aż w uszach dzwoni. Chcę mu powiedzieć, żeby się nie obrażał, że nie jestem jakąś podfruwajką, która przy pierwszej okazji wskoczy mu do łóżka, i że od dawna nie uprawiałam seksu, a on musi coś dla

mnie znaczyć. Wmawiam sobie, że postąpiłam słusznie. Ale skoro tak, to dlaczego jestem taka wzburzona?

Marv zatrzymuje samochód przed moim blokiem, wysiada i z zaciętą miną odprowadza mnie do wejścia.

Długo szukam klucza i w końcu otwieram drzwi.

– No to dziękuję – mówię, całując go w policzek. – Znowu bawiłam się świetnie.

Marv odwraca się i idzie szybko do samochodu. Odjeżdża.

Zapalam światło w mieszkaniu; halogeny ozywają z pyknięciem. Czuję się okropnie, ale kiedy przypominam sobie viagrę, natychmiast stwierdzam, że postąpiłam słusznie. Czy Marv naprawdę myślał, że wciśnie mnie w wolne miejsce po jakiejś kobiecie? „To drań – powtarzam sobie raz po raz – ale jednak to jego draństwo ma w sobie coś interesującego”.

Rozbieram się szybko, nawet nie zapalając światła w sypialni. Postanawiam zajrzeć na JDate w nadziei, że znajdę w profilu Marva coś, co przegapiłam i co teraz może mnie oświecić. Kiedy komputer startuje, uzmysławiam sobie, że na portalu randkowym zamieszczono licznik odślon.

Znajduję profil Marva. No, coś takiego. Mój Pan X wszedł na stronę dwadzieścia dwie minuty po północy. Boże, zalogował się kwadrans po odwiezieniu mnie do domu. Czy to znaczy, że szuka już nowej kobiety? A może opowiada o naszym spotkaniu tej, która się z nim skontaktowała? W każdym razie jestem rozczarowana. Zraniona. Odrzucona.

Kurczę, a to padalec. Emily miała rację. Teraz jestem wściekła. Szybko opisuję ten wieczór ze szczegółami – co jedliśmy, co mówił, jak pachniał, wyglądał, każde jego słowo.

To starzejący się handlarz diamentów, który nie potrafi się pogodzić z wiekiem. Obnosi swój seksapil jak zbroję. Spotyka się z jedną, ale już szuka drugiej i trzeciej. To seksualnie wygłodniały chłopiec, odrzucony w łóżku przez dwie żony i pragnący seksu całego świata.

Widzę buteleczkę viagry. Recepta została wypisana trzy tygodnie temu. Dlaczego zostało tylko jednaście pigułek?



Opisuję ciężkie milczenie w drodze do domu, jego zły humor, ponieważ nie zostałam. I ból brzęczy w głosie, kiedy wyznał, że była żona pozwalająca mu na seks tylko w poniedziałkowe noce.

Nadaję felietonowi tytuł *Zadzwoń! Pan X wraca. Czy jest Złym Starym Chłopcem?*

Natychmiast wysyłam tekst Monice i idę spać. Jestem rozgorączkowana pisaniem i jednocześnie czuję się oszukana przez Marva.

Nie mogę zasnąć. Zawsze jestem podekscytowana, kiedy wpadam na pomysł felietonu. Wiem, że to coś dobrego, czuję tę energię.

Leżę i przyglądam się, jak światło świtu pełga po suficie, nasłuchuję odgłosów ulicy. Kocham warkot samochodów i motocykli, gwar ludzi. Patrząc, jak wczesne promienie słońca malują różne wzory na ścianach, znowu wracam myślami do Marva, przypominam sobie jego kamienną minę i ciężkie milczenie. Jest w nim coś tajemniczego – te zbyt wypiełgnowane paznokcie, doskonały wystrój domu, łagodny, modulowany głos. Coś skrytego, niejasnego.

Zasypiając, słyszę tango. Kocham tango. To taniec miłości.

## ROZDZIAŁ 10

– Mężczyźni to trolle z penisami! – mówię. – Kwadrans po tym, jak odwiózł mnie do domu, wszedł na JDate i szukał nowych kobiet.

Doktor Indira milczy. Jest popołudnie następnego dnia, pora mojej sesji. Leżę na kozetce, z której zwisają mi nogi. Nie można było kupić większej? Doktor Indira siedzi za mną. Kiedy mówię, nigdy jej nie widzę, ale znam wszystkie rodzaje jej milczenia, westchnienia, płamy na suficie. Od dwudziestu minut relacjonuję każdy szczegół ostatniego spotkania z Marvem. Opowiadam jej o viagrze.

– Z trzydziestu dwóch tabletek zostało jedenaście.

– Chciałaś u niego zostać? – pyta cicho.

– Czy chciałam się z nim kochać? Tak, dopóki nie policzyłam tabletek.

– Więc postąpiłaś wbrew swojej woli, ponieważ wyobraziłaś sobie obraz życia Marva? Anny, przecież zanim cię poznał, miał własne życie. Tak samo jak ty. Bierze viagrę, a ty o tym napisałaś. Zamiast go spytać, czy się z kimś spotyka, uciekłaś. Dlatego on nic o tobie nie wie.

– No dobrze, starczy. Czy muszę znowu wysłuchiwać tego psychologicznego bełkotu? Facet jest żywą reklamą viagry. Myśli fiutem. Klasyka.

– Więc nie chcesz poznać prawdziwego Marva. Wystarczy ci, że go wykorzystasz do felietonu.

– Nieprawda, chcę. Przy nim wiem, że żyję. Ma w sobie coś, co budzi we mnie głęboką namiętność. Nie czułam czegoś takiego nawet do mojego męża. Ale zawsze uważałam, że seks to miłość i oddanie. – Milczę przez chwilę. – On mnie podnieca, ale kiedy się przekonałam, że bierze viagrę, najwidoczniej dla jakiejś innej kobiety – lub kobiet – wycofałam się.

– No tak, bierze viagrę. Nic nie wiesz o jego życiu, choć o nim pisałaś. On też ciebie nie zna. Został dwukrotnie zraniony. Ty też czułaś ten ból, ale mimo to chcesz od niego wszystkiego.

– Chcę prawdziwego związku, nie tylko seksu.

– Co dla ciebie oznacza prawdziwy związek? – pyta doktor Indira po długiej chwili milczenia.

– No jak to, poświęcenie. On kocha mnie, ja jego. Nie tak jak mój były, który poświęcał się głównie pieprzeniu Conchity w pralni.

– To znaczy, że chcesz związku jak z twoich tekstów? – Doktor Indira wzdycha. – Zastanawiam się, czy mając już to wszystko, nadal byś go pragnęła?

– Przecież nie wymagam, żeby mi dał dzieci. Czy nawet psa. Chcę oparcia w związku, który z nim stworzę – czy będzie chodzić o wspólne życie, wspólne spędzenie sylwestra czy szeptki w ciemnościach. Randki ze starszymi ludźmi to zupełnie inna sprawa – nie możemy już sobie pozwolić na marzenia o pięknej, długiej przyszłości.

– Anny, problem polega na tym, że musisz pokochać siebie. Wtedy zdołasz podjąć właściwe decyzje. Boisz się odrzucenia.

Patrzę na światło słoneczne, które faluje na suficie, a potem zmienia się w kolorowe plamki.

– No, zna pani schematy moich zachowań wobec mężczyzn. Jeśli traktują mnie zbyt miło, wycofuję się. Jeśli uciekają jak mój ojciec, ścigam ich. Jestem pokręcona jak te stare lalki, które pani skleja – mówię po długim milczeniu. – Każda się trzyma, dopóki spokojnie siedzi na jedwabnej poduszce.

Terapeutka wzdycha. Słyszę, że porusza się na krześle, co sygnalizuje, że nasza sesja zbliża się do końca.

– W każdym razie mężczyźni z pokolenia viagry myślą tylko o seksie. On jest tak skupiony na sobie, że nawet nie czytał mojego felietonu. Nigdy o nim nie wspomniał.

– Chcesz, żeby czytał o Panu X?

Wzruszam ramionami. Jak zwykle doktor Indira mnie podpuściła. Czy chodzi mi o to, żeby Marv zrozumiał, że to ja tryumfuję, że wcale nie jest taki sprytny? Czy aż tak bardzo pragnę się odegrać?

– Boisz się, Anny. – Terapeutka wzdycha. – Pomyśl o tym, czego chcesz, zamiast skupiać się na tym, czego nie chcesz, a

będiesz sama ze sobą szczęśliwsza. Musisz czasem zaryzykować i odsłonić się na cios.

Słyszę kliknięcie lampki sygnalizującej pojawienie się następnego pacjenta. Drzwi stukają. Wdycham słodką woń gardenii, które zawsze tu stoją w wielkim pomarańczowym flakonie. Doktor Indira ma rację. „Moim zadaniem jest osiągnięcie wewnętrznego zadowolenia – myślę, sięgając po chusteczkę. – Dzięki niej uświadomiłam sobie, że jeszcze mi się to nie udało”.

– Miewam sny – mówię – w których jestem papierowym motylem o pomarszczonych skrzydełkach, przycupniętym na suchym listku. Chcę wzlecieć, ale nie mogę się ruszyć.

– Niestety, musimy na tym skończyć.

Wstaję, mrugam, żeby pozbyć się punkcików wirujących mi przed oczami, wygładzam potargane włosy. Doktor Indira także się podnosi. Spoglądam jej w oczy. Jest mniej więcej w moim wieku, a jej długie, siwe, splecione w warkocz włosy kontrastują ze smagłą gładką skórą. Na czole nad ciemnymi oczami ma czerwoną kropkę. Jest niska, najwyżej metr pięćdziesiąt. Nosi żółte sari i pierścień z wielkim bursztynem.

– Do zobaczenia o tej samej porze w czwartek – mówi.

Przy drzwiach szarpię się z cholernym zamkiem, obracam pokrętko w prawo, potem w lewo przerażona, że sobie nie poradzę na oczach terapeutki. Zastanawiam się, dlaczego ona zawsze rygluje te drzwi, jakby uważała mnie za niebezpiecznego świra.

Na dworze, oślepiona światłem, mrugam gwałtownie. Idę przez Van Ness Avenue, a autobusy, syreny, samochody i rowery budzą mnie do życia. Mijam restauracje i warsztaty samochodowe, widzę w bramie bezdomną kobietę z całym swoim dobytkiem ułożonym schludnie w wózku. Kładę jej na dłoni parę monet, a ona uśmiecha się, odsłaniając bezzębne dziąsła. Robi mi się smutno. Uświadamiam sobie, jak wielkie mam szczęście, i postanawiam nigdy więcej nie marudzić z powodu drobiazgów.

Idę dalej, podziwiając szafirową barwę nieba. Myślę o sesji. Tak, doktor Indira ma rację. Chciałam – Boże, strasznie chciałam! – kochać się z Marvem, ale bałam się zaryzykować ze strachu

przed odrzuceniem, więc mu odmówiłam.

Przyspieszam, mijam ratusz, którego złocista kopuła lśni w gasnącym świetle jak folia.

Przechodzę przez skrzyżowanie na Broadway. Chcę dotrzeć do domu, zanim się zupełnie ściemni. Przy kościele Świętej Brygidy zatrzymuję się na widok bukietów kwiatów leżących na schodach. Z otwartych drzwi sączy się zapach kadzidła. Wkrótce nastanie noc, czas wycia psów, spotkań kochanków i wpływu księżycy.

W domu pracuję nad portretem kobiety w czarnym kapeluszu i staromodnych butach z paskiem wokół kostki. Jest naga i siedzi w wysokim pudle. Nagle uświadamiam sobie, że właściwie całe swoje małżeństwo spędziłam na malowaniu. Zastanawiam się nad tym, co terapeutka powiedziała o kochaniu samej siebie, a potem znowu analizuję relację z byłym mężem. Rzadko ze sobą rozmawialiśmy, zwłaszcza od narodzin Emily. Donald wpadł w szal, bo nigdy nie chciał mieć dzieci. Oszukałam go, przestając brać pigułki.

Po jakimś czasie, kiedy tracę natchnienie, odkładam pędzle i farby i szykuję się do snu. Podleвам rośliny, przygotowuję kawę na jutro. Dzwoni telefon; to pewnie Janet lub Lisa, bo zawsze odzywają się koło jedenastej. Odbieram, nie patrząc na numer.

– Cześć, Walentynko. Tu Marv. Obudziłem cię?

– Nie, skąd. Malowałam. – Mocno ściskam telefon.

– Co porabiasz?

– Jestem zajęta pracą. A ty?

Marv opowiada mi o dwudziestokaratowym żółtym diamencie, który ma obejrzeć w Mediolanie.

– Jest idealny. W aukcji weźmie udział wielu chętnych.

– Coś takiego.

Milczenie.

– Spotkamy się jutro wieczorem? Moglibyśmy pójść na kolację i tańce. Powiedziałaś, że kochasz tańczyć.

– Nie, jutro nie mogę. Jestem wolna dopiero w piątek.

– Zatem piątek. Wpadnę po ciebie o siódmej.

– Świetnie.

– Słodkich snów.

Rozłączam się. Co tu się przed chwilą wydarzyło? Czy to halucynacje? Czuję się jak nastolatka, drzę, głośno chichoczę. Następną godzinę spędzam przed szafą, przymierzając buty, szale, ubrania, obmyślając strój na piątek. Nie znoszę chodzić na zakupy, ale uwielbiam przerabiać stare ciuchy.

Dzwoni telefon. To Janet i Lisa.

– Zadzwoił! – obwieszczam radośnie.

– Kto? Bóg? – pyta Lisa.

– Marv.

– Wiedziałam! – mówi Janet.

– W piątek idziemy na kolację i tańce.

– Uważaj, kochanie – prosi Lisa delikatnie. – Nie chcę, żebyś cierpiała.

– Lisa, wyluzuj! – karci ją Janet. – Skarbie, nie wkładaj najwyższych obcasów. Jeszcze tego brakuje, żebyś się przewróciła jak długa...

– Spotkajmy się jutro na obiedzie – proponuję. – Potrzebuję waszej rady. Bo wiecie co? Zamierzam się z nim kochać.

## ROZDZIAŁ 11

Następnego dnia spotykam się z Janet i Lisą w barze Water, efektownej restauracji na Embarcadero. Piętnastometrowe okna wychodzą na morze, statki i most. W wysokich szklanych słupach otaczających stoliki pływają brzydkie tropikalne ryby. Goście wyglądają sztywnie – mężczyźni w czerni, kobiety w skąpych korporacyjnych kostiumikach i designerskich szpilkach z czerwonymi podeszwami. Przystojni kelnerzy suną po sali jak po lodzie. Nasz – Jeremy – przyjmuje zamówienie i przynosi nam cytrynowe martini.

Janet ma wolny dzień, więc zjawiała się w jaskrawoczerwonym, spadającym z ramienia swetrze, a włosy związała w wysoki kucyk. Lisa włożyła sztywną czarną mini z równie sztywną srebrną biżuterią i szpile od Manolo Blahnika.

– No więc po raz pierwszy od niemal czternastu lat zamierzam uprawiać seks. Boże, jak się boję. A jeśli nie będę wiedziała, co zrobić?

– Zamknij oczy i pomyśl, że jedziesz na rowerze – doradza Lisa.

– Kochanie, potrzebujesz tylko waginy – dodaje Janet. – Te pierniki przeleciałyby nawet owcę. Nie przejmuj się, wszystko się uda.

– Przecież to zależy od kobiety. Dojrzała kobieta zna swoje ciało, wie, o co prosić – mówi Lisa, popijając drinka.

– Pieprzyć to – warczy Janet, czerwieniejąc. – Mówisz jak te nawiedzone terapeutki, które bajdurzą o punkcie G. Nie prosisz. Uwodzisz!

– Zgadza się – mówię ze śmiechem. – W końcu kobiety są bardziej rozwinięte emocjonalnie niż mężczyźni.

– No jasne. Spytaj Marshy Blumenthal. Odmłodziła sobie botoksem waginę! – rzuca Janet.

– Nadal coś mi się tu nie podoba – oznajmia Lisa, ignorując komentarz przyjaciółki. – Jeśli Anny zbyt wcześnie zdecyduje się na seks, wszystko przepadnie. Najpierw muszą się poznać.

– Co tu poznawać? – pyta Janet, coraz bardziej czerwona. –

Nie słyszałaś? Waginy starszych pań przestały być popularne!  
Niedługo kopniemy w kalendarz. Żyjesz przeszłością.

– No więc się zdecyduję – oznajmiam.

– Tylko żeby twoje wiesz-co nie wyszło – doradza Janet. –  
Ja wkładam tam kapsułkę z witaminą E. Pobudza estrogeny i  
powoduje nawilżenie. Tylko że ostatnio utknęła głęboko i  
musiałam iść do ginekologa, żeby mi ją wyciągnął.

– Seks to nie wszystko – mówi Lisa. – John nie może  
przyjmować viagry, bo bierze leki przeciwzakrzepowe. Ale w nocy  
się przytulamy. Dzięki niemu jestem szczęśliwa.

– Szczęśliwa, akurat. To nie dla mnie – mruczy Janet. – Ja  
chcę cały pakiet.

– Denerwuję się – wyznaję. – A kiedy unoszę nogi, strzela mi  
w kolanach.

– Nie wchodź na niego – doradza Janet. – Skóra na szyi i  
cycki ci obwisną. Leż z odchylną głową. Będziesz lepiej  
wyglądać.

– I uważaj. Facet robi wrażenie, jakby kogoś miał – znowu  
ostrzega Lisa.

– No ale potrzebuję więcej opowieści o Panu X, prawda?

– Poza tym mężczyźni po sześćdziesiątce długo nie pociągną  
– dodaje Janet. – Ostatni, z którym byłam, wziął tyle viagry, że  
włączyła mu się bransoletka alarmowa. Przyjechało pogotowie,  
sanitariusze patrzyli na mnie jak na zbrodniarkę. Wynieśli go na  
noszach – nadal z erekcją sterczącą jak maszt.

Parskamy śmiechem.

– Wciąż marzę, że mój Rhett Butler mnie odnajdzie –  
wyznaję.

– Rhett pewnie też bierze viagrę – odpowiada Lisa ze  
śmiechem.

– I jest za stary, żeby wnieść mnie na rękach po schodach.

– No dobrze, dziewczyny. – Lisa daje znak kelnerowi. –

Idziemy z Anny do Victoria's Secret.

– Niczego mi nie brakuje – protestuję. – Nie potrzebuję  
bielizny.



– Nieprawda, skarbie – ucina Janet. – Nie możesz włożyć tych bawełnianych gaci z supermarketu.

– Właśnie – popiera ją Lisa. – Idziemy.

Godzinę później w sklepie z bielizną czuję się jak w innym świecie. Biustonosze i majteczki mają kolory landrynek, a nocne koszulki są wyeksponowane jak biżuteria. Lisa i Janet zachwycają się czarnymi figami bikini, tak cienkimi, że uniosłyby się w powietrze, gdybym na nie dmuchnęła.

– O nie, na to jestem za gruba. Mam oponkę.

– Kochanie, zapomnij o tym. Kiedy faceci są podnieceni, pada im na wzrok.

Lisa pokazuje mi koszulkę z czarnej koronki wraz z pasującymi do niej majteczkami i kilka rodzajów biustonoszy z fiszbinami.

– Nie chcę stanika. Nie zamierzam wyglądać jak króliczek Playboya.

– O to się nie bój – mruczy Janet, zerkając z ukosa na moje piersi. – Cycki ci wiszą jak matce karmiącej. – Lisa kiwa głową. Wzywają sprzedawczynię Mindy, na moje oko siedemnastoletnią. Dziewczyna jest wiotka jak trzcinka, ma płaską klatkę piersiową i ciało baletnicy. Mierzy mnie spojrzeniem.

– Przyniosę kilka modeli.

I ani się obejrzę, a ląduję w przymierzalni i wkładam przejrzyste koronkowe cuda. Wybieram najprostszy model, z czarnej koronki. Dziewczyny wchodzą i od razu się krzywią.

– Wyżej! Podciągnij te ramiączka. Spójrz na moje piersi! – żąda Janet, wypinając się dumnie. – Widzisz, jak sterczą?

W końcu, zniesmaczona, kupuję mocno opinające biodra majtki z czarnej koronki, krótką czarną, przejrzystą koszulkę i pasujący do nich stanik.

– A jeśli nie zaprosi mnie do siebie? Albo sama nie zechcę?

– Kochanie, ty decydujesz. Nie zapominaj.

– Wyznacz granice.

– Wolę spać w koszuli w żabki.

– Tego faceta nie wolno straszyć żabami.

- I użyj żelu.
- Jakiego znowu żelu?
- Do pochwy.

Lisa przygląda mi się z niesmakiem.

- Zrób sobie brazylijską depilację. Moja Swietłana to potrafi.
- E, pewnie nie zostało jej tyle włosów, żeby starczyło na brazylijską. Idź w naturalność – on pewnie tego nawet nie zauważy.

- Na Boga, to tylko randka! – wołam.
- Nieprawda – odpowiada Janet ze spojrzeniem mędrca. – To czas, gdy stwarzasz siebie na nowo.

## ROZDZIAŁ 12

Za godzinę Marv po mnie przyjedzie, a ja leżę w kąpielni pachnącej gardenią, golę nogi i przyglądam się ciemnym włoskom unoszącym się w wodzie jak nitki. Przerażają mnie starcze plamy i cienkie błękitne żyłki znaczące moje blade łydki. Zamykam oczy i wspominam nasz ostatni raz z mężem – ponad czternaście lat temu. On był pijany i cała sprawa jak zwykle potrwała niespełna minutę.

Po kąpielni oglądam swoje nagie ciało w lustrze. Z przerażeniem stwierdzam, że na brzuchu pojawiła mi się fałdka. Nawet codzienny trzykilometrowy spacer nie pomógł. Rozpylam perfumy Chanel, obracam się w pachnącej chmurce, by zapach stopił się z moją wilgotną skórą. Wkładam czarne majteczki i koronkowy stanik. Ta nowa bielizna wygląda seksownie. Jeśli zmrużę oczy, widzę siebie jako trzydziestopięciolatkę – smukłą, z takimi samymi długimi włosami, długimi nogami, jasną skórą lekko zaróżowioną w oczekiwaniu na seks.

Potem naciągam na nogi cienkie czarne rajstopy, dbając o to, by nigdzie się nie marszczyły. Wślizguję się w czarną koktajlową sukienkę – jedwabną, z długimi rękawami i okrągłym, odsłaniającym ramiona dekoltem. Wkładam sandały z paseczkami. Na koniec wybieram srebrne pierścionki i sięgające mi do ramion srebrne kolczyki.

Dzwoni komórka. To Emily.

– Mamo, baw się dobrze. Pamiętaj, bądź niedostępna.

– Przecież jestem dostępna.

– Harry mówi, że nie powinnaś.

– Harry się nie zna. Był singlem przez pięćdziesiąt lat.

– Zgadza się z Emily – odzywa się Harry z drugiego telefonu.

Oboje wzdychają.

– Zadzwoń do nas rano.

Sprawdzam, czy w czarnej torebce mam klucze, pojemnik na soczewki, miętówki, prezerwatywy, pieniądze na taksówkę. Na wszelki wypadek.

Jeszcze pięć minut. Serce mi tak łomocze, jakby chciało się wyrwać na wolność. Dzwoni komórka. To Marv.

– Stoję przed wejściem – mówi aksamitnym głosem.

– Zaraz schodzę – odpowiadam, siląc się na spokój.

– Nie spiesz się.

Galopuję po schodach, modląc się, żeby soczewki nie zaczęły mi się przesuwać po gałce ocznej, co czasem im się zdarza.

Marv stoi przy czarnym mercedesie kabriolecie. Otwiera drzwi od strony pasażera. Ma na sobie długi czarny płaszcz i czarny szalik, a w ciemnościach jego srebrne włosy świecą słabym światłem.

– Witaj, Anny – mówi cicho i całuje mnie w oba policzki. – Gotowa na początek reszty swojego życia?

„Kurczę. Czy to się naprawdę dzieje?”. Wsiadam do samochodu i ruszamy w noc.

Kolacja jest fantastyczna. Jemy makaron z krewetkami i spoglądamy na siebie z rozmarzeniem. Flirtuję bezwstydnie, niżam głos, odgarniam włosy z oczu. Jakbym postradała zmysły i unosiła się na latającym dywanie. O czym rozmawiamy? Kto wie? Kogo to obchodzi?

Po kolacji idziemy do hotelu Sir Francis Drake i wjeżdżamy przeszkloną windą na najwyższe piętro, trzymając się za ręce. Zamykam oczy. Jadę do nieba. Liczy się tylko ta noc, nic więcej. Drzę z emocji.

Sala, do której wchodzimy, robi wrażenie – cała oszklona, z widokiem na Union Square. Orkiestra gra zmysłowe ballady. Pary ubrane w eleganckie stroje tańczą powoli, a krążki światła z reflektorów suną za nimi jak bańki mydlane.

Znajdujemy stolik, a potem Marv prowadzi mnie na parkiet. Tańczymy przy dźwiękach *Autumn Leaves*. Obejmuję go za szyję i tulę się do niego tak mocno, że stanowimy niemal jedność. On mnie całuje, nie możemy się od siebie oderwać, a ja daję się ponieść marzeniom. A muszę dodać, że Marv fantastycznie tańczy; trzyma mnie mocno w objęciach, z wielką wprawą robi

skomplikowane kroki, przechyla mnie, znowu podnosi. Kurczę. Tańczymy bez przerwy, całując się i wirując, aż muzyka przestaje grać.

Przy stoliku Marv zamawia frangelico, przyjemny włoski orzechowy aperitif. Całujemy się, pijemy, a on opowiada mi, że zamierza kupić mieszkanie w Asyżu.

– Pojedziemy tam, Anny. – Całuje mnie w usta.

– Byłam we Włoszech jako osiemnastolatka – mówię radośnie. – Pamiętam Krzywą Wieżę w Pizie.

– Może na wiosnę. Chcę z tobą spędzać więcej czasu.

Potem zaczyna mówić „my”: jak to pojedziemy do Indii, wejdziemy na Kilimandżaro, popływamy w zatoce. Słucham go zafascynowana. Całuję go, głaszczę jego uda, nie dbając o to, że ktoś nas widzi. Nie potrafię przestać go dotykać.

– Miło mi się tańczyło – mówię, zaglądając mu w oczy.

– Uwielbiam z tobą tańczyć – odpowiada, znowu mnie całując.

– Ja też. To znaczy z tobą. – Parskam śmiechem.

– Wszystko mi się w tobie podoba. Chcę być z tobą.

– Skąd wiesz?

– Wiem. A ty chcesz być ze mną?

– Boję się.

– Czego? Nie zrobię ci krzywdy.

– Siebie.

– Chodźmy do mnie.

– Myślałam, że już nigdy nie poprosisz.

Pół godziny później wchodzimy do sypialni Marva. Oświetla ją tylko blask księżyca. Marv zapala świeczkę i natychmiast w powietrzu rozchodzi się mocny zapach kadzidła, podobny do dymu z palonego drewna. Marv wciska jakiś guzik i rozlega się indyjska muzyka. Potem zdejmuje ubranie i odrzuca je na bok. „Boże, ależ on świetnie wygląda. Zero brzucha, długie nogi, ani grama tłuszczu” – zauważam.

– Proszę, nie patrz – mówię słabym głosem. – Jestem... nieśmiała.

Zdejmuję sukienkę, zerkając na nagie zgrabne ciało Marva.

Wciągam brzuch i czekam chwilę, żeby mógł obejrzeć moją piękną nową bieliznę. Potem ją zdejmuję. Marv stoi obok i patrzy na mnie.

– Masz piękne piersi – mówi z uwielbieniem.

– Denerwuję się. Już dawno nie... – Zasłaniam piersi ręką i biegnę do łóżka, starając się to robić z gracją. Jego pościel jest jedwabista w dotyku, nie szorstka i zmięta jak moja. Leżę, nie wiedząc, co dalej. Boję się poruszyć, żeby nie zaczęło mi trzeszczeć w kolanach. Potem na poduszkę Marva skacze Niunia. Patrzy na mnie morderczym wzrokiem jak na uzurpatorkę.

– Ładna muzyka – wyduszam z siebie w końcu. – Zawsze chciałam pojechać do Indii.

– Pojedziemy – mówi, głaszcząc mnie po udzie.

– Już dawno nie... Trochę się krępuję, bo dawno...

– Nie szkodzi. Ja też się krępuję. Masz skórę jak atlas.

Wiedziałem, że taka jest...

– Auu! Czeka! Za mocno naciskasz mi na nogę. O Boże, palec! Boże! – Akurat teraz, jakby nie było innych okazji, mój palec z uszkodzonym stawem wygina się, a ja wyję z bólu. Zrywam się z łóżka i zaczynam skakać po pokoju jak wariatka, aż w końcu wszystko się uspokaja. – Bardzo przepraszam. Czasem mam skurcze i...

– Nie szkodzi – mówi Marv uspokajająco. – Nie przejmuj się. Mnie też się to czasem zdarza.

Wracam do łóżka, a on całuje mnie delikatnie i powoli kładzie się na mnie, mocno mnie trzymając.

– Uważaj.

– Lepiej? – pyta, odsuwając nogę.

– Lepiej – potwierdzam, znowu go całując.

– Uwielbiam, kiedy mnie tak całujesz w szyję – wzdycha.

– To Niunia.

Oboje się śmiejemy. Potem on mnie całuje lekko, delikatnie, i nagle cała staję w ogniu. Nie pamiętam, żebym się kiedyś tak czuła. Indyjska muzyka gra głośniej, a my całujemy się tak

naprawdę, i to jest jak magia, jak inne życie, jakby nie było czegoś takiego jak starość. Jak czas.

Oplatam nogami jego biodra.

– Zrób to teraz – szepczę w nadziei, że mi nie zarosło od nieużywania. Ale on szybko, delikatnie, z wprawą, znajduje się wewnątrz mnie, i to jest coś idealnego, niebiańskiego. Marv mruczy, że chciał to zrobić od pierwszej chwili, a ja, że czułam to samo. Znikają wszystkie opory i obawy, że wydam jakieś dziwne dźwięki albo znów będę mieć kłopoty z palcem u nogi. – Bliżej – szepczę.

– Z żadną kobietą nie było mi lepiej – mruczy Marv.

– Aha – mamroczę, zastanawiając się, z kim mnie porównuje.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Przyciskam go do siebie mocniej. To jakaś magia.

– Mógłbym się z tobą kochać całą noc – szepcze Marv z wargami przy moich ustach.

– Więc to zrób.

– O niczym innym nie marzę. Tak to sobie wyobrażałem. – Marv całuje mnie namiętnie. – Jesteś piękna, bardzo piękna, Anny. Twoja twarz, ciało, wszystko...

Zatracam się w jego ramionach i szepczemy o naszych marzeniach, nie chcąc się rozłączyć. Początkowo trochę się hamuję, jakbym kurczowo trzymała się krawędzi przepaści i bała spojrzeć w dół, nie chcąc mu pokazać, że spadam, spadam, spadam w otchłań. Nasze ciała poruszają się jak w tańcu, a on trzyma mnie mocno, bardzo mocno, a potem jęczy, ja dygoczę, czuję w nogach ukłucia rozpalonych igieł, i już koniec. Koniec.

Leżymy, nie rozdzielając się, usta w usta. Mam wilgotne włosy, nadal oplatom nogami jego biodra. Siły całkiem mnie opuściły. W głuchoj ciszy słycać tylko, jak Niunia liże Marva po twarzy. Całujemy się jeszcze raz, a potem on powoli się ze mnie zsuwa.

– Chcesz wody? – pyta po długiej chwili.

– Nie, dziękuję. – Przytulam się do niego. – Nigdy nie miałam tak szybko... orgazmu. Niesamowite.

– Było wspaniale. Naprawdę gorąca z ciebie laska. – Marv strzepuje poduszki, ziewa i wzdycha. – Wolisz miękką czy twardą?

– Marv, jeśli się nie obrazisz, chciałabym iść do domu. Muszę bardzo wczesnie wstać. – Czekam na jego protesty.

– Jak wolisz, Walentynko. – Marv zdmuchuje świeczkę. Smużka dymu unosi się w powietrze w wychłodzonym już pokoju. – W takim razie się ubiorę. – Idzie pospiesznie do garderoby.

No a ja pełzam na czworakach po podłodze, szukając bielizny, zawiedziona, że Marv nie poprosił, żebym została. Jestem zdziwiona, że się na to nie zdecydowałam, a potem wmawiam sobie, że jeszcze nie czuję się na to gotowa. Znajduję majtki i stanik i wstaję szybko, z trzaskiem kolan. Chce mi się siusiu, ale poczekam z tym, aż wrócę do domu. Krępiję się korzystać z jego łazienki. Myśl, że odgłosy siusiania dotarłyby do jego uszu, przyprawia mnie o dreszcz.

Dygocząc, ubieram się szybko, wpycham stanik do torebki i zapinam marynarkę. Usiłuję się uczesać, ale moje włosy wyglądają teraz jak strzecha, więc tylko je przyglądam.

– Jesteś gotowa, Walentynko? – pyta Marv, wchodząc. Ma na sobie czarny dres i czapkę Giants, wygląda sztywnie i rześko. Nie tak jak ja, z fryzurą jak stóg siana i twarzą pokrytą czerwonymi plamami. Walczę ze sobą, by nie rzucić mu się w ramiona i nie wyznać, że to on jest Panem X i że chcę z nim być. A potem mówię sobie, że nie pora na to.

– Masz wszystko? – pyta.

– Tak.

Marv bierze Niunię na ręce i zjeżdżamy windą do garażu. Jedziemy w mroku. Wszystko się zmieniło. Nigdy nie czułam się tak pełna życia i pożądania. Gwiazdy nadal mrugają. Jest naprawdę wspaniale.

Wbiegam do domu po ciemku. Rozbieram się, zostawiając ubranie na podłodze, wchodzę do łazienki i zapalam światło.

Tym razem moje nagie ciało wygląda inaczej. Na piersiach – pełniejszych, z nadal sterczącymi sutkami – udach i szyi, czyli tam, gdzie Marv mnie pieścił, zostały malutkie siniaczki.



Podchodzę bliżej do lustra i zaglądam sobie w oczy, usiłując w nich dostrzec to coś, co dziś się ujawniło. Tęczówki mam jaśniejsze i lśniące. Uśmiecham się, jakbym zdobyła nagrodę. To cud. Dobry seks nie ma nic wspólnego z wiekiem. To pewne. Oto ja, sześćdziesięcioletnia Anny, która boi się przechodzić przez skrzyżowania, dziś rzuciłam się na Marva jak kocica. Całkiem jakby z mojego wnętrza wyzwolił całą stłumioną seksualność.

Wyłączam światło i idę do łóżka. Chichocząc jak nastolatka, kulę się pod kołdrą. Wyobrażając sobie na swoich wargach usta Marva, zapadam w sen.

## ROZDZIAŁ 13

Tego ranka czuję się chora. Próba siusiania kończy się bólem. W południe umawiam się na spotkanie z moim ginekologiem, doktorem Clayem. Do tego czasu zgięta wpół okupuję toaletę, usiłując oddać mocz. Żeby jakoś zabić czas, dzwonię do Emily. Chwalę się jej moim szczęściem.

– Było bardzo romantycznie. Tańczyliśmy na najwyższym piętrze hotelu. A Marv uprzedzał wszystkie moje życzenia.

– Rób tak dalej. Tylko nie idź z nim do łóżka. Harry i ja nie chcemy, żebyś cierpiała.

– Oczywiście, że nie pójdę.

– To znaczy, że oczywiście poszłaś – syczy moja córka. – Bo skąd ta nagła choroba? Masz zapalenie pęcherza jak nastolatka.

Przez chwilę milczymy, czekając, aż ta druga coś powie. Ale nie mogę się dłużej powstrzymać. Parskam śmiechem.

– Jak nastolatka? Boże, oby nie.

Emily nie podziela mojego rozbawienia.

– I co, twój książę z bajki zaprosił cię na walentynki?

Dzwonił dziś? – pyta, wzdychając. W tle słyszę szczekanie Freda.

– Jeszcze nie – warczę. – Muszę kończyć.

– Oczywiście. Bo wiesz, że mam rację.

Kładę się na kanapie i włączam stację z muzyką klasyczną. Wspaniały głos Pavarottiego wypełnia pokój. Nasłuchuję dzwonek telefonu; w miarę upływu czasu jestem coraz bardziej rozczarowana. Wyobrażałam sobie, że od tej pierwszej wspólnej nocy staniemy się nierozłączni, że będziemy się spotykać i dzwonić do siebie. Wygląda na to, że wiek nie chroni przed naiwnością.

Po dwunastej w południe zjawiam się w poczekalni doktora Claya. Pielęgniarka prowadzi mnie do łazienki na pobranie moczu.

– Proszę zostawić pojemniczek na kontuarze.

– Jasne.

– A potem zapraszam do poczekalni. Wkrótce po panią przyjdę.

Siadam przed gabinetem, udając, że przerzucam starego

„New Yorkera”, i przyglądam się ciężarnym kobietom siedzącym naprzeciwko mnie. „Wyglądają na bardzo zadowolone” – myślę, przypominając sobie własną ciążę. Mieszkaliśmy wtedy w Happy Valley, w efektownym domu stojącym na kilku akrach ziemi. Nie znosiłam podmiejskiego życia, dreptania wokół basenu w gumowych klapkach, palenia i paplania z moimi ciężarnymi koleżankami o foremkach do ciasta i próbkach wykładzin.

Drzwi się otwierają.

– Anna Applebaum! – woła pielęgniarka w bladobłękitnym sweterku zapinanym na malutkie perłowe guziczki. Trzyma w ręku kartę pacjenta. Mijam ciężarne dziewczyny i idę za nią wąskim korytarzem do łazienki, a potem do gabinetu.

– Proszę się rozebrać – komenderuje pielęgniarka. – Wie pani co i jak.

Zamyka drzwi, a ja szybko zdejmuję ubranie. Wciskam majtki i stanik do torby. Wkładam zawiązywaną z przodu koszulę z lichej błękitnej bibułki. Przysiadam na brzeżku stołu z nogami zwisającymi w powietrzu, drżąc.

Wchodzi doktor Clay. To wspaniały lekarz i znamy się od czasu narodzin Emily. Trochę przypomina Sidneya Poitiera.

– Dzień dobry – mówię. U lekarza zawsze brak mi śmiałości. Doktor Clay marszczy brwi.

– Masz ostrą infekcję pęcherza. Wyleczymy to amoksycyliną. – Robi pauzę i przygląda mi się uważnie. – Nie uprawiaj seksu przez co najmniej tydzień. Zapiszę ci także specjalny lek. Weź dwie tabletki przed stosunkiem.

– Mhm. – Żenuje mnie fakt, że moje życie seksualne nie ma dla niego tajemnic.

Doktor Clay tłumy uśmiech.

– Anna, zamieszczam reklamy w „San Francisco Timesie” i ostatnio czytuję *Kroniki viagry*.

– O rany, miło mi.

Lekarz chichocze.

– Lubię Pana X.

– Cieszę się – tylko tyle udaje mi się wykrztusić.

– To ktoś znajomy?

Kiwam głową i oblewam się rumieńcem.

– Właściwie nie.

Doktor Clay patrzy na mnie jak rodzic na dziecko, które kłamie.

– A następnym razem potraktuj seks jak dobre wino. Nie pij wszystkiego naraz.

Purpurowieję, a on klepie mnie po ramieniu.

– Anny, seks pozwoli ci zachować młodość. Ciesz się nim.

Pod wieczór, po zażyciu antybiotyku, czuję się lepiej. Ale nosi mnie i nie mogę zapomnieć, że Marv nie zadzwonił. Wyobrażałam sobie, że po tak wspaniałej nocy przyśle mi kwiaty i będzie gorliwie zabiegać o kolejne spotkanie.

Siedzę przy oknie, spoglądając na żałośnie wąski sierp księżyca, i obsesyjnie zastanawiam się, dlaczego Marv się nie odezwał. Może wypadła mu nagła transakcja albo spotkanie. Wydaje się, że ciągle ma jakieś spotkania i krótkie podróże w interesach. A może tak szaleję, bo brak mi pewności siebie? Mam sześćdziesiąt pięć lat, bolesne zapalenie pęcherza i czuję potrzebę odtwarzania każdego słowa Marva, gestu, pocałunku – wiedząc, że mi się wymyka. Ale jednocześnie uświadamiam sobie, że im bardziej wydaje się nieosiągalny, tym bardziej go pragnę, i jest to takie samo uczucie, jakim jako siedemnastolatka darzyłam Seymoura Altermana, mojego pierwszego chłopaka, z którym – zdjawszy biustonosz – pieściłam się na tylnym siedzeniu jego samochodu, robiąc wszystko z wyjątkiem TEGO.

Włączam telewizor. Oglądam reportaż Barbary Walters o starości i ludziach, którzy dożyli stu pięćdziesięciu lat. Wszystkie te okazy zdrowia po setce nawet nie potrzebują okularów, siedzą w domu starców i wspominają. „Boże, niezłe. Wiek nie ma znaczenia; niektórzy siedemdziesięciolatkowie zachowują się tak, jakby mieli trzydzieści lat, a trzydziestolatkowie – jakby dawno stuknęła im siedemdziesiątka”. Ale nie mogę się skupić. Jestem pobudzona seksualnie, pełna pomysłów, czuję się wulkanem energii.

Szybko, z bijącym sercem, rozkładam pędzle i paletę, włączam Billie Holiday i wybieram trzymetrowe płótno, które Ryan pomógł mi naciągnąć wiele lat temu. Opieram je o ścianę i w uniesieniu zaczynam pracować.

Cienkim kawałkiem węgla rysuję na dole płótna leżącą nagą kobietę. Jej nogi są prowokacyjnie rozchylone w oczekiwaniu na seks. Kobieta lekko odwraca twarz do widza, ma falujące włosy. Pracuję coraz szybciej, cieniując postać, nadając skórze wokół jej sutków ciemniejszy kolor. Godziny mijają mi na stapianiu bieli z kolorem ciała, rozmazywaniu farby tak, by kontury zatarły się jak we śnie. Zadowolona z efektu ubieram kobietę w wysokie szpilki i czarny kapelusz, przekrzywiony zalotnie na głowie. W końcu nakładam kroplę czerwieni na jej zmysłowe usta.

Muzyka przestaje grać, a ja nadal pracuję, nie robiąc przerw na poprawki. Chcę, żeby kobieta emanowała zmysłowością, zapamiętaniem – życiem. Szerokimi ruchami pędzla maluję za nią morze, fiołkową mgiełkę, biały jak kreda piasek. W końcu nakładam na obraz warstwę rozrzedzonej białej farby, przesłaniając jej zapraszające i uwodzicielskie ciało mgłą.

Pod wpływem impulsu zdejmuję roboczą koszulę i przyciskam nagie piersi do mokrej farby, aż ich odcisk się utrwali. Teraz na zawsze połączyłam się z moim obrazem. Tkwię w nim na dobre.

Wystarczy. Odsuwam się i czuję, że ręce mi się trzęsą. Nie mogę przestać patrzeć na kobietę, jakby część mnie stała się nią. W przeciwieństwie do moich pań w pudełkach, schwytyanych i walczących o to, by się wyzwolić, tu ruchy pędzla są dzikie i swobodne, a kobieta jest wolna. Czuję się jak odrodzona czy coś w tym stylu. Nazwę ją Natasha. Zawsze wyobrażałam sobie, że moja muza ma na imię Natasha.

Myję pędzle, odkładam farby, a następnie wlewam do kąpielii płyn o zapachu gardenii. Zapalam aromatyczne różowe świece wokół staroświeckiej białej wanny. Zanurzam się w gorącej wodzie, z przyjemnością patrząc, jak światło świec rzuca tańczące cienie na bladokremowe ściany. Para utrudnia widzenie.

Zmywając farbę z ciała, zastanawiam się, czy Marv śpi, czy o mnie myśli. Czy wkrótce zadzwoni? „Oczywiście, że tak – zapewniam siebie. – Przecież skoro ja czuję coś takiego, to on też. Jestem pewna, że następnym razem będziemy nierozłączni”.

Potem, przed pójściem do łóżka, dzwonię do Janet i Lisy i umawiamy się na obiad w poniedziałek w restauracji w Macy's.

– Mam wam mnóstwo do opowiedzenia – mówię.

W końcu zasypiam.

W poniedziałek w samo południe jem obiad z Janet i Lisą. Janet ma przerwę obiadową; przyszła w ciemnogranatowym zakiecie Chanel, luźnym topie z krótkimi rękawami i spodniach. Niedawno ufarbowane płomiennorude włosy spięła wysoko na głowie, a ciemne, wyraziste oczy ma obwiedzione kreską i podkreślone szarym cieniem. Lisa – elegancka w kobaltowej sukience od Versace z długimi rękawami, rozcięciem z boku i ze srebrną artystyczną broszą – zamówiła sałatkę Cobb. Dzięki regularnym maseczkom i botoksowi jej skóra jest tak napięta i gładka, że aż prawie przezroczysta.

– No, mów – rzuca Janet, pochylając się ku mnie z zaciekawieniem wypisanym na inteligentnej twarzy. – Wyglądasz jak kot, który połknął kanarka.

– Promieniejesz – dodaje Lisa.

Opowiadam im o nocy z Marvem i absolutnie fantastycznym seksie, o tym, jak mi się podobało zbliżenie z nim oraz jak dzięki niemu znowu poczułam się pociągającą kobietą, i to tak jak nigdy dotąd.

– Kochaliśmy się sześć godzin – ciągnę niemal bez tchu – więc nie tylko bolą mnie nogi od obejmowania jego szyi przez całą noc, ale mam zapalenie pęcherza i musiałam dziś iść do doktora Claya po antybiotyki. Ale to był wspaniały seks. Zupełnie wyjątkowy.

– No, to go zachęciłaś – mówi Janet. Zjada kawałek tuńczyka. – Kiedy znowu zadzwoni, powiedz, że jesteś zajęta. Czekać na dłuższe weekendy.

– Tacy mężczyźni po wspaniałym seksie odkładają cię na bok

jak kartę biblioteczną. I idą do następnej.

– Na dole czy na górze? – chce wiedzieć Janet.

– Gdzie tylko zechcesz – odpowiadam zarumieniona. – Tylko ten mój głupi palec ciągle dawał o sobie znać. Nie wspominając już o tym, że martwiłam się... no wiesz, zapachem.

– Kochanie, im ten zapach nie przeszkadza. Uwielbiają nasze wiesz-co. Mówiłam, rozpył tam Chanel No 5.

– Jest fantastyczny – ciągnę z zachwytem. – Tylko że w drodze do domu był jakby... nieobecny. Wiesz, w stylu, „Kim ty w ogóle jesteś?”. Żadnego, „Zadzwoń do ciebie” ani, „Może spotkamy się jutro?”. Życzył mi tylko powodzenia w pisaniu. Chyba onieśmieliła go nasza bliskość.

– Onieśmieliła, jasne! – prycha Janet, wkładając frytkę do małych usteczek. – Dostał amnezji. Te stare pierniki mają utratę pamięci między jedną waginą a drugą. I tak szczęście się do ciebie uśmiechnęło. Z większością to wygląda tak: jedno stęknienie i po sprawie.

– Skąd ja to znam – wzdycha Lisa. – Nie interesuje ich słowo NA „m”, a ja nie chcę seksu bez miłości. To się nie udaje.

– Zgadzam się – mówię.

– Skarbie, może po prostu potraktuj go jako świetne ciało do łóżka. W naszym wieku wolno uprawiać seks bez miłości. Nie słuchaj Lisy. Choćby kobieta nie wiadomo jak zyskała na znaczeniu, po sześćdziesiątce świat przeznacza ją na złom.

– Nie wierzę – odpowiadam. – Nie mogę się doczekać następnego spotkania z Marvem. Kiedy z nim jestem i się kochamy, znów staję się młoda. Wiek nie istnieje.

– Nie licz na to – ostrzega ponuro Lisa. – Po sześćdziesiątce koniec balu, panno Lalo. Chyba że chcesz nosić ubrania jego zmarłej żony, jeździć jej samochodem i sypiać w jej łóżku.

Rozlega się sygnał mojej komórki. Gorączkowo wygrzebuję ją z ogromnej czerwonej skórzanej torby.

– O Boże – mówię, spoglądając na smartfona. – To Marv! Przysłał mi maila. Boże, Boże! Pisze: „Cześć, Walentynko, już za tobą tęsknię. Całuję, Marv”.

– Walentynko? Co to za szajs? – Janet robi śmieszna minę.  
– Mówi, że przypominam mu walentynki, martini i stare filmy.  
– Zdecydowanie coś mi tu śmierdzi – oznajmia Lisa z grymasem.  
– Tylko bez erotycznych maili – ostrzega Janet.  
– Przepraszam, zaraz wracam – mówię. – Pęcherz wzywa.  
Idę do łazienki. W kabinie odpisuję Marvowi: „Ja też tęsknię. Ślę całusy. Płonę. Twoja Walentynka”.

Zdejmuję marynarkę, zsuwam z ramienia czarny sweter z dużym dekoltem i robię fotkę. Boże kochany, trzaskam sobie słit focie w ubikacji, pozując jak szczerząca się obleśnie nastolatka. Jestem opętana. Wysyłam maila Marvowi.

Wracam do stolika, unikając spojrzenia Janet.  
– No, pora się zbierać – mówię, malując usta czerwoną szminką.  
– To powodzenia z Marvem – wzdycha Lisa. – Ale uważaj!  
– Anny ma farta – burczy na nią Janet. – Niech się nim cieszy. Większość takich facetów guzik może.

Żegnamy się, obiecując, że się zdzwonimy.  
Kaźda idzie w swoją stronę. Ja biegnę na tonący w słońcu postój taksówek. Mam rozpięty płaszcz, lekko kołyszę biodrami, nie jestem zgarbiona jak zwykle. Słońce przyjemnie grzeje mnie w twarz, a kiedy jakiś mężczyzna się do mnie uśmiecha, odwzajemniam się tym samym. Wszystko się zmieniło.



## ROZDZIAŁ 14

Minęły dwa tygodnie, a Marv nie zadzwonił. Chodzę po ścianach. Choć sobie wmawiam, że to nieistotne, jestem zdruzgotana. Ale praca idzie mi świetnie. Ostatni felieton – *Nie zadzwonił po seksie* – okazał się wielkim przebojem. Moi fani uwielbiają Pana X. A ja nie mam wyrzutów sumienia, że piszę o Marvie. „On wykorzystuje mnie, ja jego” – mówię doktor Indirze. Rozmawiam z innymi panami po sześćdziesiątce, ale wielbiciele domagają się Pana X. Zасыpują mnie mailami z żądaniem, żebym znowu o nim napisała. Dostaję zaproszenie na wykład o randkach starszych ludzi dla grupy osób w jesieni życia, nazywającej się Niezatapiałni. Przyjmuję zaproszenie i przygotowuję sobie fiszki z punktami przemowy, na przykład: *Po sześćdziesiątce wszystko jest możliwe*.

Następnego dnia późnym popołudniem zjawiam się w hotelu Hilton. Mam na sobie czarne spodnie, obszerny fioletowy kaszmirowy top i nowe skórzane botki z fioletowymi sznurowadłami.

Wita mnie śliczna srebrnowłosa kobieta.

– Jestem Marci Finklestein, koordynatorka spotkania. – Niska, krępa, ubrana w jasnoszarą sukienkę, ze sznurami pereł na szyi. Ma błękitne oczy.

– Zapisano się ponad sto osób. Uwielbiamy te felietony.

– Bardzo się cieszę.

– Pan X jest idealny, ale nieosiągalny. On naprawdę istnieje?

– Musisz dalej czytać – odpowiadam wymijająco.

Gawędzimy o tym i owym. Marci opowiada mi o własnym Panu X.

– To świr. Żyłam z nim cztery lata. Sześćdziesiąt osiem lat, a zachowuje się jak dwudziestoosmiolatek. Ma dwie protezy kolan, ledwie chodzi. – Zniża głos. – W łóżku jest jak zwierzę.

– Aha...

– Wszyscy oni mają protezy kolan i bioder, a uważają się za ciacha. To przez tę cholerną viagrę.

– Czyżby? A może my też jesteśmy kobietami z nowego

pokolenia? Kobiety także walczą ze starością. Robią sobie sztuczne cycki i wstrzykują botoks, a mężczyźni zażywają viagrę. Wszyscy starają się wyglądać młodziej.

Marci się zamyśla.

– Słuszny argument. No, zostawmy to na twoją prelekcję.

Prowadzi mnie do sali konferencyjnej. Jest wypełniona, część widzów używa balkoników. Mają przyczepiane na rzepy identyfikatory z imionami. Wiele kobiet ubrało się w sportowym, eleganckim stylu, w ciężkie buty i szale. Niektóre przyszły z partnerami. Sala jest ogromna, czuć w niej środkiem dezynfekcyjnym. Na podłodze leży niebieska wykładzina w czerwone kwiaty.

Na drewnianym podium stoi plastikowy dzbanek z wodą i zakurzona szklanka. Światła przygasają i Marci Finklestein mnie przedstawia. Trzyma gazetę z moim felietonem *Rozstanie* i rozwodzi się nad tym, jak to moje teksty dotknęły bolesnego tematu.

– Anny Applebaum wierzy, że po sześćdziesiątce wszystko jest możliwe. Czy Pan X jest jej potrzebny? Oddajmy jej głos.

Witają mnie gromkie oklaski. Poprawiam mikrofon.

– Cześć. Mam sześćdziesiąt pięć lat i chcę zostać gwiazdą filmową!

Zrywa się huragan braw.

Czuję, że przepelnia mnie energia. Nie patrzę na notatki. Nawijam jak nakręcona, opowiadam im o swoim życiu i walce z dyskryminacją starszych ludzi.

– Jako trzydziestoletnia mężatka i matka z przedmieść marzyłam, że zostanę pisarką. Ale mąż i moja rodzina powiedzieli, że powinnam zapomnieć o pisaniu, zostać w domu i organizować przyjęcia. Jako czterdziestolatka usłyszałam, że jestem za stara na powrót na studia. Dziesięć lat później poradzono mi, żebym kupiła miejsce na cmentarzu, a jako sześćdziesięcioletniej rozwódce dano mi dobrą radę, bym zrobiła licencję agentki handlu nieruchomościami i zdobyła nowego męża. O, niedoczekanie! Chcę wszystkiego: sławy, fortuny i wiecznej romantycznej

miłości! – wołam do mikrofonu, aż echo odbija się od ścian. –  
Pragnę zmienić świat. Nie życzę sobie botoksu. Wolę siebie!

Sala szaleje. Niektórzy mężczyźni tupią i gwizdzą.

– Wiem, że wszystko jest możliwe! Piszcie książki, dbajcie o  
swój ogród. Nie słuchajcie bredni, że po sześćdziesiątce została  
nam jedynie gra w bingo. W życiu nie tylko o to chodzi.

Znowu rozlegają się gromkie oklaski. Uwielbiam to. Czuję  
wolę życia. Czuję się odrodzona.

A potem Marci oznajmia, że teraz pora na poczęstunek i że  
chętnie odpowiem na wszystkie pytania. Prowadzi mnie w głąb  
sali, gdzie stoi już kolejka. Siadam przy stoliku, skubiąc kawałek  
niebieskiego sera i winogrona. Wszyscy wypytują mnie o Pana X,  
a mężczyźni dodatkowo o viagrę.

– Nie mam nic przeciwko temu lekowi – zapewniam  
malutkiego facecika o wąskiej twarzy. Ma jakieś siedemdziesiąt  
lat, jest blady i zdenerwowany. – Uważam go za najlepszy  
wynalazek od czasu szczepionki na polio. Tu nie chodzi o  
niebieską tabletkę, lecz o nastawienie. Większość mężczyzn po  
sześćdziesiątce chce się umawiać z kobietami, które nie  
przekroczyły trzydziestki.

– No, a czemu nie? – odzywa się krępy, masywny  
mężczyzna w czarnym sportowym ubraniu. Na jego masywnym  
ramieniu widzę wytatuowanego węża. Ma siwe włosy i głowę jak  
gruszka, a także małe, wredne oczka. – Dbam o siebie. Biegam w  
maratonie. Mam siedemdziesiąt jeden lat, a znalazłem się w grupie  
z trzydziestojednoletnimi Rosjankami. Zrobiłem densytometrię i  
lekarz mówi, że moje kości są w świetnej kondycji.

– Kości, tak. To ważne – mówię, popijając kawę.

– Bez urazy, ale ostatniej kobiecie w pani wieku, z którą się  
kochałem, chrupało w stawach. Większość pani rówieśniczek ma  
garby, protezy kolan, raka, do wyboru, do koloru. – Strzela  
palcami.

Dzień się kończy. Wymieniam wizytówki z wieloma  
osobami. Wszyscy chcą utrzymywać ze mną kontakt, należeć do  
grupy. Jestem wzruszona. Uwielbiam rozmawiać z kobietami po

sześćdziesiątce, dodawać im odwagi do spełniania swoich marzeń.

Wybiegam na dwór i pędzę na spotkanie z Emilią. Umówiła się z Harrym na mieście i postanowiłyśmy, że przyjedzie i zawiezie mnie do domu.

Wieczorem siedzę przy komputerze, poprawiając *Złego chłopca po sześćdziesiątce*, kiedy rozlega się dzwonek telefonu. Widzę na wyświetlaczu numer Marva i serce natychmiast zaczyna mi łomotać. Odbieram po trzecim sygnale, zdyszana, jakbym dopiero znalazła komórkę.

– Halo.

– Halo, Walentynko – mówi Marv swoim aksamitnym głosem.

– Halo. – Serce bije mi tak mocno, że boję się, czy on tego nie słyszy.

– Jak tam moja samotnica?

– To ty jesteś samotnikiem – odpowiadam, starając się ukryć rozdrażnienie. – Długo się nie odzywałeś. Jak się miewasz?

– Świetnie. Zadzwoiłbym wcześniej, ale razem z synem, synową i wnuczką pojechaliśmy do mojego weekendowego domu w Bolinas.

– Brzmi wspaniale – mówię, myśląc, że może Marv wrócił wcześniej, żeby się ze mną spotkać.

– Doskonale się bawiliśmy. Moja wnuczka jest cudowna.

– Pięknie.

– Tęsknię za tobą, Walentynko.

– Aha.

– Masz ochotę coś zrobić w sobotni wieczór?

Przez chwilę się waham, czy nie powinnam udawać niedostępnej, ale potem uświadamiam sobie, że przecież potrzebuję materiału do felietonu, i może powinnam nam dać szansę. No i strasznie chcę się z nim zobaczyć.

– No tak, sobotę mam wolną – mówię cicho, nie chcąc pokazać, że mi zależy.

– Kolacja?

– Byłoby wspaniale.

– Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy. Chcę, żebyś spędziła ze mną noc.

## ROZDZIAŁ 15

Jest sobotni wieczór, a ja rozmawiam przez telefon z Janet.

– Mam włożyć koszulkę z Victoria's Secret czy bawełniane podkoszulek?

– Bez różnicy, skarbie. Im chodzi o waginę. Nie słyszą, nie widzą, chcą tylko jednego.

– No więc poprosił, żebym została na noc. To pierwszy raz.

– Dobrze! Tylko żebyś rano nie wyglądała jak zapuchnięta niedojda. Ci goście chcą o poranku widzieć śliczną uśmiechniętą księżniczkę z włosami falującymi na poduszce. Pragną tego, czego nie mieli w młodości z żonami, które ich rzuciły lub umarły.

– Zadzwoń do mnie w poniedziałek. *Ciao!*

Pakuję do torby trzy zmiany bielizny i dwa komplety ubrań – przeświadczona, że spędzimy razem niedzielę – oraz moje najlepsze perfumy. Stroję się w nowy, odsłaniający jedno ramię czerwony sweter z H&M, nowe czarne spodnie i czerwone buty na platformach z dziesięciocentymetrowymi obcasami. Jestem gotowa.

Kiedy Marv dzwoni, zbiegam po schodach z łomoczącym sercem. Jedziemy do restauracji.

– Wspaniale wyglądasz – mówi.

W restauracji pijemy martini z wódką i trzema zielonymi oliwkami. Czuję się jak młoda małżonka w podróży poślubnej. Marv odczytuje moje życzenia z oczu, zamawia wyrafinowane przekąski: wędzonego łososa, profiterolki z kawiolem, kuleczki ziemniaczane. Ma na sobie srebrny kaszmirowy golf, w tym samym kolorze co jego włosy, i szykowną, przepięknie skrojoną tweedową marynarkę.

Rozmawiamy o naszym życiu, o znanych knajpach. Nie wspominamy o ostatnim spotkaniu, a ja nie pytam, dlaczego się nie odzywał. „Jeśli zrobi się nieciekawie, przynajmniej zyskam materiał do felietonu” – powtarzam sobie.

Po drugim drinku Marv zaczyna nawijać o rzadkim różowym diamencie, wartym milion dolarów za karat.

– Jest idealny – mówi z tęsknym westchnieniem. – Jak ty,

Anny.

– Nie jestem idealna.

Marv trąca kieliszkiem mój kieliszek.

– Czekam niecierpliwie, żeby się z tobą kochać. Myślę tylko o tobie. Koniec z randkami.

– Dlaczego? – pytam w nadziei, że to ze względu na mnie.

– Młodsze kobiety nie chcą się spotykać z siedemdziesięciolatkiem i nie mają twojego intelektu. Bardzo się od nich różnisz. – Marv dopija drinka. – Z żadną kobietą nie przeżyłem lepszego seksu – oświadcza takim tonem, jakby znalazł właściwą odpowiedź w teleturnieju.

– Ale ja chcę związku – rzucam, obserwując jego reakcję. – Nie zależy mi na seksie bez zobowiązań. Chcę... miłości.

Marv patrzy mi prosto w oczy z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. W jego spojrzeniu nie potrafię odczytać żadnej emocji.

– Uprawiam seks tylko z tobą.

Zapada chwila krępującego milczenia. Potem on otwiera menu.

– Co chciałabyś na deser?

– Uwielbiam truskawki.

– Kupiłem je na jutrzejsze śniadanie.

– Pierwszy raz spędzę z kimś noc od czasów... małżeństwa.

– Zatem zjawiałś się we właściwym miejscu – mówi Marv, posyłając mi całusa.

Godzinę później jesteśmy w sypialni Marva i rozbieramy się w milczeniu. Szybko wskakujemy do łóżka i przytulamy się mocno. Boże, rzuciłam się na niego jak dzikie zwierzę, nie mogąc się nim nasycić. A on w ułamku sekundy znajduje się na mnie i zaczynamy, ale tym razem nie ma mowy o niezdarności czy wstydzie, jest tylko namiętność. Przywieram do niego, wdycham jego zapach, rozkoszuję się dotykiem jego gładkiej skóry.

– Uwielbiam to – szepczę. – Nie mogłam się tego doczekać.

– Wystarczy, że na ciebie spojrzę, i już chcę cię przelecieć – odpowiada Marv, wbijając się we mnie głęboko. – Widzisz to w moich oczach.

– Ani się waż drgnąć. Zostań tak na zawsze.

I tak kochamy się godzinami, aż pot zlewa nam ciała, a usta stają się rozpalone do bólu. Ten magiczny, ekstatyczny seks sprawia, że zapominam o wszelkich wątpliwościach. Jestem zakochana.

Po wszystkim przytulam go mocno do siebie. Pozostajemy złączeni aż do świtu – wiem, bo widzę smugi szarego światła na tle czarnego nieba. Tak nie kochałam się nawet z mężem. Drzę, wiedząc, że przeżyłam z Marvem coś, czego nigdy nie zapomnę. Wczepiam się w niego kurczowo. Moje ciało jest nim wypełnione.

– Prześpijmy się – proponuje Marv, delikatnie odgarniając mi z czoła pasmo mokrych włosów. – Zaciągnę zasłony. I kupiłem wentylator. Powiedziałaś, że nie zaśniesz bez wentylatora i środka na sen. Mam wszystko.

– Więc wiedziałaś, że przyjdę.

– Musiałaś. Tak jak ja musiałem być z tobą.

Gorliwie, jak chłopiec, który chce się przypodobać, wstaje i włącza wentylator. Przynosi mi szklanekę wody i dwie tabletki nasenne.

– Weź – mówi troskliwie. – Musisz wypocząć. Za ciężko pracujesz.

Łykam tabletki i moszczę się w stercie poduszek. Przez jakiś czas leżymy nieruchomo, przygotowując się na intymne doświadczenie wspólnego snu.

– Wentylator w porządku? – pyta Marv.

– Idealny.

– Jak cholerny huragan – dodaje, ziewając.

Śmieję się i przytulam do niego mocniej.

– Mam sny, w których latam. A ty?

– Ja pływam łódką. Porywa mnie prąd. Płynę i płynę, i nigdy się nie starzeję. – Marv znowu ziewa. – Dobranoc, kochanie – mówi, całując mnie lekko w usta.

Po chwili słyszę chrapanie – jego i Niuni. Usiłuję zasnąć, ale boję się, że wtedy wspomnienia się zatrą, a ja chcę pamiętać wszystko. Leżę więc nieruchomo w ciemnościach, ledwie



odważając się oddychać, i patrzę na pogrążonego we śnie Marva, lekkie drżenie jego powiek, połyskujące srebrem włosy na piersi, szerokie, wysokie czoło, głowę jak piękną rzeźbę, gładką skórę.

W końcu zasypiam. Śni mi się, że kocham się z Marvem w ogrodzie pełnym kwitnących różowych róż.

Przyglądam się, jak światło dnia zalewa niebo, wypierając noc. Rzucam okiem na zegarek. Minęła siódma. Chce mi się siusiać, ale nie zamierzam wstać pierwsza. Wolę, żeby Marv nie zauważył, że moja skóra po śnie pokrywa się czerwonymi plamami. Dlatego leżę nieruchomo, żałując, że nie jestem w swoim domu, gdzie mogłabym spokojnie odprawić poranne rytuały, rozpamiętując każdą chwilę tej nocy.

– Nie śpisz? – pyta Marv, ziewając. Niunia kręci się wokół niego, liżąc go po twarzy.

– Jak się masz? – odpowiadam, zasłaniając usta ręką, żeby nie poczuł mojego nieświeżego oddechu.

Zaczyna dzwonić telefon. Marv siedzi z kamienną miną, dopóki sygnały nie ustaną. Po chwili spogląda na zegarek.

– Dzwonił mój syn. Mam się dziś spotkać z wnuczką. Jak zawsze w niedzielę.

– A, oczywiście – mówię, dziwiąc się, dlaczego mnie nie uprzedził, że jest umówiony. Zastanawiam się, czy tak naprawdę nie dzwoniła Debra.

– Chcesz wziąć ze mną prysznic? – pyta uprzejmie Marv. – Mam nową dyszę z trzema tysiącami dziurek. Namydlę cię.

– Nie, wykąpię się w domu – odpowiadam w nadziei, że zaprotestuje, powie, że spędzę ten dzień z nim. Ale on milczy. Rozgląda się po pokoju.

– Tylko nie zapomnij kolczyków. Zabierz wszystkie swoje rzeczy.

Zagląda pod łóżko, przetrząsa pościel, jakby świat miał się skończyć, gdybym zostawiła po sobie jakiś ślad.

Mam ochotę krzyknąć: „Hej! Ja tu jestem! Nazywam się Anny Applebaum, pamiętasz? Kobieta, z którą rznąłeś się całą noc? Którą obiecałeś zawieźć do Indii? Dlaczego martwisz się, że

coś tu zostawię?”.

– To twój zegarek – mówi, biorąc złoty drobiazg o tarczy iskrzącej się brylantami. – Nie zapomnij.

– Swój mam już na ręce.

Marv marszczy brwi, jakby nie mógł pojąć, co się stało, potem wrzuca zegarek do szuflady szafki nocnej. Bierze na ręce Niunię i idzie do łazienki.

Czekam, dopóki nie rozlegnie się szum wody pod prysznicem i głos Marva śpiewającego *Lady Is A Tramp*. Wtedy podchodzę na paluszkach do szafki i powolutku otwieram szufladę. Ostrożnie biorę zegarek, podziwiając migotanie zdobiących tarczę brylancików. Przymierzam go. Czy to zegarek Debry? Ale jeśli tak, to Marv by mi go nie pokazał. Więc czyj? A może chciał mi w ten sposób uświadomić, iż nie jestem jedyna?

Z naręczem ubrań, rozczarowana, uciekam do łazienki dla gości. Żeby nie było słyhać, jak sikam, odkręcam wodę i staram się za bardzo nie hałasować. Myślę, że Marv dziwnie się zachował – jakby nie miał pojęcia, do kogo należy zegarek. A może wiedział? Czy mi się wydaje, że odkąd usłyszał dzwonek telefonu, zrobił się chłodny? Co się stało z tymi uczuciami, które mi okazywał w nocy? Zaczyna mnie wkurzać, że tak się mnie pozbywa. Ponadto zauważyłam, że zabrał komórkę do łazienki. Pewnie dzwoni do byłej żony. A może tylko sobie to wyobrażam? Może wynajduję urojone przeszkody, żeby uniknąć bliskości? A może gniewam się, bo w głębi duszy wiem, że Marv żyje chwilą i lada moment może zniknąć z mojego życia?

Ubieram się szybko w nowe džinsy i czarny golf, które kupiłam na ten weekend. Muszę uważać. Dobrze to rozegrać. Dopóki nie zdobędę dowodów, że Marv spotyka się z byłą, nie zostawię go. Zaczekam i zobaczę, co będzie.

Ochlapuję twarz zimną wodą, myję zęby, a potem czeszę się w kok. Chowam swoje rzeczy do torby, zapinam ją, wmawiając sobie, że wszystko się ułoży, i wychodzę z łazienki.

– Śniadanie prawie gotowe – mówi Marv.

Przez chwilę stoję w drzwiach kuchni, przyglądając się, jak

robi kawę w luksusowym jaskrawoczerwonym ekspresie i ostrożnie wrzuca cienkie skórki cytryny do malutkich szklanych filiżanek. Z superszybkiego kosztownego tosterka wyskakują dwie grzanki. Marv jest we własnym świecie, bardzo dalekim od tego, w którym byliśmy wczoraj, i znowu czuję się jak gość, który się zasiedział. Stoję, patrząc na niego, i mam ochotę wziąć go w objęcia, nawiązać jakiś bliższy kontakt, tymczasem gawędzę o kawie i różnych rodzajach ekspresów. Marv nie odpowiada. Składa białe serwetki w kwadraty.

Widzę rzeźbę, której dotąd nie zauważyłam. Wspaniała kubistyczna twarz kobiety o jaskrawoczerwonych ustach.

– Podoba mi się ta rzeźba. Nowa?

Marv nie podnosi głowy.

– Razem z dekoratorką kupiłem ją na licytacji. Nazywa się *Alice*. Piękna, prawda? To prawdziwa sztuka.

– Po czym poznaje się prawdziwą sztukę?

– Po tym, że nadaje się do muzeum. Jest droga.

– Aha.

– Jedzmy, Anny. Masz ochotę na omlet z białek i pełnoziarnisty tost?

– Pewnie. – Siadam obok niego, myśląc, że starannie się ubrał na spotkanie z wnuczką. Ma na sobie bładobłękitny kaszmirowy sweter i tweedową marynarkę oraz obcisłe dżinsy.

Stół jest ozdobiony orchideami i serwetkami z beżowego lnu. Marv smaruje tost dżemem, nie wychodząc poza brzegi skórki. Potem schludnie je omlet z serem, nie rozsypując ani okruszka. Pożywia się z takim skupieniem, jakby śniadanie było najważniejszym punktem jego dnia. Wzdycha i powtarza: „Robię świetne omlety”.

– Masz piękne orchidee. Kocham te kwiaty – oznajmiam, starając się podtrzymać rozmowę. Zastanawiam się, czy Marv czuje się tak samo skrępowany i rozdrażniony jak ja.

– Razem z moją byłą żoną Debrą hodowaliśmy orchidee. Po rozwodzie się nimi podzieliliśmy.

– Aha. Rozumiem. – Zastanawiam się, co jeszcze dzięła.

Skubię tost, starając się nie chrupać za głośno, i powtarzam sobie, żeby wrzucić na luz, że może Marv rano nie ma humoru, że może tylko wyobraziłam sobie jego chłód.

– W czwartek wyjeżdżam do Palm Springs – rzuca nagle, nie podnosząc głowy. – Na trzy tygodnie. Organizują tam pokaz diamentów.

– Ach, rozumiem. – Staram się zachować pogodny ton, ale zastanawiam się, kogo Marv zabiera ze sobą.

– Mam tam mały domek – ciągnie szybko, unikając mojego wzroku. – Kupiłem go przed laty, żeby Debra mogła rozgrywać turnieje – jest zawodową tenisistką – a po rozwodzie korzystam z niego...

– Już mówiłeś – przerywam mu. – No, a ja muszę jutro oddać tekst. Piszę felieton o związkofobach po sześćdziesiątce.

– O kim?

– Mężczyznach, którzy chcą tylko seksu, a nie związku. Emocjonalnie upośledzonych przygłupach, którzy zawsze pragną coraz bardziej doskonałej kobiety. Młodszej. Ładniejszej. Bogatszej. Nie potrafią dbać o uczucia.

– Interesujące – mówi z kamiennym wyrazem twarzy.

– Pewnie i tak nie czytasz moich felietonów. – Mam ochotę wyznać mu, że jest pierwowzorem ich bohatera i że nie ufam mu bez zastrzeżeń.

– Ależ czytam. Są bardzo dobre – odpowiada, unikając kontaktu wzrokowego.

– Dziwne, że nie wiesz, czyj to zegarek.

Marv spogląda mi prosto w oczy.

– Chyba mojej dekoratorki. W zeszłym tygodniu przedstawiała tu meble razem z asystentem. Mogła go zostawić.

– Rozumiem. – Oddycham z ulgą. „Że też zawsze muszę brać pod uwagę najczarniejszy scenariusz”.

Marv spogląda na zegarek – jakby nie było mnie w kuchni – wstaje i zaczyna sprzątać. Zmiata maleńkie okruszki do metalowego kosza, mamrocząc, że jego „pani do sprzątania” niedługo przyjdzie, a on nie znosi nieporządku. Jeszcze raz

przeciera gąbką marmurowe blaty, głośno utyskując, że sprzątaczką ostatnio się nie spisała.

– Lubię porządek – powtarza. A potem, jakby sobie o mnie przypomniał, ogląda się przez ramię i pyta: – Gotowa?

– Ależ oczywiście.

Dopiero minęła ósma. Marv prowadzi szybko, z roztargnieniem. Ta cholerna Niunia leży mu na kolanach z zadowoloną miną. Jeszcze nie całkiem rozjaśnione niebo zasnuwa różowa mgiełka. Ulice są puste i zimne. Wkrótce zaroi się na nich od par bawiących się w niedzielę, a ja wracam do domu odwożona przez kochanka. Odprawiona. Jego układy z byłą żoną wydają mi się za bardzo małżeńskie. A może to tylko moja chora wyobraźnia? Doktor Indira twierdzi, że mam tendencję do katastroficznego myślenia. Przecież nie każdy zachowuje się tak jak ja. Fakt, że nie rozmawiałam z ojcem Emily od czasu rozstania, nie oznacza, że rozwiedzeni małżonkowie nie mogą pozostać przyjaciółmi.

Kiedy w końcu docieramy do mojego domu, Marv nie wyłącza silnika i nie odpina pasa, jakby bardzo mu się spieszyło. Zapada pełne napięcia milczenie. Wydaje mi się, że on wie, iż czekam, aż mi obieca spotkanie, coś powie – cokolwiek...

– No cóż, było... świetnie – mówię.

Marv całuje mnie wargami ściągniętymi w pomarszczony dzióbek.

– Powodzenia w pisaniu – mówi oficjalnie.

Walczę z sobą, by nie krzyknąć: „E, facet! Co to za »powodzenia«, kiedy się zobaczymy?”. Ale milczę. Wyskakuję z samochodu i biegnę do budynku.

Reszta tego dnia upływa jak w koszmarze. Miotam się między ekstazą i depresją. W jednej chwili nienawidzę Marva, w drugiej wmawiam sobie, że tylko przestraszyłam się z powodu zegarka i szukam pretekstu, żeby zakończyć nasz związek.

Po kąpeli i rozpakowaniu torby usiłuję pisać, ale okazuje się to niemożliwe. Muszę zrozumieć, co poszło nie tak. Czy Marv naprawdę jest tak oziębły, czy po prostu przeczytał moje felietony i usiłuje zachować dystans? A może nie obchodzi go, że o nim

piszę? No, nie wiem. Nie potrafię go rozgryźć i to mnie doprowadza do szaleństwa. Otępiała z niewyspania robię kawę. Potem dzwoni Emily.

– Dlaczego jesteś w domu? – pyta.

– A ty po co dzwonicz?

– Siedzisz w domu w niedzielę? Myślałam, że zostaniesz u niego na weekend.

– Miałam robotę – kłamię.

– Dlaczego nie spędza z tobą niedzieli? Mężczyźni w jego wieku nie odwożą kochanek do domu w niedzielę rano.

– Emily, proszę cię, daj mi żyć.

– Harry też mówi, że to zły znak.

– Jaki znak? Ledwie się znamy.

– Znacie się na tyle, żeby pieprzyć się jak króliki.

– Emily, nie mów tak. Jestem na krawędzi przepaści, a to mi nie pomaga.

– Masz roztrzęsiony głos. Martwię się o ciebie.

– Nie jestem roztrzęsiona! – pryham.

– Dobrze było?

– Emily, nie zamierzam z tobą omawiać swojego życia erotycznego.

– No pewnie – mówi moja córka z przekonaniem – bo nie robisz z nim nic innego.

– Nie znasz go. Pod wieloma względami jest wspaniały.

– On żyje chwilą. A prawdziwy związek?

– Z czasem.

– Z czasem, akurat.

– On się boi. Został zraniony.

– Nic ci nie daje! – piekli się Emily. – Co od niego dostałaś: kwiatek, bombonierkę, cokolwiek? I nie mów znowu o tych gardeniach. On cię obraża.

– Jest zraniony. Jak wielki lew, który liże swoje rany.

– Nie aż tak, żeby nie kochać się z tobą przez całą noc. Harry mówi, że to seryjny uwodziciel.

– Na pewno nie! – krzyczę. – Jest kimś więcej. Zaufaj mi. W

przeciwным razie bym z nim nie była.

– Byłabyś. Dla felietonu zrobisz wszystko. Spójrz prawdzie w oczy. Wykorzystujesz go, żeby o nim pisać. I udajesz, że piszesz o kimś innym. Twój Pan X ma małą białą psinę, jeździ czarnym mercedesem i jest handlarzem diamentów. Zakochałaś się w nim i prowadzisz niebezpieczną grę.

– Przestań. Nie znasz go. Jest kimś lepszym! – krzyczę. – O wiele lepszym.

Rozłączam się i przypominam sobie, że Emily razem z Harrym sprawdzają JDate. Ma rację. Dlaczego zostałam odwieziona do domu w niedzielę rano? Zaczynam się wkurzać. Włączam radiową stację z muzyką klasyczną. Wspaniały głos Pavarottiego wypełnia pokój i koi moje zmysły. Ale choćbym nie wiadomo jak długo sobie wmawiała, że dopiero się poznajemy, wiem, że to nieprawda. Marv nie dba o uczucia, po seksie zachowuje się jak ktoś obcy. Może tylko wyobrażam sobie, że jestem dla niego kimś więcej niż seksualną rozrywką?

Szybko włączam komputer i zaglądam na portal. No jasne, Marv wszedł na stronę godzinę po odwiezieniu mnie do domu, chociaż mówił, że skończył z JDate. I znowu jestem wstrząśnięta. Czuję się wykorzystana – Marv już szuka następnej kobiety. Nie powinnam więc mieć wyrzutów sumienia, że posłużyłam się nim w swoim felietonie o Panu X – w końcu chodzi o moją pracę i karierę, a na dodatek zaliczam świetny seks. Tak jest sprawiedliwie. Gra się zaczęła.

Wściekła, zaczynam pisać felieton *Nie zapomnij zegarka* – o naszym spotkaniu, moich oczekiwaniach i rejteradzie Pana X.

*Jest jak w niebie, toniemy w pożądaniu.*

*W mroku Pan X wydaje się lśnić; oczy ma jak sowa, dotyka mnie czule i namiętnie, ale kiedy ogień wygasa i nastaje dzień, staje się chłodny, odległy.*

*Czy seks oznacza miłość? Pan X kocha się jak wygłodzony chłopiec – czuły, odważny, gorliwy, serdeczny, tak, wszystko to ma*

*– ale potem odchodzi gdzieś daleko, gdzie nie mogę go osiągnąć, jakbym już nie istniała.*

*Co jest z tymi mężczyznami, którzy nie dzwonią po seksie? Czy mają jakąś poważną usterkę? A może chodzi o inną kobietę? A może po sześćdziesiątce wszystko się zmienia? Czy żądam gwiazdki z nieba? Chcę bliskości, czegoś więcej niż tylko seks.*

Przez następne dwie godziny robię szczegółowe notatki z naszej wspólnej nocy. Piszę:

Zauważam świeczkę – bardziej wypaloną niż w dniu, gdy tu byłam – a na jego nocnej szafce miętówki w blaszanym pudełku z wieczkiem w różyczki. Na szezlongu w sypialni leżą czerwone jedwabne poduszki, których tu ostatnio nie widziałam. Dekoratorka? No i te orchidee, zawsze świeże. Jego była żona je hoduje.

Wreszcie opadam z sił i wyłączam komputer. Jak zawsze po pisaniu czuję się, jakbym zbudziła się ze snu, przenosząc się do innego miejsca. Robię porządek w mieszkaniu, podlewam rośliny, układam „New Yorkery” i koszyki z suszonymi płatkami kwiatów i muszelkami na drewnianym stole pod ścianą. Zza biblioteczki wyłania się mysz. Pędzi do kąta i znika w pęknięciu w ścianie. Biedne zwierzątko. Chcę ją złapać i wypuścić na dwór. Tutaj ugrzęzła jak w pułapce.

Po kolacji bez wytchnienia szkicuję kobiety w kapeluszach. Przypominam sobie, jak w drodze do restauracji Marv zatrzymał samochód, by tęsknie przyjrzeć się budynkom na Broadwayu.

– O, to są prawdziwe domy – powiedział.

Kim jest ta druga kobieta? Czy to jego była? To, czego Marv nie mówi i nie robi, wskazuje, jaki jest naprawdę – oto właściwy Pan X. Jego słowa nie mają znaczenia. Jego milczenie, sposób, w jaki szacuje mnie wzrokiem, kiedy sądzi, że tego nie widzę, nagły przypływ czułości, kiedy chce seksu... Ale potem przypominam sobie, że jestem zdolna do życia złudzeniami w przekonaniu, że to prawda. Więc może siebie oszukuję i Marv jest taki sam jak ja – po



prostu boi się zakochać?

Coraz bardziej zdenerwowana dzwonię do Janet i opowiadam jej o nocy z Marvem.

– Fajnie było? – pyta, żując. Ona zawsze coś je.

– Tak, ale potem znowu ochłódł. No i na jego nocnej szafce leżał złoty zegarek, a on myślał, że to mój.

– Skarbie, mężczyźni są emocjonalnie opóźnieni. Szczęście, jeśli zapamiętają twoje imię. I jeśli im staje. Kochanie, ciesz się tym, co masz. Muszę obejrzeć powtórkę *Mad Menów*. Pogadamy jutro.

Mija dziewięć dni. Marv nie zadzwonił, ale felieton o zegarku okazał się przebojem. Fani szaleją. Zostaję zaproszona do audycji dla ludzi po sześćdziesiątce. To popularny program z udziałem słuchaczy, poruszający problemy starszych osób. Zgadzam się. Nie mogę się doczekać rozmowy o pokoleniu viagry i Panu X.

Następnego dnia koło północy czekam w rozgłośni radiowej na czwartym piętrze wysokiego budynku na Montgomery Street, w sercu dzielnicy finansistów. Siedzę w małym, zakurczonym pokoju ze szklanym przepierzeniem, za którym widać gospodynię programu – zmęczoną, opuchniętą kobietę w słuchawkach.

Razem ze mną czeka nadęty mężczyzna pod siedemdziesiątkę z łysiną przykrytą czapką Giantów. Przedstawia się i oznajmia, że napisał ważną książkę o tym, jak się wzbogacić.

– Po trzydziestu pięciu latach od ukończenia Harvardu ląduję w tym badziwnym programie.

– To straszne – mamroczę.

– Jestem poważnym pisarzem, a moja agentka każe mi spać w jakichś zakazanych hotelach. Ohyda. Odchodzę z tego wydawnictwa. Jeszcze pożałują.

Drzwi się otwierają i poważny autor idzie na trzyminutową rozmowę.

Przeglądam stary numer „People”.

Słucham głosów dobiegających z głośników na ścianie.

Obrażony na cały świat mężczyzna opowiada o sobie. Nikt nie

dzwoni.

W końcu wychodzi, nadęty, trzaskając drzwiami.

– Rachel Applebaum! – woła gospodyni programu.

– Anny – poprawiam ją, wchodząc do szklanej budki.

Wkładam słuchawki.

Przed gospodynią leży na biurku mój najnowszy felieton *Zostaw światło włączone*. Kobieta ma jakieś czterdzieści pięć lat, ładną twarz, wielką natapirowaną fryzurę i niebieski lakier na paznokciach. Zapala papierosa, powoli wydmuchuje dym.

– Ten program dla starych dziadków to kanał. Wszyscy staruszkowie do mnie uderzają. Młodzi nie mogą nawet marzyć o erekcji trwającej cztery godziny.

– No, nie chodzi tylko o to...

Kobieta je chili pomiędzy kolejnymi sztachnięciami, narzekając na „cholerną branżę”.

– Nie płacą mi aż tyle, żebym miała tu siedzieć całą noc i robić wywiady z bandą świrów.

– Na pewno ma to jakieś dobre strony.

Gospodyni programu gasi papierosa, ostrzega, żebym nie pisnęła ani słowa, dopóki nie podniesie ręki, i zaczyna odliczać.

Przedstawia mnie jako Rachel Applebaum, autorkę *Kronik viagry*.

– Anny – poprawiam ją znowu.

– Rachel Applebaum pomoże wam zachować młodość. –

Kobieta co najmniej trzy minuty jazgocze o tym, jaka starość jest obrzydliwa we współczesnym społeczeństwie i że Rachel Applebaum ma na nią nowy sposób.

– Dobija osiemdziesiątki i wie, gdzie bije fontanna młodości. Wierzy nawet, że starsze kobiety mogą uprawiać seks.

Zaczynają dzwonić słuchacze.

– Nie wierzę w określenie „starość” – mówię. – Seks to seks, niezależnie od wieku. Tu chodzi o pożądanie, ducha, nie wiek.

Liczba dzwoniących rośnie lawinowo. Większość kobiet i mężczyzn wydaje się pijana. Wrzeszczą, że jestem suką i nie wiem, o czym mówię.

– Czy ty rozumiesz, kobieto, co to znaczy nosić pieluchy, być opuszczonym?

Niektórzy wydają się zrozpaczeni, samotni w tłumie.

– *Viva viagra!* – woła jakiś facet i rzuca słuchawką.

– Ej, laska! Spotkajmy się po programie. Pokażę ci, co to jest viagra.

– Pan X to cholerny seksualny świr – mówi jakaś kobieta z nowoorleańskim akcentem.

Dzwonią panie, które pieklą się, że Pan X interesuje się tylko młodymi i że powinnam go rzucić. Inne mówią, że oszczędzają na liftingi i że straciły pracę z powodu jednej zmarszczki.

– Tu chodzi o nastawienie – tłumaczę. – Młodość nigdy was nie opuszcza, jest w was. Trzeba ją tylko w sobie odnaleźć.

– Pan X to dupek! – krzyczy kolejna kobieta, dowodząc, że potrzebuję prawdziwego mężczyzny.

– Drodzy państwo, rozmawiała z wami Rachel Applebaum. Dziękuję i dobranoc – mówi prowadząca i zupełnie jakby mnie tu nie było, wraca do jedzenia chili. Wybiegam na dwór.

Po północy na Market Street panuje dziwna cisza. Wystawy sklepów są zabezpieczone żelaznymi kratami, okna toną w mroku. Idę ciemnymi, prawie wyludnionymi ulicami, i nagle czuję się bardzo samotna. Dostrzegam taksówkę. Rzucam się ku niej pędem, wrzeszcząc:

– Człowieku, nie waż się odjeżdżać! Czekaaj!

Potykaając się na szpilkach, biegnę do samochodu.

Kilka dni później w poniedziałkowy wieczór dzwoni Marv. Mówi, że w Palm Springs było gorąco i że ciężko pracował. Sprzedał diament angielskiej gwiazdzie rocka. Dźwięk jego głosu sprawia, że znowu unoszę się w stanie nieważkości.

– Chcesz się wybrać na kolację jutro wieczorem? Albo dzisiaj? – pyta, zniżając głos.

Waham się.

– Wiesz, muszę oddać tekst...

– Anny, chcę się z tobą spotkać. Tęsknię.

– No to jutro, ale wczesnym wieczorem.

– Przyjadę po ciebie. Zamówimy jedzenie do domu.  
Obejrzymy następny odcinek *Mad Menów*.

Przez resztę dnia sama myśl o nim powoduje, że czuję motyle w żołądku. Znowu mam wyrzuty sumienia, że o nim piszę, choć go kocham. Postanawiam oddzielić sprawę Marva od swojej pracy. Potem zamiast iść jak zwykle na spacer, myję i suszę włosy, robię manikiur i pedikiur – paznokcie maluję ciemnoszkarłatnym lakierem.

Jestem gotowa zapomnieć o strachu przed odrzuceniem i rozpocząć nową podróż. Jestem skłonna podjąć ryzyko.

## ROZDZIAŁ 16

– Czyj to pies? – pytam następnego wieczoru w mieszkaniu Marva.

– To Coco, koleżanka Niuni – wyjaśnia. – Suczka Debry. Po rozwodzie ona wzięła Coco, mnie przypadła Niunia. Kiedy jedno z nas wyjeżdża, drugie opiekuje się jego psem.

– Uroczo... – syczę z zazdrością.

– Nie bądź taka. Debra i ja tylko się przyjaźnimy.

Marv – bardzo pociągający w czekoladowym swetrze i obcisłych džinsach – zajmuje się robieniem koktajli, a ja tymczasem idę do łazienki, gdzie znowu otwieram apteczkę i sprawdzam butelkę z viagrą. Jest w niej więcej pigułek niż poprzednio. Nie potrafię odgadnąć, ile tabletek wziął Marv.

Godzinę później leżymy w łóżku. Kochamy się, jakby tego okresu milczenia w ogóle nie było. Marv jest czuły, szepcze, że myślał tylko o mnie, że z nikim się tak nie kochał, że to ja jestem tą jedyną. Zapominam o wszystkich wątpliwościach, a seks z nim przenosi mnie w inne, piękne miejsce.

Potem Marv wstaje i przynosi tacę z dwiema szklankami wody. Stawia ją na nocnej szafce i mości się na łóżku, trzymając w ręce pilota. Wcisną guzik i materac się podnosi.

– Czy nie jest wspaniały? Z gąbki. Dobry na kręgosłup. Dzięki niemu zachowuję młodość.

– Świetnie – mówię.

Siedzimy, jemy chińskie danie na wynos – krewetki z zieloną fasolką – i oglądamy *Mad Menów*, których uwielbiam. Kocham tę wystylizowaną czerń i biel, kostiumy z lat pięćdziesiątych. Pamiętam, że sama tak się ubierałam. Dzięki Bogu rola kobiet się zmieniła i mamy więcej możliwości. Po programie opowiadam o moim felietonie. Chcę sprowokować Marva, żeby zaczął się o niego dopytywać, ale on tylko kiwa głową i mówi: „Wspaniale sobie radzisz”.

Przełącza telewizor na *David Letterman Show*. Poprawia poduszki.

– Na pewno niczego nie chcesz? – pyta jeszcze raz.

– Tylko ciebie.

Nie odpowiada. Miałam nadzieję, że bliskość seksualna przerodzi się w coś innego, tymczasem on świata nie widzi poza Lettermanem przeprowadzającym wywiad z Kim Kardashian, która kwęka, jak trudno jest znosić sławę i iść za głosem serca. Mam ochotę krzyknąć: „Halo, ja tu jestem! Gdzie się schowałeś? Hej, to ja, Anny! Pamiętasz? Kobieta, którą przed chwilą przeleciałeś!”.

Program się kończy i Marv wyłącza telewizor. Naelektryzowany ekran trzeszczy.

– Nie mogę dziś zostać. Chyba wrócę do domu – mówię po chwili.

– Anny, kochanie, proszę. – Marv przygląda mi się z bólem. – Wiem, uważasz, że spotykam się z inną, ale to nieprawda. Jesteś tylko ty, Anny. Musisz mi zaufać.

– No dobrze, ale wyjdę z samego rana – odpowiadam zadowolona, że jednak poprosił.

Przytulam się do niego, on gasi światło pilotem. Zapada ciemność. Całujemy się, a potem Marv odwraca się na bok. Niunia i Coco moszczą się na miękkiej poduszce. Usiłuję zasnąć.

Następnego ranka budzę się, powoli otwierając oczy. Ze zdziwieniem przekonuję się, że Marv już wstał. Słyszę szum wody w łazience za garderobą. Przyglądam włosy, oszołomiona i lekko nieprzytomna, i – ubrana w jego czarną jedwabną piżamę – biegnę do łazienki. Marv stoi nagi przy podwójnej umywalce i myje twarz.

– Dzień dobry – mówię, całując go.

– Dzień dobry, kochanie.

– Zasnęłam. Wymęczyłeś mnie – dodaję ze śmiechem.

– Patrz, kupiłem ci szczoteczkę do zębów. Tylko nie wyciskaj pasty od dołu tubki. Widzisz? Od góry, a potem zawiń koniec.

– Jasne.

Marv całuje mnie w usta.

– To była wspaniała noc – szepcze. – Napisz to w felietonie. Nikt nie uwierzy. Mężczyźni w moim wieku noszą dres i oglądają

pornosy.

– Mój ty tygrysie – odpowiadam żartobliwie.

Uwielbiam ten nowy dla mnie objaw bliskości – wspólne mycie zębów. Z Donaldem było całkiem inaczej. Płukał gardło, strasznie charcząc, spluwał do umywalki i biegł do pracy, nawet na mnie nie patrząc. Bliskość to dla mnie coś nieznanego, czego nigdy się nie nauczyłam i co przepęlnia mnie błogością i ciepłem.

Stojąc obok Marva, ze światłem świecącym mi prosto w twarz, myję zęby, starając się nie bryzgać wodą ani nie bulgotać. Marv myje zęby wypasioną szczoteczką elektryczną, następnie płucze usta miętowym płynem, wypluwając go powoli i z wdziękiem. Wszystkie jego ruchy są eleganckie, precyzyjne – nawet ta prozaiczna czynność. Potem otwiera plastikowy pojemniczek z przegródkami na każdy dzień tygodnia, wyjmując jakieś pigułki, popija je wodą ze lśniącej szklanki i myje ręce. Wreszcie wkłada bieliznę.

Przyglądam się mu, kiedy stoi w czarnych bokserkach od Calvina Kleina – szczupły, opalony – i widzę zwisającą skórę na jego udach, różową łysinę przeświecającą przez starannie zaczesane rzędzące włosy, lekkie drżenie rąk. Ogarnia mnie fala ogromnej miłości. Obejmuję go w pasie i mocno przytulam, wdychając mydlaną woń jego gładkiej skóry. Prawie omdleвам.

Marv całuje mnie w usta. Wargi ma chłodne i pachnące miętą.

– Szaleję za tobą – mówi, ściskając mnie ze wszystkich sił. – Uwielbiam z tobą być.

– Czy nie byłoby wspaniale, gdybyśmy żyli tak zawsze? – Przyglądam się jego przystojnej twarzy w porannym świetle.

Marv całuje mnie w czubek głowy.

– Anny, rządzą tobą emocje. Tylko ci się wydaje, że chciałabyś to mieć przez cały czas. Wierz mi, to nieprawda. Ciesz się chwilą. Jesteśmy starzy. Nie wiadomo, kiedy jedno z nas zachoruje i będziemy musieli się sobą zajmować. Więc ciesz się chwilą.

– Chcę czegoś więcej niż chwila! – wybucham i przyglądam

się jego spokojnej twarzy, szukając jakiejś reakcji.

Marv kiwa głową.

– Już postępowałem zgodnie z tą logiką. I dwa razy się rozwodziłem. – Ubiera się dalej.

Ja też się ubieram, starając się nie okazywać urazy. Wkładam dzinsy malowane w kwiaty i długi czarny, odsłaniający ramię kaszmirowy sweter.

W drodze do mojego mieszkania Frank Sinatra ryczy z głośników, a Marv prowadzi z zaciętą miną, jakby powstrzymywał słowa cisnące mu się na usta albo się gniewał. Ale nic nie mówi, tylko nuci *My Funny Valentine*. Zatrzymuje samochód przed moim domem, nie gasząc silnika. Całuje mnie lekko w usta i dziękuje za „piękną noc”.

– Proszę, nie mów, że z nikim nie miałeś lepszego seksu.

– Dlaczego? To prawda.

– Trzymaj się. – Wsiadam z samochodu. Marv odjeżdża, zanim zdążę dojść do drzwi.

Biegnę przez gęstą mgłę, mijam Ryana, który podlewa róże przed wyjściem do pracy i widzi odjeżdżający samochód. Wpadam do swojego mieszkania.

Marv znika na tydzień, a ja dalej pracuję nad felietonami o Panu X. Ostatni – *Z nikim nie miałem lepszego seksu* – bije rekordy popularności. Kobiety piszą do mnie, oświadczając gniewnie, że wolą miłość, i pytają, czemu sprawy seksu i miłości trzeba rozdzielać. Dlaczego nie mógł powiedzieć: „Kocham cię”? Pod nieobecność Marva wydaje mi się, że mi na nim nie zależy. Wmawiam sobie, że spotykam się z nim tylko dla materiału na felieton. Ale w głębi duszy wiem, że to nieprawda.

Po jego powrocie znowu zaczynamy się widywać. Marv dzwoni w poniedziałki, zaprasza mnie na wtorek lub czwartek, rzadziej w weekendy, wyjaśniając, że ma wtedy pokazy diamentów czy inne biznesowe sprawy. Powstrzymuję się od powiedzenia tego, co ciśnie mi się na usta, ponieważ mam wyrzuty sumienia, że o nim piszę. Przekonuję sama siebie, że Marv mnie kocha, tylko nie umie tego wyrazić w taki sposób, jakiego pragnę. Podczas



każdego spotkania powtarzamy ten sam schemat: jedziemy do restauracji na North Beach, a potem, upojeni pożądaniem, wracamy do niego, gdzie usiłujemy obejrzeć jakiś film, ale nigdy nie udaje nam się dotrzeć do końca. Potem Marv jak zwykle wydaje się chłodny i odległy, a ja przysięgam sobie, że nigdy więcej się z nim nie spotkam. W nadziei, że coś się zmieni, codziennie wchodzę na JDate i widzę, że Marv regularnie tam zagląda. Wściekła, wyładowuję swoje niewypowiedziane żale w następnym felietonie o Panu X. Co za ironia losu – Marv jest kołem napędowym mojego sukcesu i sławy. No i nie zapominajmy o świetnym seksie.

Ale potem, kiedy postanawiam mu powiedzieć, że to koniec, nagle przypomina mi się, jak się kochaliśmy pod przyszcicem, ozywiam w pamięci deszcz gorących kropel na skórze, śmiech, kiedy woda zalewała nam usta.

Czasami nie wiem, czy Kocham Pana X, czy Marva. Ale nie mogę przestać. Moje ciało go pragnie, a ja marzę o wspólnym życiu w Paryżu, o pisaniu, malowaniu, dokończeniu powieści. Zadręczając się rozmyślaniami o Marvie, nieustannie robię o nim notatki. Piszę, co je lub czego nie je, o jego nadmiernie wystudiowanym wystroju domu, zbyt schludnej garderobie, wypolerowanych paznokciach, ogromnych datkach dla Jewish Federation, o jego obsesjach. O tym, jak zamartwia się jedną małą ryską na wypolerowanym samochodzie. Ale także o jego zamiłowaniu do piękna – miłości do słońca, natury, ładnych przedmiotów. Uświadamiam sobie, że tworzę całe scenariusze. Wkładam seksowne buty w stylu Joan Crawford i trenz na gołe ciało, w środku nocy pukam do drzwi Marva i przeżywamy bajeczny seks. Utrzymuję wysokie napięcie, staram się, żebyśmy siebie zaskakiwali.

Tak jak w przypadku obrazów Joan Mitchell, Picassa i de Kooninga, które uwielbiam i na które mogę patrzeć godzinami, zastanawiając się, co się kryje pod ich powierzchnią, mam ochotę wyłowić jego duszę i zajrzeć do środka. Czasem przyłapuję go na tym, jak przygląda mi się wnikliwie i krytycznie – jak diamentowi,

który obraca, podnosi do światła i szuka jakichś skaz.

## ROZDZIAŁ 17

Do San Francisco dociera fala upałów, ale w nocy mgła unosi się nad miastem jak różowy szyfon. Siedzę przy biurku, pracując nad *Następnym rankiem*, moim nowym felietonem o Panu X. Ostatnio im częściej widuję się z Marvem, tym bardziej się waham, czy o nim pisać. Czasem czuję się winna, że go w ten sposób wykorzystuję. Ale felietony cieszą się coraz większą popularnością i nie potrafię przestać.

*Rankami Pan X zmienia się w zupełnie innego człowieka. Odległy i spięty, szybko je śniadanie i odwozi mnie do domu. Biegnę do drzwi i patrzę, jak odjeżdża swoim czerwonym jaguarem. Kiedy znika w dali, zastanawiam się, czy kiedyś go jeszcze ujrzę. Coś się tu nie zgadza, i to bardzo – zwłaszcza tej nocy, kiedy jego komórka nieustannie dzwoniła, a on wyszedł do innego pokoju... A może to ja uciekam za wyimaginowaną ścianę, kiedy tylko poczuję się zagrożona?*

Piszę tak długo, aż na ścianie zaczynają się kłaść cienie i światło dnia przygasa. Zapalam małą lampkę z kloszem z mlecznego szkła, która stoi na stoliku z białego kamienia. Czytam pierwszą wersję felietonu, a potem przeglądam maile, szukając tematu następnego tekstu. Radio jest nastawione na klasyczną stację. Alisa Weilerstein gra na wiolonczeli Koncert b-moll Dvořáka. Kocham wiolonczelę. Tak śpiewa dusza.

Odkąd pamiętam, gdy słyszałam moją babkę grającą na wiolonczeli razem z moją matką przy fortepianie, drżałam z przejęcia.

Ktoś puka do drzwi.

Otwieram je i zaskoczona widzę Ryana. Trzyma bukiet lawendowych róż.

– Cześć – mówię.

Ryan ma czarne botki i wymiętą, trochę przyprószoną pyłem czarną koszulę, a jego niesforne włosy sterczą w górę. Na szyi kołysz mu się leica.

– Hej, Anny. Martwiłem się o ciebie – mówi Ryan z troską. –

Co się dzieje?

– Właściwie nic.

– Pomyślałem, że spodobają ci się te róże – dodaje nieśmiało i spuszcza wzrok. – To z mojego ogrodu w Sebastopolu. Sterlingi.

– Uwielbiam je. – Wdycham ich zapach. – Wejdz.

Ryan waha się przez chwilę.

– Może na minutkę. – Pod pachą trzyma książkę o Kissingerze. Zawsze czyta coś o sprawach zagranicznych.

Regularnie słucha wykładów World Affairs Council.

Podchodzi do obrazu pod ścianą. Nalewam wody do wysokiego szklanego wazonu i układam w nim piękne kwiaty. Stawiam je na szklanym stoliku na tle okna, z zachwytem patrząc, jak światło pada na płatki, nadając im srebrzysty połysk.

Ryan ze skupieniem przygląda się mojemu obrazowi *Natasha*. Niemal dotyka nosem płótna. Stoi w milczeniu, ale czuję jego niespokojną energię. Zawsze kiedy spogląda na dzieło sztuki, ożywa. Podchodzi do obrazu, potem się cofa. Nic nie mówi, ale często potrafię sobie dopowiedzieć to, co przemilcza. Różni się od Marva, który ukrywa swoje uczucia. Są odmienni jak noc i dzień, ale kiedy myślę o Marvie, czuję ten wir, który mnie porwał w młodości, gdy pragnęłam czegoś nieosiągalnego.

– Podoba mi się, że twoje kobiety wychodzą z pudełek.

Dzieje się coś interesującego. Ona ma w sobie zmysłowość.

Uśmiecham się.

– Tak myślisz?

Ryan mruży oczy i zbliża się do obrazu.

– Ta kobieta ma takie samo żartobliwe, kuszące spojrzenie jak ty.

– Tak mnie widzisz?

Ryan zerka na zegarek. Milczy przez chwilę.

– Muszę się zbierać. Mam...

– Randkę?

– Dziś ja i moja przyjaciółka Nina fotografujemy kluby jazzowe.

– Zrobiłam kawę – mówię. – Zostań jeszcze trochę.

Przysiadamy na sofie, pijąc kawę. Ryan opowiada mi o najnowszym zleceniu z „National Geographic” dotyczącym ofiar wojny w Wietnamie. Potem wspomina, że kiedy miał siedemnaście lat, jego ojciec, były komandos, wyrzucił go z domu.

– Bo nie chciałem wstąpić do piechoty morskiej.

Słyszę smutek w jego głosie, widzę ból w oczach.

– No więc w przyszłym tygodniu jadę na Alaskę z dwoma asystentami. Nie będzie mnie przez parę tygodni.

– Super.

– Mam robić zdjęcia lodu.

– Lód jest interesujący.

Ryan tylko się uśmiecha. Siedzimy obok siebie. Moja ręka dotyka jego dłoni.

– Nadal spotykasz się z Marvem?

– Nieczęsto. Ale tak, spotykamy się.

Ryan wzrusza ramionami.

– No cóż, muszę lecieć. – Znosi filiżankę do kuchni i ją opłukuje. W progu dotyka mojego policzka. Nawet w mroczniejącym korytarzu widzę, jak błękitne są jego oczy.

– Pewnego dnia chciałbym ci pokazać motyle zwane monarchami. Robię im zdjęcia do cyklu przyrodniczego w „National Geographic”.

– Chętnie je obejrzę. Uwielbiam patrzeć, jak latają i światło przeświewa im skrzydełka.

– W deszczu nie latają. – Ryan opowiada mi o miejscu nieopodal Sebastopola, gdzie wypuszczono na swobodę tysiące monarchów. Żyją zaledwie od dwóch do sześciu miesięcy.

– Można je brać w ręce. Masz ochotę?

– Kocham motyle. Pomyśleć, że tak wspaniałe stworzenia rozwijają się z gąsienicy – nic dziwnego, że krótko żyją. Są zbyt piękne.

– Tak jak miłość. Czasami coś jest zbyt piękne, by długo trwać. – Ryan całuje mnie w policzek. – Zadzwoń, jak wrócę ze zdjęć.

Mija północ i zapada cicha noc. Czas refleksji. Siedzę w

ulubionym fotelu, słuchając latynoskich pieśni miłosnych. Czuła muzyka kołysze moje zmysły. Sprawdziłam JDate i Marv nadal się nie zalogował. Co to znaczy: że jest z jakąś kobietą czy nie ma czasu? Te pytania doprowadzają mnie do szaleństwa.

W garderobie otwieram pudełko, w którym przechowuję listy z dzieciństwa, bajki i pamiętniki. Przez jakiś czas, jakbym szukała wyjaśnienia, dlaczego stałam się osobą, którą teraz jestem, czytam swoje dzienniki. Potem, kiedy już chcę zamknąć pudełko, na dnie widzę zeszyt z napisem „czerwiec”. Wtedy poznałam Donalda. „Przez całą noc tańczyliśmy *Moon River*. Chcę z nim spędzić resztę życia. To piękny mężczyzna. Przy nim czuję się bezpieczna”.

Zamykam pudełko.

Rozbieram się i kładę się do łóżka. Wiatr uderza w szyby, gwiazdy pulsują miarowo jak moje serce.

## ROZDZIAŁ 18

Zadzwoiła Monica, by zaprosić mnie na spotkanie. Moje felietony cieszą się szalonym powodzeniem, ale ona twierdzi, że musimy porozmawiać. Rzadko spotykamy się osobiście, na ogół tylko przesyłam tekst, i tyle. Biorąc pod uwagę popularność moich artykułów, spodziewam się podwyżki. Bóg mi świadkiem, że mi się przyda. Mam już dość kupowania spaghetti i taniego papieru toaletowego w chińskim dyskoncie.

Ubieram się starannie w moje jedyne klasyczne czarne spodnie i marynarkę, poleruję czarne buty z podkutymi obcasami. Uwielbiam ich stukot przy chodzeniu; wyobrażam sobie wtedy, że tańczę z Fredem Astaire'em.

Wkładam ciemne okulary, biorę skórzaną aktówkę, którą dostałam od Emily, i płaszcz przeciwdeszczowy. Wzywam taksówkę, która zawiezie mnie na Market Street, gdzie znajduje się gabinet Moniki.

Docieram do Starlight Building i jadę starą windą towarową na drugie piętro, do redakcji „San Francisco Timesa”. Idę pospiesznie wąskim korytarzem koło otwartych boksów, w których dziennikarze i ich asystenci gadają przez komórki i piszą na laptopach Apple'a, pochłonięci pracą. Odkąd Monica została redaktorem naczelnym, „Times” się rozrósł. Do jej gabinetu prowadzi korytarzyk pachnący kserokopiarkami i syntetyczną wykładziną.

Moja szefowa rozmawia z kimś przez telefon, rozparta w skórzanym obrotowym fotelu. Owija na długim, szczupłym palcu pasmo jasnych kędzierzawych włosów. Jest drobna i chuda jak patyk. Na narzuconym na ramiona jaskrawoczerwonym szalu widać papierosowy popiół. Lekko sepleni, a na końcu każdego zdania podnosi głos, jakby zadawała pytanie. Moja obecność nie przeszkadza jej mamrotać do telefonu. Na biurku piętrzą się dokumenty, brudnopisy, sterty pustych kubków, książek, klipsów, pudełek ze spinaczami i pinezkami. Felietony o Panu X są przypięte do korkowej tablicy na ścianie za biurkiem. Monica rozmawia z jakimś autorem i przyciska go, żeby zrobił

dokładniejsze rozeznanie tematu.

– Nie ściemniaj, stać cię na coś lepszego – mówi.

Wszystko robi z wdziękiem. Ale najlepiej charakteryzują ją jej oczy – patrzące przenikliwie, głęboko osadzone, turkusowe.

Rozłącza się, pociera skronie i mamrocze, że ma już dość „miernot, które myślą, że wiedzą wszystko”. Odkasłuję, a ona gwałtownie podnosi głowę.

– Anny! Dobrze cię widzieć. Twoje felietony są bajeczne! „San Francisco Star” zdycha z zazdrości. – Zapala brązowego cienkiego papierosa i wydmuchuje długą smugę dymu. – Nie przeszkadza ci? – Nie czekając na odpowiedź, rzuca na biurko mój najnowszy tekst *Dojść na maksa*. – Ten wywołał burzę. Twoi fani oszaleli.

– Świetnie.

– Ale nie właścicielka. Bunny żąda bardziej merytorycznych felietonów.

– Słucham? Chodzi o randki i seks. Seniorzy naprawdę go uprawiają.

– Wiem, ale Bunny Silverman uważa, że cipka to taka kura. Hej! Ja tylko wykonuję rozkazy. Nie martw się. Pisz dalej o Panu X. Nie przestawaj. – Monica czyta moją listę, stukając palcem w kartkę. Są na niej tytuły: *Jesteś pierwszą kobietą po sześćdziesiątce piątce, która mi się podoba, Sukinkot czy kotek, Czy diamenty są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny?*. – Super. Gazeta sprzedaje się coraz lepiej. Złożyłam wniosek o podwyżkę dla ciebie. Zaslugujesz na nią.

– Dzięki. Przyda mi się.

– Oczywiście. Myślisz, że dostaniesz ją od bogatego handlarza diamentami? Dobrze cię rozumiem, znam te klimaty.

Śmieję się.

– W felietonie o zegarku poruszyłaś drażliwy temat. Świetnie wypadłaś w programie radiowym. Szkoda, że nie czytałaś bloga – kobiety z całego kraju narzekają na swoich panów X. – Zaciąga się papierosem. – Dobrze cię rozumiem. Mój tak zwany chłopak, główny księgowy, powiedział, że nie wierzy w miłość, natomiast



wierzy w viagrę. A ma dopiero czterdzieści pięć lat. Stwierdził, że to przeze mnie. Konkretnie przez moje grube uda. A potem wyszedł, trzaskając drzwiami. Masz rację, nawet brzydcy faceci to palanty.

Tego wieczoru, zachwycona myślą o podwyżce, postanawiam – choć Marv już od jakiegoś czasu nie był na JDate – napisać nowy felieton o Panu X: *Czy on przedstawi cię swoim dzieciom?*

*Pan X nieustannie mówi o synu i wnuczce – ale na razie nie przedstawił mnie swojej rodzinie ani przyjaciółom. Czy dlatego, że uznał mnie za zabawkę? A może przejęłam rolę, którą pełniła jego była żona? Czy dlatego, że wystarczy pigułka, żeby miał erekcję, wydaje mu się, że liczy się tylko jego rozkosz? Czy Pan X traktuje mnie jak przedmiot?*

Przestaję pisać, gdy w pokoju zapada zmrok. Dziś zamierzam czytać. Ale najpierw zaciągam zasłony, otwieram jedno okno, żeby wpuścić trochę powietrza, wyglądam białą puszystą narzutę na łóżku, strzepuję wielkie poduchy i zmieniam wodę w wazonie z fioletowymi tulipanami.

Szum samochodów jeżdżących w deszczu koi moje nerwy. Niebieskie smugi błyskawic przecinają czarne niebo.

Włączam kasetę z Janis Joplin. Kocham jej głos, autentyczną pasję, ogień i wściekłość. Leżę na kanapie, czytając *Birthday Letters* Teda Hughesa. Wiersze opisujące jego małżeństwo z Sylvią Plath wyrażają wielką miłość do żony. Są poruszające, pełne namiętności, żalu i smutku – tak bardzo, że płaczę. Czuję się jak na szarym pustkowiu. Zastanawiam się, dlaczego tak silne uczucie musiało umrzeć. Kiedy dzwoni moja komórka, chwytam ją i zaskoczona widzę, że to Marv.

– Masz towarzystwo? – pyta uwodzicielskim tonem.  
– Hm... czytam.  
– Chcę się z tobą zobaczyć. Tęsknię.  
– Jasne, przyjeźdź – mówię. Jego żarliwy ton sprawia mi przyjemność. To dobry znak. Marv nigdy nie widział mojego

mieszkania, a ja czuję, że pora na większą otwartość.

– Będę o dziewiątej – obiecuje.

Za dziesięć dziewiąta zaczynam krzątać się po mieszkaniu. Chcę, żeby wyglądało schludnie. Przenoszę papierzyska ze stolika do pudełka pod biurkiem. Zapalam świecezki, przyciemniam halogeny w korytarzu, przebieram się w czarne legginsy i czarny sweter z długimi rękawami i wyszywanym koralikami napisem „wolność”. Układam szmaragdowe atlasowe poduszki na zszarzałej białej kanapie, szybko odkurzam biały kudłaty dywan, niemal całkowicie zakrywający drewniany parkiet, układam porządniej pisma „Art Forum” na szklanym stoliku.

Rozlega się dzwonek domofonu. Biegnę do drzwi, serce mi łomocze. Stoję w korytarzu, patrząc na Marva, który wchodzi szybko po schodach, trzymając Niunię w objęciach. Deszcz przemoczył mu długi trenz.

– Mam nadzieję, że się nie obrazisz – mówi, całując mnie. – Niunia przez cały dzień siedziała w domu.

– Jasne – mówię, siląc się na uśmiech, a Niunia łypie na mnie morderczym wzrokiem.

Marv wchodzi do pokoju i zerka na nieskończone obrazy i szkice węglem, które przykleiłam do ścian, wyjedzony do połowy słoik masła orzechowego ze sterczącą w środku łyżką i kilka otwartych książek na fotelu.

– Uroczu tutaj. Bardzo artystycznie.

– Ciasno. Za dużo książek.

– Mnie nie przeszkadza.

Marv patrzy teraz na wiszące pudełka i dwuipółmetrowy niedokończony obraz stojący pod ścianą. Przedstawia nagą kobietę siedzącą na pudełku. Ma założoną nogę na nogę, a na głowie czarny kapelusz z czarną woalką zasłaniającą twarz. Potem Marv widzi *Natashę* i spogląda na mnie pytająco, jakby usiłował zajrzeć mi w duszę.

– Ładne.

– To Natasha. Moje alter ego.

– Dlaczego te pudełka... wiszą? – pyta niepewnie.

– Bo nie powinny. W mojej twórczości zajmuję się tym, co niezwykle.

Marv wzrusza ramionami i przysiada na brzeжку kanapy – pochylony do przodu, jakby miał się w każdej chwili poderwać. Jakby nie wiedział, czy chce tu zostać.

– Lubię Joplin – odzywa się po długiej chwili.

– Nie śledziłam jej kariery w latach sześćdziesiątych.

Mieszkałam na przedmieściach, tonęłam w pieluchach. Wiele mnie ominęło, zwłaszcza ruchy feministyczne.

Muzyka staje się głośniejsza. Czujemy się onieśmieleni, napięci jak nastolatki po pierwszym pocałunku. Do tej pory spotykaliśmy się tylko na jego warunkach, na jego terenie, w jego łóżku.

– Ta twoja naga kobieta w kapeluszu jest... interesująca. Dlaczego kapelusz? Wszystkie kobiety, które malujesz, mają kapelusze.

– Lubią je.

– Tak samo jak ty.

– Kiedy jestem naga, nie noszę kapeluszy.

– Ale możesz.

– Następnym razem to zrobię.

– Fajne miejsce – mówi Marv z uśmiechem. – Naprawdę jesteś wyjątkowa, wiesz? O co chodzi z tymi pudełkami na stojakach?

– Jak powiedziałam, to moje prace. Mam nadzieję, że kiedyś zorganizuję wystawę. Moja agentka Inga chce, żebym zebrała co najmniej dwadzieścia obrazów i jeszcze więcej pudełek. Przede mną wiele pracy. No i mam swoje felietony.

– Nie nudzisz się.

Nie podoba mi się ten jego pobłażliwy ton.

– Nie robię tego po to, żeby się nie nudzić. To moja praca.

– Chcę, żebyś odniosła wielki sukces. Wtedy kupiłabyś sobie ładny dom i wyprowadziła się z tego mieszkania. Świat leżałby u twoich stóp. – Marv wygładza minimalne zagniecenie na rękawie. Jego duża dłoń naciska tak długo, aż zmarszczka znika.

– Nie chcę podbijać świata, chcę mu pomóc. No i lubię to mieszkanie. Przykro mi, że nie mam funduszu powierniczego, nie zrobiłam sobie liftingu, nie dorobiłam się domu z odźwiernym. Nie dbam o pieniądze tak jak ty.

Marv wzrusza ramionami.

– Nie atakuj mnie. Wiesz, o co mi chodzi. Chcę dla ciebie tego, co najlepsze.

– Niestety, wiem, o co ci chodzi. Gdybym była bogata, znana i szczuplejsza, pokochałbyś mnie. Mógłbyś się mną chwalić i przedstawić swoim przyjaciółom. Tymczasem jestem sześćdziesięcioletnią Anną z zagraconym mieszkaniem i w śmiesznych ubraniach.

– Och, Anny. To wszystko dzieje się w twojej głowie. Nigdy nic nie wspomniałem o szczupłości. Kocham twoje ciało.

Walczę ze łzami napływającymi mi do oczu.

– Spotykamy się na kolacji, czasem idziemy do kina. Potem znikasz na całe tygodnie. Czy robiłbyś tak, gdybym była jakąś supermodelką jak twoje były?

– Masz wódkę? – pyta Marv po chwili pełnego napięcia milczenia.

– Nie, przykro mi! – warczę. – I nie musisz iść do łazienki, żeby wziąć viagrę, bo nie zamierzam się dziś z tobą rżnąć. Więc jeśli po to przyszedłeś, to zapomnij. Mam dość poczucia, że cię rozczarowałam.

Marv ma w półprzymknięte oczy, zaciśnięte ręce i wzdycha.

– Nie chcę znowu się żenić.

– Trzymajcie mnie, ludzie! Kto tu mówi o małżeństwie? A związek? Czy to tak wiele?

– Nie chcę cię zranić.

– Właśnie to zrobiłeś. Wyjdź.

Po chwili milczenia Marv podrywa się na równe nogi. Przygarnia Niunię do piersi, wkłada mokasyny, spogląda na zegarek.

W drzwiach całuje mnie lekko w usta.

– Wyjeżdżam do Meksyku na pokaz kamieni. Nie będzie

mnie dziesięć dni. Powodzenia w pisaniu. – Wydaje się, że autentycznie mu ulżyło.

Odchodzi zgarbiony korytarzem, potem zbiega po schodach. Stoję w drzwiach – jego zapach snuje się za nim jak smużka dymu – i walczę z pragnieniem, by rzucić się za nim, dogonić go, przytulić.

Widzę przez okno, jak Marv idzie, lekko powłócząc nogami, wsiada do samochodu i odjeżdża. Gwiazdy powoli gasną i nikną w ciemnościach, a ja zastanawiam się, kim jest ten człowiek, o którym piszę i obsesyjnie myślę. Ten seryjny podrywacz, dla którego najwyraźniej nie znaczę wystarczająco wiele. Który nie zadał sobie nawet trudu, żeby przeczytać moje felietony? Ten mężczyzna, o którym marzę, który żyje w moich snach i jest ciągle tak blisko mnie, że potrafię przywoływać wspomnienie jego ust na moich wargach, odgłos człapiących kroków, westchnień i jego aksamitny głos. Jest niedojrzały jak czternastolatek – płytki, wygadany, uroczy. Mój ukochany.

## ROZDZIAŁ 19

Doktor Indira zaciąga zasłony.

Leżę na kozetce, a ona czeka.

– Zachowywał się tak, jakby wizytował slumsy. Owszem, był uprzejmy, ale mnie ignorował. Wzruszał ramionami i odwracał głowę, kiedy wspominałam o swoim felietonie. On pragnie tylko seksu. Bierze ze mnie jedynie to, co chce. Jego obojętność mnie rani. Przypomina mojego byłego męża. Boże, mam sześćdziesiąt pięć lat i niczego się nie nauczyłam.

Mnę chusteczkę w dłoni.

– Mam, czego chciałam – mówię po długim milczeniu.

– Bo o nim piszesz?

– To dobry bohater tekstu. A kiedy o nim piszę, staję się kimś innym – wyjaśniam, jakbym się broniła.

– Jeśli w to wierzysz, to płacisz wysoką cenę za te teksty.

Przyglądam się, jak mucha krąży wokół lampy. Skrzydełka ma jak ze szkła, prześwietlone światłem na wylot.

– Czasami czuję się winna, że opisuję wszystko, co wiem o Marvie. Ale kiedy widzę go na JDacie godzinę po spotkaniu ze mną, wyrzuty sumienia mijają jak ręką odjął. Nie, Marv nic nie podejrzewa. Ale ja przypuszczam, że to padalec. Ha! *Padalce i podlece* to tytuł mojego nowego felietonu.

Doktor Indira czeka.

– Choć Marv twierdzi, że z Debrą go nic nie łączy, wiem, że są razem. Widzę pewne znaki. Zegarek. Puste butelki po winie w kuchni – a ona pija wino. Kiedy Marv ją wspomina, też je pije. No i wypalona świeczka. A tubka intymnego żelu przeniosła się z jego nocnej szafki do łazienki...

– Dlaczego po prostu nie spytasz Marva, czy ma kogoś? Niech wie, że sobie tego nie życzysz. Powiedz mu, co czujesz.

– Wtedy odejdzie.

– A może zostanie – mówi terapeutka cicho. – Chyba że wolisz, żeby sytuacja właśnie tak wyglądała, bo wtedy masz o czym pisać. I lepiej się bawisz. Kiedy o nim piszesz, staję się dokładnie taki, jak chcesz, a ty nie musisz się bardzo wysilać.

Pisanie o nim to twoja obrona.

– Przed czym?

– Przed rzeczywistością.

– Jak to „rzeczywistością”?

– Musisz zobaczyć świat takim, jaki naprawdę jest, a nie jakim chcesz go widzieć.

– Chcę długoterminowej miłości. Chcę być kochana. I być z kimś, kto będzie mnie kochać stale, nie tylko od czasu do czasu.

Pragnę miłości i seksu, nie tylko seksu. – Sięgam po nową chusteczkę. – A Marv zna moje uczucia.

– O, nie. Stajesz na głowie, żeby zachowywać się tak, jakby nic cię nie obchodziło. Bo boisz się odrzucenia.

– No pewnie! Dlaczego miałabym się nie bać?

– Czy to w porządku, że o nim piszesz?

– Czy Picasso prosił żony o pozwolenie, żeby je malować?

Poza tym kiedy obiekt twórczości podda się interpretacji, przestaje być prawdziwą osobą.

Dzwoni telefon. Czekam. Niech no ona tylko odważy się go odebrać! W gabinecie jest duszno, do moich spodni z czarnego sztruksu przywarły kłaczki chusteczek.

– Chcę prawdziwego związku. Uprawiam z Marvem seks, ale czy można to robić bez miłości? Chcę być z kimś, kto mnie kocha, troszczy się o mnie, kto chce miłości non stop, nie tylko od czasu do czasu.

– Naprawdę?

– Tak.

– Kogoś takiego jak Ryan?

Cienie przesuwiają się po ścianie i nikną. Sesja dobiega końca. Siadam; od długiego leżenia kręci mi się w głowie. Zerkam na terapeutkę i starając się nie stracić równowagi, kuśtykam do drzwi. Obracam gałkę zamka dwa razy w lewo i wychodzę.

Tego wieczoru i w nocy myślę o sesji. Nie mogę się połapać, co czuję w związku z tym seksem i miłością. Jasne, moje felietony mnie kręcą, ale zastanawiam się, czy gdybym naprawdę kochała Marva, a on mnie, potrafiłabym go opisywać. Sprzedawać go tak,

jak to robię. A on od jakiegoś czasu nie pojawia się na JDate. To dobry znak.

Dzwonię do Janet. Martwię się o nią. Niedawno miała nagłą operację pęcherzyka żółciowego. Ciężko pracuje i podupadła na zdrowiu.

– Co słyhać, skarbie?

– To co zwykle. Znowu wyjechał. Zajrzał do mnie. I nie powiedział słowa na „m”.

– Nie licz na to. Dla nich słowo na „m” oznacza „macanki”. Po sześćdziesiątce bajka o miłości się kończy.

– Ale tylko uprawiać seks? Chcę o wiele więcej. Jak można to robić bez miłości, bez emocjonalnej bliskości?

– Bardzo łatwo. Przez cztery lata uprawiałam świetny seks z pewnym mężczyzną. Aż kiedyś zapomniał o moich urodzinach.

– No właśnie o tym mówię. Nie mogę znieść obojętności. Marv nie interesuje się niczym innym z wyjątkiem świetnego seksu. Przynajmniej nie wlaźł znowu na JDate.

– Kochanie, jeśli nie chcesz spotykać się z wdowcem, nosić ubrań jego zmarłej żony, jeździć jej samochodem i spać w jej łóżku, musisz się pogodzić z tym, co masz. Ciesz się z waszej namiętności. Spójrz na biedną Lisę. Ma faceta, z którym łączą ją oficjalne więzy, ale za to z fajfusem, który zmieściłby się w dziurce od klucza. Małym palcem mogłabym ją zaspokoić lepiej niż on.

– Nie chcę mężczyzny, który uważa mnie tylko za seksualną zabawkę i nadal rozgląda się za kobietami. Chcę bajki – wiesz, takiej, w której mówię „kocham cię”, a on odpowiada „ja ciebie też”.

Janet wzdycha.

– Ostatni facet, któremu to powiedziałam, wrzasnął, że wszystkie starsze Żydówki tego chcą, że nigdy nie wystarcza nam orgazm i kolacja. Tak to wygląda, skarbie. Przynajmniej masz świetny seks, a Marv o ciebie dba. Wyśpij się. Ciesz się życiem. Skarbie, muszę kończyć, bo jutro będę nieprzytomna. Kocham cię.

– Ja ciebie też – odpowiadam.



Następnego dnia o świcie budzi mnie straszliwy ból w karku. Dokuczliwy jak cholera. Czuję go aż na czubku głowy. Początkowo myślę, że to przez siedzenie przed komputerem albo dziwne ułożenie podczas snu. Ale ból narasta i nagle nie mogę się ruszać. Jestem przerażona. Nie przywykłam do problemów ze zdrowiem. Zawsze mi się wydaje, że do końca będę pełna energii i zajęta pracą. Robię pozytywne wizualizacje, w których trzymam kryształowego motyla, źródło mocy, i zapewniam siebie, że kiedy rano się obudzę, ból minie.

Ale już nie mogę poruszać głową. Nawet żeby się ubrać. Jakikolwiek ruch staje się wyczynem. W panice dzwonię do Ryana, ale przypominam sobie, że wyjechał do Sebastopola. Nie chcę budzić Emily i Harry'ego, więc z zaciśniętymi z bólu zębami narzucam trencz na koszulę nocną, biorę portfel i jadę taksówką do szpitala Mount Zion. Wchodzę na salę pogotowia, gdzie widzę sceny rodem z koszmarów. Pacjenci leżą na noszach, niektórzy jęczą i wzywają doktora. Wreszcie jakaś wykończona pielęgniarka kładzie mnie na łóżku w korytarzu, zapewniając, że lekarz wkrótce przyjdzie.

Sześć godzin później młody pryszczaty stażysta wiezie mnie na prześwietlenie. Przez całą drogę mówi do mnie jak do dziecka: przekonuje, żebym się nie bała, bo znalazłam się w dobrych rękach. Wtacza moje łóżko do brudnego, cuchnącego pomieszczenia. Każe mi stanąć pod ścianą z zimnych kafelków i obraca moją głowę, szukając właściwej pozycji. Potem biegnie za aparat rentgenowski i krzyczy:

– A teraz proszę się nie ruszać! Nie oddychać!

Wstrzymuję oddech, ale wtedy kark boli mnie jeszcze bardziej i mam wrażenie, że zaraz zemdleję. Papierowa koszula ciągle rozchyła mi się na plecach. Zaczynam się dusić.

Stażysta odwozi mnie na korytarz. Wszystkie sale są zajęte, więc mnie tu zostawia, zalecając, żebym „odpoczęła”. Rozmawiam przez komórkę z Emily i Harrym, którzy jadą do San Francisco. Córka radzi, żebym sprawdziła testament i ubezpieczenie na życie. Zjawia się lekarz, więc się rozłączam.

Doktor ma małą twarzyczkę i sylwetkę w kształcie gruszki. Trzyma wielkie zdjęcie rentgenowskie przedstawiające moją szyję.

– To choroba zwyrodnieniowa stawów – mówi, wzdychając. Wskazuje biały cień na zdjęciu, wyjaśniając, że to moje zdegenerowane kręgi. – Wkrótce pani kręgosłup się zdeformuje i będzie pani tracić równowagę. – Wręcza mi tabletki przeciwbólowe i wypisuje skierowanie na fizjoterapię. – Bez leczenia grozi pani trwale kalectwo.

Czekając na Emily i Harry'ego, otumaniona i przygnębiona, przyglądam się starszemu mężczyźnie, który stoi przy chorej żonie, trzyma ją za rękę i cicho do niej mówi. W takiej właśnie chwili uświadamiam sobie, że chcę mieć partnera nie tylko dla namiętnego seksu i kolacji przy świecach, ale żeby towarzyszył mi w trudnych sytuacjach. Chcę się z nim zestarzeć. Przypominam sobie, jak parę tygodni temu, kiedy Marv miał znieczulenie zewnątrzoponowe, posłałam mu do domu jego ulubioną pizzę z anchois. Ale kiedy opowiedziałam mu przez telefon o moim zapaleniu okrężnicy, zamilkł na wiele dni.

– Jesteś, mamó! – kwili Emily. Ma czerwony beret i marynarkę. Jej czarne jak węgiel jedwabiste włosy sięgają do talii. Harry bierze mnie za rękę i mówi, żebym się nie martwiła. Wiele osób w moim wieku ma problemy z kręgosłupem i równowagą. – Kupimy ci balkonik – mówi Emily jak do dziecka. Harry potakuje.

– Ej, chcę do domu – oznajmiam. – Nie mam najmniejszego zamiaru chodzić z balkonikiem, tracić równowagi ani grać w bingo.

– Nie upadaj na duchu – doradza Emily, spoglądając na Harry'ego, który odwraca wzrok. Wiem, że o mnie rozmawiali.

Robią mi wykład o pułapkach starości i ostrzegają, że muszę się pogodzić z moją metryką i bardziej „uważać”. Potem odwożą mnie do domu.

Nie mogę zebrać myśli. Moją szyję uciska gruby, brzydki kołnierz ortopedyczny. Emily krząta się wokół mnie, sprawdza zapięcie kołnierza, wygładza kołdrę. Jestem przygnębiona, bezradna, wyobrażam sobie, że pewnego dnia stanę się zależna od

mojej córki, że wyląduję na szpitalnym korytarzu ubrana w szlafrok w kwiatki, z balonikiem uwiązany do przegubu.

Emily, maniaczka porządku, kręci głową na widok moich obrazów, szkiców, pism o sztuce, stert papierzysk i gazet na podłodze. Harry, siedząc na krześle, pociesza mnie, że jego gabinet też wygląda jak śmietnik, bo jest niechlujem tak jak ja. Emily otwiera zabytkową lodówkę i wygarnia z niej stare jedzenie do wielkiego worka na śmieci.

– Nic dziwnego, że ciągle chorujesz – mówi. – Zapleśniałe jedzenie! Zgniły ser!

– Nie jest zgniły – protestuję słabo. – Roztapiam go na grzankach.

– Ohyda – mamrocze moja córka, poucza mnie o zaletach schludności i dodaje, że „żaden mężczyzna nie zechce flejtucha”.

– I gdzie to podziewa się księżę z bajki? – chce wiedzieć Harry.

– Jest w Nowym Jorku na spotkaniu w interesach.

Emily marszczy nos.

– Ten człowiek znika wraz z pojawieniem się pierwszych kłopotów. Obchodzi go tylko ta jego suka.

– Jest kochającym ojcem i dziadkiem.

– A dla ciebie? Ciebie też kocha?

Emily nadal mnie poucza, że mam się „wziąć w garść” i poznać lepszych mężczyzn, że moja praca to nie wszystko i że muszę się „ustatkować”.

– Marv to pętał. Głupi, niegodziwy szczeniak.

– Amen – dodaje Harry.

– On nie chce żadnego związku, mamo. Chodzi mu tylko o seks parę razy w tygodniu. Tak naprawdę kocha swoją oziębłą byłą. A ty się z nim ciągle gzisz.

Harry potakuje.

Gryzę się w język, żeby nie powiedzieć, że Emily żyje z Harrym od sześciu lat i na razie nie słyhać o ślubie. Podczas gdy ona wymądrza się, jak to powinnam „wziąć się za swoje życie”, przypominam sobie, jak jako dwunastolatka stała w kuchni na

stołku i zmywała talerze, piekła chleb bananowy w puszkach po kawie, sprzątała i prasowała. Zawsze to ona była tą odpowiedzialną. Przerwała studia i zaczęła pracować jako pokojówka. Wieczorami piekła ciastka i sprzedawała je w miejscowych kawiarniach, budując w ten sposób swoją firmę. Po latach wróciła na uniwersytet – studiowała tak samo jak ja twórcze pisanie – i ukończyła naukę z najlepszymi wynikami. Pisze teraz opowiadania o swojej matce i usiłuje je sprzedać.

– Jutro przyniosę ci torbę rogalików i jakiś smaczny dżem. Teraz idź spać i nie wstawaj. Nie jesteś już podfruwajką. Jeszcze tego brakuje, żebyś upadła. Zostawię światło włączone. – Emily przygląda mi się, jakby się upewniała, że nic mi nie jest. Potem całuje mnie gorąco. Wdycham świeży zapach jej śmietankowej skóry.

– Kocham cię – mruczę. Język mam tak zdrętwiały, że z trudem wymawiam słowa.

– My też cię kochamy, Anny – odpowiada Harry. – Przywieziemy Freda, żeby cię zabawił.

Drzwi się zamykają.

Osuwam się w chemiczny, mroczny, głuchy sen. Śni mi się, że usiłuję poderwać się do lotu, ale moje skrzydła zmieniają się w papier i spadam.

## ROZDZIAŁ 20

Pan X nie czeka jak zwykle przy samochodzie, gotów otworzyć mi drzwi, stąd wiem, że dziś będzie chłodny. Kiedy cieszy się na spotkanie ze mną i stara się zachowywać jak najlepiej, stoi przy drzwiach od strony pasażera, żeby pomóc mi wsiąść. W kinie nie trzyma mnie za rękę, a potem odwozi od razu do domu. Nie całuje mnie, tylko rzuca na odczepnego: „Powodzenia we wszystkim”.

Pan X znika w weekendy. Zauważam na jego stoliku plik biletów lotniczych, plany różnych wycieczek...

Zakładam bloga zatytułowanego *Jaki jest prawdziwy Pan X?* Dostaję tysiące odpowiedzi.

*Droga Anny, żyję z Panem X. Jest próżny, mówi, że mnie kocha, a potem nie dzwoni. Czy możesz mi pomóc?*

*Droga Anny, jestem kobietą renesansu. Uprawiam wspinaczkę górską, pracuję jako prawniczka, moja najnowsza pasja to latanie na lotni. Pragnę miłości, ale mężczyźni, z którymi się spotykam, nie mogą nawet się wspiąć na schody, nie wspominając o górze. A jednak chcą się umawiać z trzydziestolatkami. Myślisz, że pokolenie viagry traktuje starość jak chorobę?*

*Droga Anny, lubię twoje felietony o Panu X. Jestem bardzo aktywną siedemdziesięcioletnią kobietą, doktorem weterynarii. Uwielbiam seks i chciałabym spytać, jak rozmawiać z moimi starszymi kochankami o tym, dlaczego nie udaje im się doprowadzić mnie do szczytowania.*

Tydzień później ból szyi mija, ale nadal noszę kołnierz ortopedyczny. Marv nie odzywa się od tygodni – od wyjazdu służbowego do Meksyku. Potem niespodziewanie dzwoni. Opowiadam mu, co się stało, a on reaguje z troską. Pyta, czy może przyjechać.

– No, na chwilę – odpowiadam zaskoczona, bo po ostatniej

jego wizycie nie spodziewałam się tego. – Nadal noszę kołnierz ortopedyczny i nie mogę zbyt długo przyjmować gości.

– O dziewiątej – proponuje, wyjaśniając, że najpierw jest umówiony na kolację w interesach.

Usiłuję się umalować – nakładam cień na powieki – ale nie mogę się pochylić, żeby włożyć coś ładnego. Występuję więc w czarnym dresie i wielkiej, luźnej bluzie.

Dokładnie o dziewiątej zjawia się Marv z wielką paczką, otoczony zapachem wody kolońskiej. Wygląda jak zwykle elegancko w płaszczu z wielbłądziej wełny i białym kaszmirowym golfie. Cieszę się na jego widok, ale on wydaje się skrepowany, niespokojny. Żali się, że nie mógł znaleźć miejsca do zaparkowania. Wzdycha.

– Przykro mi, że cię to spotkało. – Całuje mnie w usta. – Choroba zwyrodnieniowa, powiadasz?

Kiwam głową.

– Ale wkrótce przejdzie.

Marv marszczy brwi i milczy przez chwilę.

– Przyniosłem ci prezent – stwierdza w końcu.

– Jak miło. – Rozdzieram papier zachwycona, że naprawdę o mnie myślał. To wazon z błękitnego kryształu.

– Cudowny – mówię wzruszona jego gestem.

– Znalazłem go w sklepie z upominkami. Nie był tani, ale pomyślałem, że ci się spodoba.

– Tak, dziękuję. – Marv jak zwykle ślicznie mruży oczy, kiedy się uśmiecha. Uwielbiam to. – Będzie wspaniale wyglądać na moim szklanym stoliku. Chcę tu zrobić remont.

Marv kwituje to uśmiechem.

– Piękne róże – rzuca, spoglądając na lawendowe kwiaty przy moim łóżku.

– Jak pokaz kamieni? – pytam po długiej chwili ciszy.

Spogląda na mnie pytająco.

– No ta twoja podróż do Meksyku.

– A, to. – Wzrusza ramionami. – Męcząca. Przegrałem licytację doskonałego malinowego diamentu z kopalni Argyle. Był

idealny – wzdycha.

– Przykro mi to słyszeć – mamroczę.

Marv prostuje się niczym żołnierz przed bitwą. Oczy ma przymknięte, jakby nie chciał mnie widzieć. Opowiadam mu, jak bardzo czułam się samotna i przerażona.

– Pogotowie to piekło. Nagle przestraszyłam się starości i choroby.

– Bo starość to nic dobrego – mówi z irytacją.

– A moim zdaniem to dar.

– Anny, może spędzimy przyszły weekend w Bolinas?

Zobaczysz mój dom, wypoczniesz. Będzie miło.

– Bardzo bym chciała.

Moje postanowienie, że potraktuję go chłodno, żeby zrozumiał, jak mnie zranił, znika bez śladu.

Przy drzwiach całujemy się, i to namiętnie. Początkowo nie widzę Ryana stojącego u szczytu schodów. Kiedy podnoszę głowę, spuszcza wzrok z zażenowaniem.

– Przepraszam – mówi. – Chciałem ci dać książkę.

Ucieka, zanim zdążam go przedstawić Marvowi.

– Przyjadę po ciebie w piątek w południe. Zabierz kostium kąpielowy – mówi Marv.

## ROZDZIAŁ 21

Kto by się spodziewał? W piątek nadchodzi straszliwy upał, a ja nie znoszę skwaru. Marv przyjeżdża mercedesem z opuszczonym dachem, szykowny i wyluzowany, w eleganckich szortach khaki i białej koszulce polo. Tymczasem ja pokazuję mu się w wymiętej lnianej spódnicy i z włosami nastroszonymi od suchego powietrza.

Marv spogląda na mnie niepewnie.

– Nie przeszkadza ci, że zabrałem Niunię? Przez cały tydzień siedziała w hotelu dla zwierząt.

– Skądże – syczę, wsiadając do samochodu.

Marv wyjeżdża na autostradę. Sam fakt, że siedzę obok niego, zapiera mi dech. Jedzie się miło, ale słońce pali mnie w głowę i zaczynam dostawać migreny. Język mam wyschnięty, moje blade ramiona pokrywają się czerwonymi plamami w tym dokuczliwym skwarze. Oliwkowa gładka skóra Marva tak nie reaguje. Niunia leży rozwalona między nami, zajmując większą część siedzenia, na jej chudej szyjce dyndają czerwone plakietki identyfikacyjne, a obok spoczywa butelka z jej wodą. Wiszę na brzeżku fotela i zastanawiam się, dlaczego Niunia siedziała w hotelu dla psów, a Debra się nią nie zaopiekowała? Marv trzyma rękę na moim kolanie i na zmianę mówi do Niuni i monologuje na temat krajobrazu, porównując go z francuskimi widokami.

– Ale najwspanialszy jest Paryż. – Odwraca się, żeby spojrzeć na zielone pola. – To miasto miłości. Spędzałem tam z Debrą miesiąc miodowy. To miejsce, które trzeba oglądać z ukochaną osobą.

– Tak. Chcę tam pojechać z tobą – odpowiadam, ignorując fakt, że znowu wspomniał o Debrze.

– Pojedziemy! – woła, przekrzykując warkot innych samochodów.

– Chciałabym malować w Paryżu.

– Spójrz na tę zieleń, Anny! Czy nie wspaniała?

– Podobają mi się krowy. Muuu! – krzyczę do stada pasącego się na trawie.



– Jesteś szalona.

– Nie jem wołowiny. Te biedne krowy są prowadzone do rzeźni, żeby bogaci, grubi republikanie mogli się najeść! Biedne krówki!

Marv włącza CD z utworami Franka Sinatry i śpiewa z nim *My Way*. Mijamy piękne zielone krajobrazy, pod płotami rosną róże i inne kwiaty. Powietrze pachnie świeżością, a ja jestem szczęśliwa i pełna optymizmu co do tego wspólnego długiego weekendu.

W końcu skręcamy w wąską, zdradziecką dróżkę, a ja zamykam oczy; nie mogę patrzeć w dół, zwłaszcza kiedy Marv rozmawia z leżącą mu na kolanach Niunią. Potem wjeżdża na zadrzewioną górę i zatrzymuje samochód przed wysokim nowoczesnym domem z drewna sekwoi i szkła, umiejscowionym między górami i wysokimi dębami.

– Jesteśmy – rzuca w przestrzeń.

– Rany... – Patrzę z podziwem na piękną okolicę.

Marv wyłącza silnik. Poza chrzęstem żwiru i szelestem krzaków, w których czają się jakieś zwierzęta, wokół panuje głucha cisza. Marv rusza pierwszy, niosąc Niunię. Zaprasza mnie do domu. Staję w progu, oczarowana jego pięknem. Sufity, od których dzieli nas dziesięć metrów, robią gigantyczne wrażenie, a kilka świetlików otwiera się, ukazując drzewa, niebo i słoneczny blask. Co za wspaniały dom, naprawdę wyjątkowy. Miękkie beżowe fotele i sofy – i znowu wszędzie orchidee.

– Boże, jaki magiczny widok – mówię, kładąc torbę na fotelu.

– Nieźle jak na chłopca z Toledo – przyznaje zadowolony Marv. – Chodź, Anny, oprowadzę cię.

Trzymając mnie za rękę, pokazuje mi pokój, który urządził dla wnuczki – z piętrowym łóżkiem i zabawkami schludnie ustawionymi na półkach – a potem sypialnię, garderobę i białą łazienkę o przeszklonych ścianach, z wielkimi świetlikami, białymi marmurowymi wannami dla pana i pani domu i takimi samymi sedesami.

– Wspaniała wiejska chatka – mruczę.  
Marv spogląda niecierpliwie na zegarek.  
– Za godzinę jesteśmy umówieni na masaż.  
– Nigdy nie miałam masażu. Nie wiem, czy chcę.  
– Spodoba ci się. Weź kostium kąpielowy. Potem pójdziemy popływać.

Rozpakowuję swoje rzeczy, układając je porządnie na półeczce w marmurowej łazience. Ochlapuję twarz zimną wodą, aby się odświeżyć, wrzucam kostium kąpielowy do torby i wychodzę na dwór, gdzie spotykam się z Marvem.

Idziemy do spa na szczycie góry stromym, wąskim zboczem; po obu stronach ścieżki widać głębokie przepaście i łąki z polnymi kwiatami. Jest tak gorąco, że nie mogę oddychać. Sapię i dyszę, lekko kręci mi się w głowie. Oczywiście Marv, skupiony tylko na sobie, idzie szybko przede mną, trzymając Niunię na rękach. Przekonana, że będziemy się świetnie bawić, a potem porozmawiamy, staram się nad sobą zapanować, jakby nie dokuczał mi upał ani nic innego, jakby nowe sandały mnie nie obcierały, a pęcherz na wielkim palcu się nie powiększał.

W końcu docieramy na szczyt góry, do Spa Spokoju. Na środku dziedzińca okolonego mizernymi wodospadami ciurkającymi do stawów, w których pływa parę ospałych pomarańczowych rybek, stoją ludzie z otępiałymi minami. W powietrzu czuje się zapach kadzidła i kremu do twarzy.

– Witajcie, nazywam się Waters – mówi podobna do nimfy dziewczyna – mniej więcej osiemnastoletnia, z jasnymi jedwabistymi włosami, które sięgają jej do pasa. Ma na sobie białą przejrzystą tunikę podkreślającą jej szczupłe ciało. Daje każdemu frotowy szlafrok i klucz do przebieralni.

– Przepraszam – mówi. – Do tego spa psy nie mają wstępu.  
Marv uśmiecha się uroczo.  
– Niunia to nie pies.  
– Proszę pana... – protestuje dziewczyna.  
– Proszę posłuchać, dam pani pięćdziesiąt dolarów za opiekę nad Niunią, podczas gdy będziemy zajęci masażami i pływaniami.

Dziewczyna niechętnie bierze Niunię i poleca nam iść z przebieralni do Sali Spokoju, gdzie znajdziemy naszych masażystów.

W szatni jest tak duszno, że nie mogę oddychać. Para filcuje mi włosy, które zaczynają przypominać kapelusz. Szybko się rozbieram, wpycham ubranie do szafki, otulam się brzydkim białym szlafrokiem, który sięga mi aż do kostek, i wsuwam stopy w za duże różowe gumowe klapki.

W Sali Spokoju z głośników dobiega uroczysta pieśń tybetańska, przygnębiająca jak cholera. Wszyscy ci ludzie w białych szlafrokach, którzy siedzą wokół, czekając na masaż, wyglądają jak nieboszczycy.

Marv wchodzi i oczywiście prezentuje się fantastycznie – opalone gołe nogi, lśniące srebrem włosy. Ale coś go gryzie; jest uprzejmy, lecz nieobecny. Patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem, jakbym zmieniła się w zjawę. Siedzę skulona na krześle, zakrywając swoje zbyt białe, obsypane plamami wątrobowymi nogi, i bredzę o „cudownej woni kwiatów pomarańczy”, a on ma zamknięte oczy, jakby się w ten sposób ode mnie odgradzał.

– Jesztem Helmut, masażysta pani Applebaum – mówi olbrzym o wielkiej twarzy, malutkich oczkach i grubym karku. Mówi z mocnym niemieckim akcentem. Ma na sobie białą piżamę i niebieskie szpitalne ochraniacze na butach.

– Jestem Tai, masażysta pana Rothsteina – dodaje karzełek wzrostu chińskiego chłopca z turkusowym irokezem na głowie.

Marv ledwie całuje mnie w usta, jak znudzony mąż. Uzgadniamy, że po masażu spotkamy się nad basenem. Patrzą, jak odchodzi z masażystą dumnie wyprostowany i z wysoko uniesioną głową.

Ten masaż to jakiś koszmar. Leżę naga na brzuchu na wąskim stole, przykryta cienkim prześcieradłem. Twarz mam wtłoczoną w dziurę, krew uderza mi do głowy. Helmut tłucze w moje plecy i kark, a ja mam wrażenie, że ciemię mi puchnie.

– Mam zwyrodnienie stawów głowy – mówię z trudem. – Proszę nie dotykać mojego karku.

– Nie ma czegoś takiego jak sztywne głowy.  
– Słabo mi – mamroczę.  
– Bo pani ma złe krążenie krwi – on na to, dalej grzmocąc mnie po karku.

Usiłuję nie myśleć o torturze, której zostałam poddana. Mimo woli zastanawiam się, dlaczego Marv robi wrażenie takiego... roztargnionego. Nie jest niegrzeczny – to mistrz uprzejmego milczenia, czarujący, nawet gdy nic nie mówi – kłopot jednak w tym, że żadne z nas nie jest szczere, że tak naprawdę wcale ze sobą nie rozmawiamy.

Zamykam oczy, przypominając sobie, jak miesiąc temu poszliśmy na kolację i film. Marv zachowywał się lodowato, nie dotykał mnie, nawet nie trzymał za rękę. Nie skomentowałam tego, doszłam do wniosku, że nie powiodła mu się transakcja. Po filmie, zamiast zawieźć mnie jak zwykle do siebie, wysadził mnie przed moim domem, wyjaśniając, że rano ma spotkanie z lekarzem.

– Dziękuję za udany wieczór – powiedział jak do kogoś obcego. A ja jak zwykle, zamiast wrzasnąć: „E, facet! Masz jakiś problem?!”, poszłam na górę i napisałam *Dziękuję za udany wieczór* – felieton o niezdolności Pana X do bliskości, o tym, że pewnie mnie zdradza, ale jednocześnie nie chce ze mnie zrezygnować. A potem przypomniałam sobie, że wyznał mi ostatnio, iż badania prostaty nie wyszły dobrze i boi się, czy nie jest chory. Ale z drugiej strony on co chwila pędzi do lekarza i wystarczy lekkie zaziębienie, żeby wpadł w zły nastrój.

– To koniec jeszt – oznajmia Helmut. Kiedy wychodzi, siadam i wkładam szlafrok i sandały. Wszystko mnie boli i mam zawroty głowy. Potykając się w wąskim korytarzu, spieszę pod prysznic i przebieram się w jednoczęściowy czarny kostium kąpielowy od Calvina Kleina. Staję przed potrójnym lustrem i przyglądam się swojemu ciału. Z obrzydzeniem stwierdzam, że mam cellulit na udach, nie wspominając już o przerzedzających się włosach; z boku zauważam – może przez to światło – małą łysinkę, taką samą, jaką miała moja babcia.

Choć Marv zna każdy centymetr mojego ciała, uważam, że

paradowanie w kostiumie kąpielowym za dnia to co innego niż nagość w blasku świec i księżyca. „No dobrze, i co z tego? Muszę się wziąć w garść. Pora, żeby mój ukochany zobaczył mnie taką, jaka jestem” – postanawiam.

Wskakuję do basenu najszybciej jak się da. Chłodna woda koi moje poparzone słońcem ręce. Dryfuję na plecach, patrząc na balon unoszący się na niebie i chmury, które powoli zmieniają kształty. Niedaleko siedzą i rozmawiają po rosyjsku dwie umięśnione olbrzymki w kostiumach Speedo i gumowych czepkach.

– Cześć, Anny! – woła Marv, stając na brzegu basenu. Powoli zdejmuje szlafrok i rzuca go na krzesło, odsłaniając smukłe, piękne ciało wojownika, bez grama zbędnego tłuszczu. Ma na sobie szykowne kąpielówki w pomarańczowy wzorek, związane w szczupłej talii sznurkiem. Jego skóra jest aksamitna i złocista, na umięśnionej piersi widać puszyste srebrne włosy.

Marv wchodzi na trampolinę, doskonale wiedząc, że Rosjanki gapią się na niego, zatrzymuje się i przygląda bacznie wodzie, jakby się zastanawiał, gdzie dokładnie chce wylądować. Wyciąga smukłe, lecz muskularne ramiona, wspina się na palce i zaraz prawie bezgłośnie przecina taflę wody. Z wdziękiem przepływa dwie długości basenu, poruszając głową na boki.

Chcąc się popisać, płynę razem z nim, ale szyja mnie boli, a chlor pali w oczy. Na środku basenu obejmujemy się i obracamy, młóćąc nogami wodę. Krzyczę jak idiotka: „Jesteś supermenem!”. Ale czegoś mi brakuje, znikła więź. Powtarzam sobie, że po prostu musimy dłużej pobyć sam na sam, mieć więcej wspólnych przeżyć. To będzie nasze pierwsze.

– Dużo pływałeś w Meksyku? – pytam, starając się nie zachłystywać wodą.

– Trochę – mówi, ochlapując twarz.

– Podobno woda jest tam ciepła i widoki piękne.

Marv wzrusza ramionami i znowu płynie przed siebie. Wierzgam nogami, jakbym pedałowała na rowerze, i wmawiam sobie, że to wszystko dzieje się wyłącznie w mojej głowie, iż

spodziewam się najgorszego. Marv przepływa jeszcze kilka długości basenu, po czym wychodzi na brzeg i przygląda srebrne włosy. Szybko podążam za nim, owijając się szlafrokiem.

– Weźmy Niunię i wracajmy kolejką. Za gorąco, żeby iść pieszo – decyduje Marv. – Dziś zrobię kolację.

– Jejku, jak miło.

Biegniemy do pomieszczeń służbowych, gdzie Waters opiekuje się Niunią. Na widok Marva suczka zaczyna dygotać, wyć i lizać go po twarzy.

– Niestety, Niunia nie była grzeczna – mówi dziewczyna cienkim głosem. – Ugryzła mnie w rękę. Widzi pan ten czerwony znak?

– O, to tylko malinka – rzuca Marv lekceważąco, ledwie zerkając na rozognione ramię biednej dziewczyny. – Niunia zawsze zachowuje się wzorowo. Prawda, kochanie?

Nadal pocieszając rozjazgotaną cholere, prowadzi mnie do małego wagoniku, do którego wsiadamy. Kolejka zjeżdża w dół, kołyszając się na wszystkie strony. Siedzę z tyłu, a Marv z Niunią z przodu. Cały czas pociesza wystraszone stworzenie, szepcząc „dobra sunia”. Jestem przegrzana, kark mnie boli jak diabli, trzymam się kurczowo oparcia, bojąc się, że spadnę.

W domu Marv szybko przebiera się w elegancki szary dres i podkoszulek z Paryża. Wygląda wspaniale.

– Nie spiesz się, Anny. Wyjdę z Niunią do sklepu. Potrzebujesz czegoś?

– Tylko ciebie – mówię jak sentymentalna idiotka. – Już za tobą tęsknię.

– A ja za tobą – odpowiada, zamykając drzwi.

Kiedy warkot jego samochodu cichnie, wpuszczam wodę do wanny z białego marmuru i wlewam do niej płyn o niesamowitym zapachu mango. Zanurzam się cała w wodzie, powtarzając sobie w myślach, że dzisiejszy wieczór będzie inny, a poza tym to przecież nasz pierwszy wspólny wypad. Tonąc w bąbelkach, przyglądam się słonecznemu światłu, które z wolna gaśnie, i wydłużającym się cieniom na trawniku.

Słyszę skomlenie Niuni i kroki Marva. Wychodzę z kąpieli i pospiesznie, starając się nie rozrzucić ubrań tak jak w domu, wkładam obcisłe białe dżinsy i białą, odsłaniającą ramię bluzkę pożyczoną od Emily. Ściągam włosy w niski kucyk i przypinam z boku motylka ze sztucznymi brylancikami. Nakładam odrobinę makijażu. Stopy mam spuchnięte od upału, więc decyduję się być boso. Zapinam na kostce srebrny łańcuszek z motylkami. Jestem gotowa na wieczorne wyjście. Idę do kuchni, gdzie Marv przygotowuje drinki i układa na talerzu kawior i łososa. Włączył stereo, Tonny Bennett śpiewa *I Left My Heart In San Francisco*.

– Ładnie wyglądasz – mówi Marv, stawiając kieliszki na stole. Obok kawioru i łososa na dużym ceramicznym talerzu leżą ser brie i krakersy, a także mała miseczka z oliwkami i łądygami selera. Szklany sufit jest rozsunięty; ukazuje piękne niebo – gwiazdy migoczą na ciemnym tle jak pinezki, a świetliki przemykają niczym maleńkie iskierki.

– Jak tu spokojnie – mówię, siadając obok Marva. Popijam drinka. Lekko kręci mi się w głowie.

– Cieszę się, że tu jesteś – odpowiada po długim milczeniu.

– Ja też.

Marv dopija alkohol i dolewa mi wódki.

– Widziałeś w Meksyku dom Fridy Kahlo? – pytam, żeby przerwać przedłużającą się ciszę.

– Nie. Byłem zajęty interesami.

– Diamenty?

– Pocałuj mnie. – Przyciąga mnie do siebie. Całujemy się namiętnie i już nic mnie nie boli, nawet migrena mi tak nie dokucza. W pokoju zrobiło się już ciemno, świeci tylko księżyc. W głowie kręci mi się od drinka, słońca, księżycy, spokoju nocy i Marva.

– Nie upij się – mówi, odbierając mi kieliszek. – Dużo czasu spędziłaś dziś na słońcu.

Po wspaniałej kolacji – łosoś, endywia, krewetki i placek jagodowy – rozbieramy się i idziemy do łóżka. Nadal jest gorąco, a klimatyzacja nie działa. Marv chce obejrzeć film – uwielbia

niemieckie kino wojenne – więc przytuleni śledzimy nudną akcję i czytamy napisy. Marv jest zachwycony jak chłopiec bawiący się żołnierzami. Mnie piecze poparzona skóra, w pokoju jest gorąco, z trudem oddycham. Chmary owadów kąsają moje odsłonięte ręce. Puchnę. Nie wspominał już o fakcie, że Niunia leży z nami w łóżku – znowu.

Film dobiega końca. Jest druga w nocy. Marv wyłącza telewizor i robi się cicho. Słyszę tylko cykanie świerszczy i stukot owadów wpadających na szyby.

– Chodźmy do jacuzzi – mówi po długiej chwili.

Golubeńcy, idziemy w ciemnościach. Nie daj Boże, żebym zapaliła światło. „Musimy oszczędzać prąd” – powtarza Marv, podczas gdy ja przesuwam ręką po ścianie, niemal ślepa bez szkieł kontaktowych. To jakiś koszmar. Zupełnie jakbym się bawiła w ciuciubabkę. Wyciągam ręce przed sobą, usiłując zachować równowagę.

– Boże, straciłaś wzrok?! – woła nerwowo Marv. – Anny, co się dzieje?

– Nie mam soczewek i czuję się tak, jakbym spadała w przestrzeni kosmicznej.

– Trzymam cię – mówi kojąco. – Oprzyj się. O, tak. Jeszcze krok. Jeszcze dwa. O, tak. Trzymam cię.

W końcu lądujemy w gorącej wodzie. Tak gorącej, że nie mogę oddychać i chyba zaraz zemdleję. Wrzątek bulgocze i kipi.

– Za gorąco mi – mówię, trzymając się Marva. – W głowie mi się kręci.

– Mnie też, przez ciebie – odpowiada, mocno mnie obejmując.

Całujemy się; jego usta smakują chlorem, a w świetle księżycy twarz staje się srebrna. Pocałunki przybierają na sile, moje piersi kołyszą się w falującej wodzie, oplatom go nogami w pasie. Marv usiłuje we mnie wejść, ale nie ma erekcji.

– Nie ma się co martwić. To przez wodę. Nieważne – mówię.

– Zrób tak, żeby się obudził.

– Jest za miękki.



Ale Marv wpycha mi członek do ręki, każe mi go ssać i ściskać. Od tej bulgoczącej wody dostaję migreny i w końcu oznajmiam, że jestem zmęczona.

– Za dużo słońca...

– Daj spokój. Chodźmy do łóżka.

W sypialni Marv wyłącza światło i przez chwilę mości się na poduszkach, zostawiając mi tylko jedną twardą i gąbczastą.

– To mi się nigdy nie zdarzyło – mówi.

– Brałeś viagrę?

– Co?! – warczy. – O czym ty mówisz?

– Przepraszam...

– Śpijmy. Koniec rozmowy.

Wkrótce zaczyna chrapać. Niunia warczy na mnie, oparzenia słoneczne bolą i nie mogę zasnąć. Leżę bezsennie przez całą noc, spoglądając na gasnący księżyc i zastanawiając się, dlaczego za każdym razem, gdy zaczynam czuć bliskość z tym człowiekiem, on się ode mnie odsuwa.

Kiedy się budzę, Marva nie ma obok mnie. Spoglądam na zegar. Już prawie dziesiąta. Z kuchni dobiega głos Marva.

Biorę prysznic. Dzień jest duszny i upalny; w taką pogodę nawet chmury tkwią w miejscu jak ogromne kłęby pary.

Ubieram się szybko, zauważając, że strona Marva w łazience lśni czystością. Ani jeden przedmiot nie znalazł się nie na swoim miejscu. Tymczasem moje przybory toaletowe, grzebienie i słoiczki z kremami przeciwzmarszczkowymi poniewierają się po całym blacie. Wkładam biały podkoszulek z długimi rękawami, długie szorty khaki i sandały na płaskim obcasie. Związuję jeszcze mokre włosy w koński ogon. Nie maluję się.

Marv stoi w kuchni. Kroi pomarańcze i wyraźnie jest rozemocjonowany.

– Dzień dobry – mówię, nalewając sobie kawy.

– Zgadnij, co się stało, Anny. Dzwoniła Waters. Twierdzi, że musiała pojechać do szpitala, gdzie dostała zastrzyk przeciwてżcowy. Teraz żąda, żebym za niego zapłacił.

– Powinieneś. Widziałam czerwony ślad na jej ramieniu.

– Niunia nie gryzie! – warczy, układając pomarańcze na talerzu. – Ta dziewczyna musiała jej zrobić coś strasznego. Wie, kim jestem, i pewnie chce wyciągnąć ode mnie trochę pieniędzy.

– Mnie też Niunia parę razy skubnęła w rękę. Jest rozpuszczona.

– Trzeba umieć ją dotykać. Ty tego nie potrafisz.

Z trudem powstrzymuję się, żeby mu nie powiedzieć, że jest skąpy i humorzasty i że chcę wyjechać.

Jemy śniadanie przy szklanym stoliku przykrytym lnianymi serwetkami, na którym stoi bukiet polnych kwiatów. Skubię sałatkę owocową, rozdrażniona egoizmem i zmianami nastroju Marva. On, nie zwracając na mnie uwagi, je omlet z serem, wzdychając i monologując na temat swojego gotowania, o wiele lepszego niż w tych „pieprzonych, za drogich restauracjach”.

– Gorąco dzisiaj – mówię. – Nie lubię słońca.

– Wspominałaś o tym. – Marv skupia się na omlecie. Je schludnie, połowę odsuwa na bok talerza.

– Chcę dziś pojechać do winiarni w Napa – dodaje po chwili milczenia. – Zamierzam tam kupić wspaniałe francuskie wino, którego próbowałem w zeszłym tygodniu w Paryżu... – Nagle urywa.

Cisza. Pełna napięcia cisza.

– Więc jednak nie byłeś w Meksyku. Pojechałeś z Debrą? – pytam.

– W nagłą podróż służbową – przyznaje z westchnieniem. – Debra jest bardzo dobra w sprzedawaniu diamentów. Dawniej pomagała mi przy wszystkich dużych transakcjach.

– Skłamałeś! – rzucam, z zadowoleniem widząc jego minę. – Zabrałeś do Paryża inną kobietę! Przez cały ten czas miałaś inną dziewczynę?! Mów!

Marv wzdycha.

– Anny, zabrałem Debrę, żeby pomogła mi sfinalizować sprzedaż żółtego diamentu. To nie tak, jak myślisz. Ona jest jak rodzina.

– A ja kim jestem? Twoją poniedziałkową dupą? Dziwką na

telefon?

– Nie uprawiam seksu z nikim oprócz ciebie.

– A właśnie, że uprawiasz. Nienawidzę kłamców. Nie podoba mi się, że dajesz mi tylko część swojego życia. Że mnie odsuwasz. Że nie pokazujesz mi siebie całego...

– Zależy mi na tobie. To, co nas łączy, jest wyjątkowe, ale cię nie Kocham.

– Co miłość ma wspólnego z uczciwością i intymnością? Zresztą nawet mnie nie znasz! Nie wiesz, że w swoich felietonach opisuję ciebie. Ty jesteś Panem X. Wydawało ci się, że ja cię tak bardzo Kocham? Przez cały czas wykorzystywałam cię jako materiał do swojej pracy. Wiedziałbyś o tym, gdybyś czytał moje teksty. Byłam w radiu, miałam prelekcje. Mówiłam o tobie!

Marv siedzi nieruchomo, mrugając, jakby moje słowa docierały do niego bardzo powoli. Potem spogląda na zegarek i na mnie, jakby podejmował jakąś decyzję.

– Czytałem twoje głupie felietony – mówi mściwie. – Nie zamierzam się z tobą dłużej spotykać.

– I dobrze, bo nie mam zamiaru odbierać twoich telefonów. Proszę, odwieź mnie do domu.

W samochodzie udaję, że śpię. Marv kurczowo ścisną kierownicę. Ciszę między nami można kroić nożem. Jedziemy bardzo szybko. W pewnej chwili Marv rozmawia przez komórkę z synem, umawia się z nim na kolację, jakbym nie siedziała obok, jakby nic się nie wydarzyło. Kiedy jest zdenerwowany, wcale tego po nim nie widać. Mam głowę odwróconą do okna i udaję, że przyglądam się krowom, ale rozważam każde jego słowo. Mówił: „Myślisz, że nie robisz na mnie wrażenia. Jesteś ze mną tylko dla własnych potrzeb”. Te słowa mną wstrząsnęły, przywróciły mnie do rzeczywistości. Ale potem przypominam sobie niebieski flakon, który dostałam od Marva. Powiedział, że kupił go w Meksyku, ale nalepka na spodzie wskazywała, że to produkt francuski. Wtedy nie wzbudziło to we mnie żadnych podejrzeń.

Kiedy samochód zatrzymuje się przed moim domem, zbliża się już wieczór i pojawiają się mgliste cienie. Chłodny wietrzyk

kołysze różami na klombie. Szkoda, że Ryan jeszcze nie wrócił, bo mogłabym mu opowiedzieć o wszystkim i wyznać, jak strasznie się czuję.

Wysiadam z samochodu i biegnę do drzwi, nie oglądając się za siebie ani razu.

## ROZDZIAŁ 22

W poniedziałek jestem na nagłej sesji u doktor Indiry. Dziś na moją prośbę zajmuję krzesło naprzeciwko niej. Terapeutka siedzi wyprostowana. Ma różowe sari narzucone na czarny golf i spodnie. Gęste srebrne włosy splotła w warkocz. Drobnym nadgarstkiem ozdobiła masywną złotą bransoletą. Opowiadam jej ze szczegółami wydarzenia w Bolinas.

– Dzięki Bogu, że się skończyło.

– Naprawdę?

– Oczywiście! Nie chcę go nigdy więcej widzieć. Nie powinnam była w ogóle z nim wyjeżdżać. To kłamca, obojętny na wszystko oprócz mojej wagi. Udawał, że pojechał w interesach do Meksyku, ale niechcący się wygadał. Wybrał się z byłą żoną do Paryża.

Wyjmuję z torebki papierową torbę. Oddycham w nią gwałtownie, czekając, aż łzy przestaną płynąć.

– Podczas seksu mogłabym sobie włożyć worek na głowę, a on by tego nie zauważył. Mówił, że mnie nie kocha. Ten palant zażywa viagrę, jakby chodziło o sport, jakąś formę rozrywki, jakby...

– Dlaczego przestałaś mówić?

Łkając, wyciągam resztę chusteczek z pudełka.

– Od początku podejrzewałam, że nie zapomniał o byłej żonie. Czulałam to! Boże, widziałam, że jest emocjonalnie niedostępny, a jednak ciągle wyobrażałam sobie, że zakocha się we mnie, pojedzie ze mną do Paryża i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

– Naprawdę tego chciałaś?

– W marzeniach...

– Miałaś to w małżeństwie. Piękny dom na przedmieściach, męża, który cię uwielbiał, towarzystwo, śliczną córkę, ale powiedziałaś, że byłaś nieszczęśliwa.

– Nigdy nie twierdziłam, że byłam nieszczęśliwa z powodu małżeństwa, tylko ze względu na siebie.

– To to samo – mówi spokojnie. – Musisz określić, czego

dokładnie chcesz. Może kochasz Marva, ponieważ mógł ci dać tylko odrobinę siebie? Może nie chcesz więcej? Za to dał ci Pana X. Stajesz się znaną, niezależną finansowo felietonistką.

– Przecież chciałam romantycznej miłości. Marv obudził we mnie uczucia, których nie miałam dla Donalda ani nikogo innego.

Milczę, skubiąc sterczącą z bluzki nitkę. W pokoju jest duszno.

– Marv uwielbia seks ze mną i kocha moje orgazmy, ale spodziewałam się, że poza sypialnią będę dla niego równie ważna. Tymczasem on zachowuje się jak napalony nastolatek, który się mną masturbuje. Już to przeżyłam. – Oddycham głęboko. – Muszę zakończyć tę sprawę z Marvem.

– Nie z nim, ale z samą sobą. Kiedy to zrobisz, zrozumiesz, czy chcesz z nim być.

Oddycham w papierową torbę.

– Musimy zakończyć na dziś – mówi doktor Indira.

Biegnę do drzwi, potykając się o rozwiązaną sznurówkę butów do koszykówki. Przekręcam gałkę zamka trzy razy w prawo, potem w lewo i zbiegam po schodach w światło dnia.

Idę szybko pod górę, sapiąc i dysząc. Myślę o tej sesji. Doktor Indira ma rację. Tak jak zbieram różne elementy do moich pudełek, tak samo chciałam mieć Marva na własność. Myśląc, że odpowiada moim potrzebom, postanowiłam nie zwracać uwagi na fakty i nie słuchać, kiedy dawał mi sygnały, że mnie nie kocha. Czyżbym naprawdę chciała tylko Pana X? A może to moja jedyna alternatywa? Tak czy inaczej tym razem nie ma odwrotu.

Przemierzając Sacramento Street z szykownymi ogródkami kawiarnianymi i sklepami z artystyczną biżuterią, przypominam sobie, jak siedziałam z Donaldem w Rose's Cafe, pijąc espresso. Wkrótce potem znalazłam viagrę w kieszeni jego spodni. I nagle po raz pierwszy czuję ulgę, że związek z Marvem się zakończył – ulgę, ale i smutek.

To koniec.

To naprawdę koniec.

Następne dni są trudne. Cierpię. Choć mój związek z

Marvem nie był doskonały, zaangażowałam się emocjonalnie, a teraz ta więź została zerwana. Nie mogę spać, budzę się o świcie, rozpamiętuję każdą naszą wspólną chwilę. Dopóki nie poczuję się mniej zraniona i nie określę moich uczuć do Marva, nie mogę o nim pisać. „To koniec” – mówię Monice, która nalega, żebym nadal zajmowała się życiem uczuciowym ludzi po sześćdziesiątce. Rzucam się więc w wir pracy, sprawdzam nowe profile, umawiam się na nowe wywiady i piszę kolejne felietony. Rozmawiam z kobietami po sześćdziesiątce o starszych mężczyznach, z którymi się spotykają. Nadal zaglądam na portale dla singli, drukuję profile seniorów, bez wyjątku prezentujących samych siebie jako wybitnych geniuszy. Robię wywiad ze scenarzystą, który poszukuje towarzyski podróży, garncarzem, który chce, żebym wyjechała z nim w góry i pisała wiersze, bogaczami w nowych tupecikach, z czołami wygładzonymi botoksem i skórą pomarańczową od solarium, którzy uważają chirurgię plastyczną za metodę pracy nad swoim charakterem. Wszyscy oni mówią o pragnieniu bycia w idealnym związku. Nazywają go „Wielkim Z” i wzdychają za nim tęsknie.

Już mi się wydaje, że wszystko się ułoży, kiedy miesiąc po wyprawie do Bolinas, podczas codziennej kawy w Starbucksie widzę Marva jadącego mercedesem z opuszczanym dachem. Zatrzymuje się przed kwaciarnią. Z zapartym tchem i łomoczącym sercem patrzę, jak wbiega do środka i wychodzi z bukietem żółtych tulipanów. Kiedy odjeżdża z rykiem radia, ogarnia mnie gniew. Nachodzą mnie bardzo złe myśli... i natchnienie.

Biegnę do domu, siadam przed komputerem i bez trudu piszę *Rozstanie!* – o Bolinas i moim bolesnym zerwaniu z Panem X.

*Czasami widzę jego twarz w chmurach, jego sylwetkę w cieniu. Przyglądam się samochodom, szukając Pana X. Któregoś dnia zauważam go, jak wychodzi z kwaciarni na California Street. Niesie bukiet żółtych róż. Dla kogo? Nigdy nie widziałam w jego domu żółtych róż. Serce mi łomocze...*

Mój felieton *Rozstanie!* wywołuje burzę. Znowu otrzymuję maile z całego kraju. Fani opowiadają mi o swoich rozstaniach z partnerami i chcą wiedzieć, czy spotkam się jeszcze z Panem X. Niektórzy zakładają blogi i przyjmują zakłady, czy Pan X wróci do mnie, czy do swojej byłej żony. Felieton odnosi taki sukces, że przestaję się zadręczać myślami o rozstaniu z Marvem. A potem cios. Pewnego słonecznego poniedziałkowego poranka, popijając kawę, otwieram „Gazette”, plotkarską bulwarówkę – i widzę jego. Pod nagłówkiem *Operowa gala roku* znajduje się wielkie na całą stronę zdjęcie Marva i atrakcyjnej, wysokiej, o wiele młodszej kobiety o długich ciemnych włosach i wąskiej, wyniosłej twarzy. Nawet na zdjęciu widać, że kobieta nosi ogromny naszyjnik z brylantami i pasujące do niego kolczyki. Gazeta nie podaje jej nazwiska, wspomina tylko, że Marv ofiarował brylant na rzecz muzeum.

Zamykam gazetę osłupiała. Roiałam sobie, że on też usycha z tęsknoty za mną. Teraz wiem, że nie. Byłam tak ogłupiona pożądaniem, że nie dostrzegałam faktów. Wiedziałam tylko, że go pragnę, i usiłowałam zmienić nasz związek w coś niemożliwego. Już tak robiłam z Donaldem, by uniknąć odtrącenia. Odwracałam wzrok, żeby nie widzieć. Pozwoliłam Emily przejąć dowodzenie, zostać rodzicem. Teraz muszę najpierw zrozumieć, kim jestem i czego chcę, żeby coś takiego się nie powtórzyło.

Mijają tygodnie, a ja nadal zgłębiam nie tylko tajniki randek po sześćdziesiątce, lecz także plusy i minusy starości. Obserwuję, jak media pochwalają efekciarstwo i liftingi, a kompletnie ignorują seniorów. Nie znoszę telewizyjnych reklam, w których starsi ludzie płasają po kuchni z buteleczką wapna w tabletkach. Piszę o dyskryminacji ze względu na wiek, a Monica publikuje moje artykuły, nie tylko felietony. Utrzymuję, że starość to nie ślepy zaułek, lecz szereg początków, sięganie po coś nowego.

Otrzymuję zaproszenia na prelekcje o randkach osób po sześćdziesiątce i do miejscowych stacji telewizyjnych, aby robić audycje o moich poglądach na starość. „Star Reporter” proponuje mi wyższą stawkę, jeśli będę dla nich pisać. Odmawiam.



Pamiętam, jak niegrzecznie mnie potraktowali, kiedy przed laty się do nich zgłosiłam. To Monica dała mi szansę.

Postanawiam pilniej popracować nad pudełkami i obrazami.

Tego wieczoru zajmuję się wielkim płótnem. Najpierw szkicuję węglem wydłużoną sylwetkę kobiety, potem zanurzam pędzel w białej farbie i wypełniam kontury jej ciała, cieniując je szarością. Jasnopopielatą farbą maluję przezroczystą tiulową sukienkę z rozcięciem z boku, z którego prowokacyjnie wyłania się udo kobiety. Dekolt odsłania kusząco jej ramię. Pracuję szybko, dodając wysokie jak szczydła czarne szpilki. Kobieta jest dzika, sprawia wrażenie, jakby miała wyskoczyć z obrazu i pożreć życie. Jej białą twarz i oczy pełne tajemnic przysłania przejrzysty czarny welon. Nazwę obraz *Natasha wyszła*.

Gra muzyka. Głos Billie Holiday wwierca mi się w mózg – emocje wylewają się z każdej nuty.

Maluję tak długo, aż kroki w mieszkaniu piętro wyżej cichną, aż w pokoju robi się tak zimno, że zaczynam dygotać, aż przestaję cokolwiek widzieć przez umazane farbą okulary.

Wrzucam pędzle do puszki z wodą. Przyglądam się obrazowi, zastanawiając się, czego mu brakuje. Kim jest ta kobieta? Dlaczego wygląda tak smutno, tak bezradnie?

Przykrywam płótno plastikową folią. Praca jeszcze nie jest skończona. Jakie tym razem będą rezultaty?

Przed pójściem do łóżka siadam przy oknie i spoglądam na śliczny rysunek, który przysłał mi Ryan. To góra nakreślona czarnym tuszem na małej białej kartce.

„Może na następną wespniemy się razem” – napisał.

Powietrze jest dziś nieruchome. Noc skrada się jak kot. Przeznaczenie to muzyka, która nadaje rytm twoim snom. Wyobrażam sobie, że dusza jest przejrzysta i gąbczasta i żyje własnym życiem. Nigdy nie umiera.

## ROZDZIAŁ 23

W następnym tygodniu Monica wzywa mnie do siebie.

– Mam ci coś do powiedzenia – mówi.

Wkładam nowy czarny płaszcz z wełny sięgający do kostek i buty na wysokich obcasach. Monica całuje mnie w policzek i mówi, że felieton *Prozac czy pasja* przebił wszystkie inne.

– No i wiesz co? – dodaje, wydmuchując dym. – Felieton został skierowany do dystrybucji na cały kraj.

– O kurczę! Serio?

– A jak! Większa kasa dla ciebie i dla mnie.

– Niesamowite!

– Fani tęsknią za Panem X. Uwielbiają felietony o randkach starych ludzi, ale ciekawi ich, co się stało z tym draniem. Chcę, żebyś znowu o nim pisała. Myślę, że sprawa braku związku między seksem i komunikacją emocjonalną jest ważna. Na blogu roi się od tych tematów.

– Nie spotykam się z nim. To już koniec.

– Więc zmyślaj. Potrafisz. Musimy doprowadzić cykl o Panu X do końca. Wtedy będziesz mogła pisać, co chcesz.

– Dobrze, coś wymyślę.

– Do tego czasu pisz o miłości po sześćdziesiątce. – Monica strzepuje popiół papierosowy z czarnego swetra od Kate Spade. – Zadzwoiła do mnie Kate Nielson z radia. Zaprasza cię w piątek do audycji z udziałem słuchaczy. To dobra reklama dla gazety.

– Jasne.

– Dzięki tobie świat dostrzegł tę gazetę: zasięg ogólnokrajowy, nagrody, cały ten blichtr. Pokaż, na co cię stać.

Tego wieczoru spotykam się z Lisą i Janet w Myrtles Bar na Polk Street, skromnym lokalu z trocinami na podłodze. Siedzący w nim robotnicy oglądają i głośno komentują mecz koszykówki w wiszącym pod sufitem telewizorze. Opowiadam dziewczynom, co się wydarzyło, i trącamy się kieliszkami.

– Jesteś na dobrej drodze, kochanie – mówi Janet.

– Zadzwoił? – chce wiedzieć Lisa.

– Minęło tylko parę tygodni. Zresztą zwisa mi to! – rzucam

agresywnie.

– Skarbie, zachowaj spokój – radzi Janet. – Nie dzwoń do niego. Dobrze mu tak.

– No pewnie, że nie zadzwonię. To koniec. On wie, że pisałam o nim felietony. Że nie spotykałam się z nim tylko dlatego, że mu zaufałam.

– A może czytał twoje teksty i spodobało mu się, że jest Panem X? – zauważa Lisa, cała spowita w turkus.

– No właśnie – przytakuje Janet, popijając bourbona z lodem.  
– Możliwe też, że nie obchodzą go felietony Anny i w ogóle nic poza jej waginą. Ech, ci staruszkowie na viagrze, koszmar. Chcą tylko jednego. Mamy ich lizać po jajach, robić zapiekanki z tuńczykiem, czyścić kible. Nie wiedzą, że poszłyśmy naprzód. Jesteśmy nowym pokoleniem. A oni tkwią w dawnych czasach.

– Fuj! Przestań z tymi jajami – mówię.

– To jak żucie gumy – dodaje Janet.

– Mogę już nigdy więcej nie zobaczyć żadnego penisa, wielkie mi co – oznajmia Lisa. – Jest strasznie brzydki, jak zdeformowana uśmiechnięta buźka. John nie może, ale to mi nie przeszkadza. On mnie kocha.

– Marv od początku chciał tylko seksu – wyznaję. – Tak, to był dobry seks, ale towarzyszyła mu obojętność. To się nie mogło udać. Poza tym on lekceważył święta, urodziny, moją pracę. Jakbym nie istniała.

– Moja vagina skurczyła się i zmieniła w malutką dziurkę. Komu potrzebny seks? – wtóruje mi Lisa.

Janet przewraca oczami.

– Belgia, Meksyk, Francja, nieważne, gdzie go poniosło! – warczę. – Spotykał się z inną kobietą, i to o wiele młodszą, a jednak zdecydował się na seks ze mną.

– Chodziło mu o dobre łóżko – stwierdza Lisa.

– Kiedy tylko go naszła ochota – dodaję gniewnie. – Nie obchodziło go, czy się z każdym puszczam, byle tylko dostał swoje.

– Wszyscy faceci po sześćdziesiątce tacy są, skarbie –

przytakuje Janet. – Cała sztuczka polega na tym, żeby znaleźć takiego, co się z tobą ożeni. Wtedy zyskujesz ubezpieczenie na zdrowie, życie i uczucia.

– Więc jesteście jak stare suki w rui?

– Suki nie mają naszych problemów. Robią to, czekają, ile wlezie, i rozglądają się za następnym.

– Dziewczyny! Dość! Muszę coś ogłosić – przerywa nam Janet. Jej twarz promienieje. – Poznałam pewnego Węgra. Transportuje meble dla Macy's. To kawał byczka. I wdowiec w moim wieku. Cudowny. Żebyście zobaczyły, jak z nim flirtuję... No i może to robić bez viagry.

– Powodzenia, kochana – mówię, przytulając ją.

– Nie rozumiem połowy tego, co mówi, ale przynosi mi gumę do żucia. Wie, że lubię Dentyne.

– Coś mi tu śmierdzi – oznajmia Janet.

– Pewnie ten szczur, z którym się spotykasz – odpala Janet, łypiąc na nią straszonym wzrokiem. – Poucza, jak myśleć jak bogacz, żeby podrywać podfruwajki, i jednocześnie udaje bankruta, żebyś to ty płaciła za kolacje w drogich restauracjach. Uważam, że jeśli biorą mnie do łóżka, to muszą płacić, i nie ma przeprosić.

Lisa wzrusza ramionami.

– Ale my się przytulamy. Zresztą ja też mam wam coś do powiedzenia, choć to mniej ciekawe. W przyszłym tygodniu idę na operację biodra.

– Będziemy z tobą – oznajmiamy.

Lisa mruga parę razy.

– Przyjdzie mój syn, nie martwcie się.

– Możesz na nas polegać – mówi Janet.

– Amen – dodaję.

– Przypieczętuujmy to – proponuje Lisa. Splatamy małe palce.

Robi się zimniej, nad miasto nadpływają jęzory mgły. W te ciemne, chłodne dni zapadam w rodzaj hibernacji – zanurzam się w siebie głębiej niż zazwyczaj. Kiedy nie piszę ani nie maluję, chodzę do muzeów, oglądam obrazy, czytam całą dostępną

literaturę na temat artystów, których podziwiam. Ryan jeszcze nie wrócił, ale ciągle wysyła mi kartki i maile, a czasem dzwoni. To dobry przyjaciel. Brakuje mi jego towarzystwa.

Wieczorami wypożyczam filmy w Netfliksie, analizuję akcję, dialogi, grę aktorów. Chcę popracować nad umiejętnością mówienia i grania, więc zapisuję się do amatorskiego zespołu w Marsh Theater. Uwielbiam tych młodych ludzi, ich oczy, w których widać marzenia, ich pogardę dla konwenansów. Praca nad rolą to sposób na dotarcie do swoich emocji.

Odwiedzam sanatoria, robię wywiady z pensjonariuszami. Przyglądam się, jak tańczą, flirtują i kłócą się o to, kto będzie z kim siedział. Niektórzy pokazują mi zdjęcia swoich zmarłych bliskich, a przeszłość rozświetla ich twarze jak wspomnienie miłości. Tylko ich ciała są stare, dusze pozostały młode. To jak ze starymi drzewami: ciągle rosną i są po prostu wersjami samych siebie z młodości.

Jest czwartkowy wieczór, zimny i wietrzny. Siedzę przed komputerem i kończę *Mędrca* – tekst o traktowaniu starszych ludzi tak, jakby byli niewidzialni.

*W dużym uproszczeniu – bez względu na to, ile lat ma ciało, dusza jest młoda, a inteligencja przenikliwa. Musimy stawiać na nowe cele, nie na antydepresanty.*

Godzinę później wyłączam komputer. Dochodzi dziesiąta. Nosi mnie, więc dzwonię do Janet.

– Cześć, skarbie, co słychać? – pyta.

Opowiadam jej o moim tekście o starości. Narzekamy wspólnie na starszych mężczyzn z portali dla singli, którzy chcą się wiązać z kobietami mającymi najwyżej trzydzieści lat.

– Jeden brzydszy od drugiego – mówię.

– Kochanie, tak to już jest.

– Nawet brzydzy mężczyźni są draniami. Większość tych staruchów zachowuje się jak na polowaniu, biegając z tymi swoimi tupecikami, sztuczną opalenizną i viagrą.

– Na ogół uważa się, że brzydzy mężczyźni mają dobre serca

– zauważa Janet. – To dlatego kobiety trzęsą się nad nimi, zapraszają ich do restauracji, robią im laskę i zapiekanki z tuńczykiem. Te stare grzyby mogłyby mieć po sześć głów i siedzieć w pieluchach, a i tak miałyby wzięcie. Dziękuję Bogu za Paula. To skarb.

– Amen. Robi wrażenie świetnego faceta. – Cieszę się jej szczęściem. – Muszę przyznać, że przy tych dziadkach Marv wygląda jak adonis.

Janet wzdycha.

– Marv to kłopoty. Drogo zapłaciłaś za swojego Pana X.

– No w każdym razie Ryan wrócił i jutro idę z nim na obiad.

– Bierz go. Jest super.

– To przyjaciel. Wolę mieć dobrego przyjaciela niż nieodpowiedzialnego kochanka.

– Kochanie, przyjaźń z mężczyznami nie istnieje. Baw się dobrze.

## ROZDZIAŁ 24

Następnego dnia jadę do atelier Ryana w Chinatown. Stamtąd pójdziemy na obiad. Dzień jest zimny, nad miastem zawisła szara mgła. Idę tunelem Broadway na Bush Street do Grant Avenue.

Chinatown wygląda jak inny świat. Turyści jadą kolorowymi piętroskami przez wąską, nierówną Bush Street, a tramwaje z pasażerami wiszącymi na schodkach suną stromymi ulicami pod górę. Brukowane zaułki są tak wąskie, że trzeba nimi iść gęsiego. Sklepy, restauracje i domy o różowych i czerwonych spiczastych ceramicznych dachach wyglądają jak ustawione na sobie klocki. Na wystawach sklepowych kołyszą się na sznurkach martwe kaczki, a na otwartych straganach leżą świeże produkty. Kolorowe jedwabie, dyndające na drutach gumowe pająki, wachlarze, perły i jadeity wabią przechodniów. Pamiętam, jak woziłam małą Emily do Chinatown, gdzie kupowałam jej wachlarze, a potem jadłyśmy *chow mein* w Mein's Restaurant nad starą świątynią. W Chinatown wszystko jest stłoczone – ludzie, domy, przedmioty – a ten świat, który wydaje się tak stary, zawsze kipi emocjami i ruchem.

Na końcu Grant Avenue stoi szary industrialny budynek, w którym piecze się ciasteczka z ukrytą w środku wróżbą. Z obu stron sąsiadują z nim dwie restauracje o czerwonych spiczastych dachach. Ryan wynajął tu atelier parę lat temu. W Chinatown czynsze są niskie, a Ryan zna mandaryński i kantoński.

Jadę roztrzęsioną windą towarową na najwyższe piętro, wstrzymując oddech. Ryan, jak zwykle w czarnych dżinsach i koszuli, czeka na mnie na górze. Jego twarz rozjaśnia się w uśmiechu.

– Świetnie wyglądasz, Anny. Wejdz. Chcę ci pokazać fotografie.

Rusza pierwszy. Klucze przy jego szerokim skórzanym pasie lekko brzęczą.

Ryan wprowadza mnie do dużego, jasno oświetlonego pokoju o oknach wysokich jak w fabryce. Rozciąga się z nich widok na chińską świątynię i rząd krzywych budynków. Do środka

napływa zapach zapiekaneek z wieprzowiną i ryżu gotowanego na parze.

– Jak tu pięknie – mówię, rozglądając się.

Ryan uśmiecha się do mnie. W jego włosach połyskują srebrne nitki.

– Zrobię herbatę. A ty się rozejrzyj. – Idzie do małej prowizorycznej kuchenki. Narzędzia do majsterkowania, komputery Apple leżą na długim drewnianym stole tuż obok kolekcji obiektywów i aparatów, i akcesoriów fotograficznych. Wszędzie panuje idealny porządek.

Podziwiam zdjęcia na ścianach: wielkie czarno-białe fotografie bajecznych dzieł Gaudiego, a także ogrody Francji i Włoch. Prace Ryana są dramatyczne – tak samo jak zdjęcia Roberta Mapplethorpe’a odsłaniają istotę sprawy. Ryan ma ogromny zakres zainteresowań – pszczoły, lasy, morze, politycy. Jest sympatykiem lewicowych grup politycznych i fotografuje ich przywódców.

– Oczy tej eskimoskiej dziewczyny są niepokojące – zauważam. – Doskonale uchwyciłeś jej charakter, tak bardzo kontrastujący z pięknem krajobrazu. Skąd w niej ten smutek?

– To nie smutek, lecz rezygnacja. Właśnie to usiłowałem oddać.

Siedzimy na ogrodowych krzesłach, pijąc herbatę z persymoną. Przez chwilę nie rozmawiamy. Chcę Ryanowi zadać wiele pytań, opowiedzieć o wielu sprawach – ale cieszę się, że po prostu jestem z nim w tym cudownym pomieszczeniu.

– No, to co słyszeć, Anny?

– Mój felieton będzie publikowany w edycji ogólnokrajowej, a Monica chce, żebym dalej pisała teksty o Panu X i jakoś zakończyła tę historię.

– Więc w czym problem?

– Nie jestem już z Marvem. Potrzebuję go, żeby dokończyć cykl felietonów.

– Zaufaj sobie. Potrafisz o nim pisać.

– Manet zawsze miał modelkę. Van Gogh też.



– To nie modele sprawiają, że obrazy są genialne, lecz emocje. Stwórz Pana X z tego, co już wiesz o Marvie, a wiesz wiele.

Popijam herbatę i zastanawiam się nad tymi słowami.

– Co się stało? – pyta Ryan po długiej chwili.

– Raczej, co się nie stało. – Opowiadam mu o Bolinas i kłamstwie Marva. Ryan słucha uważnie, trzymając filiżankę z herbatą.

– Zaslługujesz na kogoś lepszego – mówi. – Kogoś, kto zechce ci poświęcić czas.

– Niektóre związki, choć niedoskonałe, wynikają z porywu serca. Czasami ludzie są zbyt zranieni...

– Bujdy na resorach – przerywa mi Ryan. – Zaslługujesz na wszystko, co najlepsze. To, co cię łączyło z Marvem, to pozory uczucia.

Nie odpowiadam, bo wiem, że to prawda. Nigdy nie umiałam pogodzić się z faktem, że Marv mnie nie kocha. Chciałam z nim być, jak narkomanka, która potrzebuje kolejnej działki – a to było możliwe tylko wtedy, gdy siebie oszukiwałam.

Kończymy herbatę. Rozmawiamy teraz o fotografii i jej związkach z malarstwem.

– Fotograf potrafi uchwycić więcej niż malarz – mówię. – Zdjęcie pozwala pokazać nawet to, czego nie widać.

Ryan milczy w zamyśleniu.

– Mam coś dla ciebie. – Podrywa się i bierze ze stołu śliczne akrylowe pudełko. Są w nim dziesiątki malutkich szklanych gwiazdek. Wieczko zdobi szmaragdowozielona szklana kulka.

– Piękne – mówię zachwycona. – Coś wspaniałego.

Dziękuję.

– To ty jesteś tymi wszystkimi gwiazdami. Zielona kulka oznacza, że czasami życie zaczyna zmierzać w nowym kierunku. Kiedy będziesz miała jakieś życzenie, wyjmij jedną gwiazdkę. To twoje magiczne pudełko.

Ryan muska moją twarz tak delikatnie, jakby dotykał kwiatów.

– Zarezerwowałem stolik w The Dragon. Świetna kuchnia. Chodźmy. Lepiej się poczujesz, kiedy dobrze zjesz. Cieszę się, że cię widzę.

W The Dragon tłoczą się turyści i świętujące Nowy Rok rodziny Azjatów. W środku panuje półmrok. W mdłym świetle połyskują ogromne murale przedstawiające złote smoki. Wykładzina na podłodze ma odcień głębokiej czerwieni, a kelnerzy noszą czerwone atlasowe kurtki i czarne czapki.

Najpierw jemy gorącą jak piekło zupę ryżową. Potem Ryan zamawia różne dania: krewetki, ryby, zielone warzywa, ryż. W sali jest ciepło, para z talerzy zasnuwa okna mgłą. Ten posiłek sprawia mi przyjemność. Ryan opowiada o swojej przyszłorocznej wystawie w Irlandii. Macha przy tym pałeczkami jak dyrygent batutą.

– Dlaczego w Irlandii?

– Bo to dobre zlecenie... ale także dlatego, że chciałem wrócić do mojej ojczyzny. Przez całe tygodnie będę chodził i jeździł rowerem po najwyższych górach Irlandii. Interesują mnie wczesnochrześcijańskie klasztory, celtyckie forty i średniowieczne zamki. Chciałbym kupić jeden z nich i pracować w nim od czasu do czasu – to świetne miejsce dla artystów, a w porównaniu z miastem żyje się tam tanio.

– Widzę, że to przemyślany plan – zauważam, próbując krewetek.

– Tak. I masz w nim swoje miejsce.

– Oszalałeś.

– Miło tak sobie porozmawiać. – Ryan uśmiecha się niepewnie jak trochę onieśmielony chłopiec. Z wdziękiem nalewa mi gorącej herbaty jaśminowej. – No, to opowiedz mi o swoim byłym mężu. Jaki był?

Milczę przez chwilę. Nabieram tchu.

– Kiedy go poznałam, wydał mi się księciem z bajki: inteligentny, przystojny... konserwatywny. Byliśmy młodzi. – Ogarnia mnie smutek. – No, to wersja skrócona.

Ryan wzdycha. Potem całuje wnętrze mojej dłoni.

– Anny, po prostu nie znalazłaś dotąd właściwego mężczyzny. Chyba cię znam, dlatego spędźmy razem trochę czasu, dopóki tu jestem.

– Dobrze.

– Nie wracaj do niego.

Siedzimy długo w milczeniu.

Potem ręka w rękę idziemy ulicami, na których już zbiera się tłum oczekujący na wieczorną paradę. Na wąskiej uliczce widać stojące rzędem wspaniałe platformy, a złoty smok ma ponad pięćdziesiąt metrów. Jego dwumetrową głowę zdobią żółte i czerwone pompony. Strzelają petardy, na ciemniejszym niebie rozkwitają kolorowe eksplozje. Ryan robi zdjęcia chińskich rodzin z dziećmi w kolorowych strojach, a także chłopca przygotowującego platformę z pagodą. Kupuje mi wachlarz ze złotego jedwabiu malowanego w malutkie różowe kwiatki. Kiedy go rozkładam, widzę intarsję z masy perłowej.

Ryan fotografuje mnie z wachlarzem, a potem prosimy parę turystów, żeby zrobili nam wspólne zdjęcie. Później zabieramy się do pracy i Ryan uwiecznia paradę. W końcu się obejmujemy i wracamy do domu.

Parę dni później Ryan podrzuca mi moje zdjęcia. Jedno, na którym uśmiecham się zalotnie z za wachlarza, oprawił w ramki. Wyglądam na tych fotografiach na szczęśliwą. Całkiem jakby uchwycił uczucia, do których być może nie chciałam się sama przed sobą przyznać. Zastanawiam się, czy bylibyśmy razem szczęśliwi, gdybym czuła do niego to, czego nie chcę czuć. Stawiam zdjęcie obok pudełka ze szklanymi gwiazdkami i zieloną kulką.

Jest wieczór, siąpi deszczyk. Otwieram okna, żeby wpuścić światło pełni. Odsłuchuję wiadomości na sekretarce. Z bijącym sercem słyszę głos Marva: „Proszę, oddzwoń. Dziś kładę się późno”.

Dygoczę. Na zmianę ogarnia mnie radość i przygnębienie. Wiem, że nie wolno mi do niego dzwonić. Sprzątam biurko, przygotowując je na następny dzień. Potem szykuję się do snu,

powtarzając sobie, że z Marvem wszystko skończone i nie muszę z nim rozmawiać.

Osuwam się w sen bez snów.

Następnego ranka koło siódmej dzwoni telefon. Tym razem podnoszę słuchawkę.

– Anny – odzywa się nerwowo Marv. – Cieszę się, że odebrałaś. Nie śpisz?

Mocno ściskam słuchawkę.

– Anny, chcę się z tobą spotkać. Proszę, porozmawiaj ze mną...

– Słyszę cię – mówię w otępieniu.

– Proszę, zjedz ze mną kolację. Muszę się z tobą rozmówić.

– Marv, jestem bardzo zajęta. To już koniec. Nie powinniśmy... Nie chcę...

– O siódmej. Przyjadę po ciebie. To ważne.

Tłumaczę sobie, że rozmowa to przecież nic złego. W końcu jednak coś nas łączyło. Poza tym czyż nie potrzebuję materiału do artykułu? Ale wiem, że powinnam się trzymać z daleka od tego próżnego człowieka, który nieustannie szuka młodości i nieśmiertelności. Od mężczyzny, który nigdy nie pozwoli, aby mój cykl felietonów się zakończył.

Rozmawiam z Janet i Lisą przez połączenie konferencyjne. Wyznaję, że zamierzam się spotkać z Marvem.

– Chce porozmawiać – wyjaśniam.

– Pewnie znudziła go oziębła była modelka – syczy Lisa.

– Porozmawiać?! – warczy Janet. – Kiedy mężczyzna tak mówi, to oznacza „przelecieć”. Gdyby nie brał viagry i miał miękkiego fajfusa, mówiłby prawdę. Ale dopóki chodzi mu tylko o łóżko, nie powie ci nic konkretnego.

– Ciągłe ta sama historia. Nic się nie dowiesz. Nie marnuj na niego czasu – dodaje Lisa.

– Ale z was pesymistki, dziewczyny.

– Bądź niedostępna – mówią obie.

Już wieczór. Kończę się ubierać i przyglądam się sobie w trzyczęściowym lustrze. Tym razem włożyłam fiołkowy

kaszmirowy sweter, czarną spódnicę do połowy łydki, fiołkowe rajstopy i botki z fioletowymi sznurówkami. Jestem gotowa.

Dzwoni telefon. To Marv. Stoi w holu. Na ogół czeka przed domem, przy drzwiach samochodu lub za kierownicą. Przychodzi mi do głowy, że pewnie zależy mu tak jak mnie.

Wygląda szykownie w szarym golfie i długiej czarnej skórzanej marynarce. Podchodzi do mnie z uśmiechem, wyciągając ręce, żeby mnie przytulić. W tej samej chwili do środka wchodzi Ryan. Obrzuca nas uważnym spojrzeniem.

– Eee, Marv... poznaj mojego sąsiada Ryana – mówię, wyzwalając się z objęć Marva.

– A, to pan jest tym facetem od fotografii – mówi.

Ryan wzrusza ramionami.

– A pan tym facetem od krwawych diamentów.

– Nie sprzedaję krwawych diamentów – warczy w odpowiedzi Marv.

Ryan spogląda na mnie pytająco i szybko odchodzi. Słyszę lekkie trzaśnięcie drzwi.

Siedzimy w North Beach Restaurant przy stałym stoliku Marva. Wnętrze prezentuje się oszłamiająco. Na ścianach wiszą grafiki Miró, słychać grzechotanie shakerów i kości rzuconych na mahoniowy bar. Z otwartej kuchni dobiega kakofonia dźwięków. Popijamy martini. Od pierwszej chwili spotkania Marv traktuje mnie ze szczególną uwagą, słucha każdego mojego słowa.

– Chcę, żebyś wróciła.

Usiłuję się uśmiechnąć. Powtarzam sobie, że Marv potrafi być bardzo uwodzicielski, ale wszystko z nim już skończone.

– Ty tego nie chcesz? – pyta niepewnie.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki mnie traktowałeś. Jakbyś mnie nie dostrzegał. Byłeś na zmianę gorący i zimny. Za bardzo mnie zraniłeś.

Marv wzdycha i spuszcza głowę jak chłopiec przyłapany na kradzieży ciastka.

– Anny, nie zostawiaj mnie. Potrzebuję cię.

– Jeśli to powtórzymy, znienawidzimy się nawzajem. –

Waham się przez chwilę. – Nie chcę, żebyś się spotykał jednocześnie z Debrą czy jakąś inną kobietą.

– Już się z nią nie widuję. Potrzebuję cię, Anny.

Dopijam drinka.

– No nie wiem.

– Chodzi o Ryana? Patrzy na ciebie, jakbyś była jego własnością.

– Ależ skąd. Po prostu nie sędzę, żeby nam się udało.

– No tak. Oczywiście. – Marv całuje mnie w rękę. –

Naprawdę cię kocham, Anny. Szczerze.

Kelner przynosi nam flądrę. Prawie nie mogę jeść. Wiem, że w tej chwili powinnam wstać i odejść, bo on się nie zmieni i powrót do niego to krok wstecz... ale on mówi dokładnie to, o czym marzyłam. Moje pragnienie zakończenia tego związku raz na zawsze znika i zaczynam sobie wyobrażać nas jako prawdziwie zakochaną parę. Pamiętam jednak o tym, że Marv ma talent do zmuszania wszystkich, żeby postępowali tak, jak on chce, a kiedy chwila szczęścia mija – znika, dlatego nakazuję sobie zachować ostrożność.

– Wspaniała ryba – mówię, żeby rozładować napięcie.

– Co czujesz, Anny? Kochasz mnie?

– Co miłość ma wspólnego z pragnieniem dobrego i pełnego szacunku związku?

– Daj mi drugą szansę. Bądź ze mną. Nie mogę bez ciebie żyć.

Bach! Kiedy Marv wypowiada te słowa, wszystko we mnie topnieje. Świat staje na głowie. „Więc jednak nabrał rozumu” – myślę.

Pół godziny później jesteśmy w jego domu. Rozbieram się tak szybko, jakby ziemia paliła mi się pod nogami. Nic nie ma znaczenia, nic się nie liczy z wyjątkiem Marva tu i teraz. Zapominam o wszystkim. Jestem w innym świecie. Skaczę na łóżko i oboje zatracamy się w swoich ramionach, a potem nie ma już nic, nic oprócz nas, oprócz naszego dotyku.

– Marzyłem o tym – szepcze Marv, pochylając się nade mną.

Całuje mnie namiętnie.

– Zrób to teraz – mruczę z wargami przy jego ustach.

– Ćśśś... Poczekajmy trochę, nie spieszmy się. Niech to trwa wiecznie.

Marv usiłuje we mnie wejść, ale – o Boże – jest miękki, i to bardzo, a ja leżę z nogami na jego ramionach. On się natęży, pcha i nadal nic, zero, aż w końcu przestaje mnie całować i powoli się cofa, a moje nogi opadają i chowają się jak zawstydzone dzieci.

– Nie mogę. Boże, nie mogę. Nie mogę tego zrobić.

Przez chwilę, która trwa jak wieczność, leżymy nieruchomo, potem Marv opada na plecy. Jego napiętą twarz oblewa złote światło księżyca, niemal napierającego na szybę.

– To przez alkohol – mówię, całując go. – Możemy się przytulić. – Chowam twarz w jego ramieniu.

– Chyba jestem zmęczony. Boli mnie głowa. Może od wódki.

– Nie martw się. W miłości nie chodzi tylko o seks.

– Anny, zostawię włączoną lampkę na wypadek, gdybyś wstała w nocy. W szufladzie obok ciebie są pigułki na kaszel. Często kaszlesz. Robiłaś sobie prześwietlenie klatki piersiowej?

– Zrobię.

– Wiem, że lubisz miękkie poduszki. Dam ci swoją. – Wsuwa mi poduszkę pod głowę.

– We śnie latam – mówię, wtulona w jego objęcia.

– A ja dryfuję na płyciźnie. Prąd mnie porywa. Jest wspaniale. Płynę i płynę, i nigdy się nie starzeję.

– Uważaj. – Całuję go w usta. – Jeśli jak Ikar zbliżysz się do słońca, zginiesz.

On też mnie całuje.

– Dobranoc, kochanie.

– Gdzie Niunia? – pytam.

– W hotelu dla zwierząt. Muszę jechać do Vegas na pokaz klejnotów, a potem do Nowego Jorku w interesach. Wrócę za parę tygodni.

– Dlaczego Debra jej nie wzięła?

– Debra wyjechała.

Marv odwraca się na bok i zasypia. Nie ma go dla mnie. A ja nie mogę spać. Leżę, wpatrując się w światła poruszające się po suficie, i wiem, że znowu dałam się oszukać. Marv rzuca się, obraca, wzdycha, chrapie. Dwa razy wstaje, mamrocząc, że nasilił mu się ból głowy, i idzie do łazienki. Słyszę szum wody, kaszel, grzechot pigułek w buteleczce. Kiedy wraca, ma zimne stopy.

Księżyc zniknął, niebo jest czarne.

„Nie mogę bez ciebie żyć – powiedział. – Chybaby nie skłamał? Nie na tym etapie”. W końcu zapadam w półsen, a moje myśli snują się swobodnie; jadę na wielbłądzie po pustyni, bujam się na huśtawce w Irlandii, tańczę taniec brzucha w Stambule. Egzotyczne światła i wysokie trawy kryją moje nagie ciało, grzechoczą bransolety z kamieniami na rękach, pierścionki na palcach stóp, srebrne łańcuszki na kostkach.

Kiedy budzik dzwoni o szóstej rano, natychmiast się budzę. Marv błyskawicznie podrywa się z posłania.

– Musimy się szybko ubrać. Mam dziś rano pilne spotkanie w interesach.

– Aha, jasne – mamroczę.

Marv biegnie do łazienki. Kiedy słyszę szum wody i jego głos śpiewający piosenkę Franka Sinatry, przeglądam leżące na krzesłach gazety. Nie ma ani jednego „San Francisco Timesa”. Żadnych oznak, że Marv czyta moje felietony lub że go obchodzą.

Marv wchodzi owinięty ręcznikiem.

– Łazienka jest twoja.

– Dziękuję – mówię i pospiesznie idę do toalety z naręczem ubrań. Zamykam drzwi. W powietrzu unosi się jeszcze para i zapach wody kolońskiej. Odkręcam wodę, udając, że się kąpię. Gorączkowo przetrząsam szafkę w poszukiwaniu viagry. Nic. Ubieram się we wczorajsze ciuchy, zastanawiając się, czy Marv naprawdę czyta moje teksty o Panu X. A może nie wierzy, że mogą mieć wielu czytelników?

Opłukuję twarz zimną wodą, czeszę się jego szczotką, kiedy zauważam butelkę francuskich perfum przy umywalce. Ganię się w duchu za szukanie kłopotów i idę do kuchni. Marv już robi kawę



w swoim wielkim czerwonym ekspresie. Jest ubrany w ciemny garnitur w prążki i białą koszulę ze srebrnym krawatem. Włosy zaczesał do tyłu.

– Tak jak lubisz. Z pianką – mówi oficjalnym tonem, podając mi malutką szklaną filiżankę espresso. Jej brzeg jest ozdobiony skórką cytrynową.

Siadam na wysokim stołku, piję kawę i przyglądam się, jak Marv przyrządza jajka, pouczając mnie, że powinnam się lepiej odżywiać.

– No to co, czytałeś moje felietony o Panu X?

– To fajny gość – odpowiada, nakładając jajka na lancerskie talerze od Versace. Siada obok mnie, nisko pochylony nad jedzeniem. Przełykam parę kęsów, myśląc, że poświęcanie śniadaniu tak wiele uwagi ma w sobie coś żalosego.

Kiedy talerze są już opłukane, Marv zajmuje się swoją uprawą hydroponiczną na wyspie kuchennej. Ostrożnie przycina bazylię i wkłada listki do woreczka.

– Lubisz ją. To dla ciebie – mówi nieśmiało. – We właściwym świetle można wyhodować wszystko.

Zerkam na zegarek.

– Występna kobieta musi już iść do domu – mówię. Naprawdę spieszy mi się do wyjścia. Chcę to wszystko przemyśleć.

– Nie, to ja jestem występny mężczyzną – odpowiada Marv ponuro. Potem rozgląda się po kuchni. – Nie zapomnij bazylii. Masz kolczyki? Okulary?

Później, kiedy wracam do siebie, okazuje się, że nie mogę pisać. Przez ten poranek czuję się pusta. Wszystko znowu się zmieniło. „Kocham cię – powiedział, ale gdzie się podziała wczorajsza namiętność? Czy Marv nie potrafi podtrzymać uczuć dłużej niż przez jedną noc? Czy teraz żałuje, że wyznał mi miłość? Skąd ta jego impotencja?”

Otwieram szeroko okna, wpuszczając czyste, ogrzane słońcem powietrze. Przy moim parapecie unosi się bardzo piękny żółty motyl. Przez chwilę przyglądam się, jak odlatuje.

Słońce mocno dziś świeci, lekki, ciepły wietrzyk snuje się nad miastem jak dym. Zamykam oczy i pozwalam myślom odpłynąć. Wkrótce unoszę się na latającym dywanie, reżyserując sceny miłosne i wyświetlając moje marzenia jako tło – drzewo, przez które słoneczne światło prześwieca jak gwiazda, czarny wir, nagły mrok jaskini...

Po kawie i kąpieli siadam do komputera i piszę szkic felietonu *Pan X wrócił. Czy się uda?*

*Chcę, żebyś do mnie wróciła. Kocham cię – powiedział. Ale tego ranka, odwożąc mnie do mieszkania, Pan X znowu był daleki, zamknięty w sobie, jakby zupełnie wystarczyła mu bliskość tej nocy.*

Po paru godzinach całkowitego zagubienia w świecie Pana X kończę szkic, postanawiając przeczytać go jeszcze raz w Starbucksie, a potem wydrukować. Tymczasem już prawie zapadł wieczór. Blade światło słoneczne walczy z napływającą mgłą.

Włączam radio nadające muzykę latynoską. Zamykam oczy i odpływam. Marv i ja tańczymy przy zmysłowej hiszpańskiej piosence miłosnej. On trzyma mnie mocno, jego dłoń, duża i ciepła, spoczywa na moich plecach. W ośmiocentymetrowych szpilkach dosięgam ustami jego ust. Całujemy się, ledwie się poruszając, i nie przestajemy, kiedy muzyka ustaje, a sala pustoszeje.

Z trudem wracam do rzeczywistości. W nagłym przyplywie energii zaczynam malować na ścianie przy łóżku mnóstwo białych róż, zielone łądygi wijące się i splątane tuż przy podłodze. Po dwóch godzinach kończę. Jestem zadowolona. Podoba mi się to, co stworzyłam.

Zarzucam plecak na ramię i wybiegam w przygasające światło dnia.

## ROZDZIAŁ 25

Lisa miała operację biodra. Parę dni później odwiedzamy ją z Janet w jej eleganckim parterowym domu w Pacific Heights. Na ścianach wiszą prace miejscowych artystów, w tym dwa moje obrazy kobiet w pudełkach. Tekowe parkiety są wypolerowane na wysoki połysk, a antyki mieszają się z meblami Miesa van der Rohe.

Lisa – w szlafroku z błękitnego jedwabiu – wygląda krucho. Siedzi w aksamitnym beżowym fotelu w lodowatoniebieskiej sypialni. Obok stoi balkonik. Na szklanych stolikach są wyeksponowane zdjęcia jej syna i wnuka, a także nas trzech.

Lisa nie chce mówić o swoim zdrowiu i lekceważy nasze obawy, więc gawędzimy sobie o moim ostatnim wieczorze z Marvem.

– Teraz Vegas. Znowu pokaz klejnotów – opowiadam – więc na pewno jest tam ze swoją byłą – z tą samą, której obiecał już nie widywać.

– Kochanie, niedobrze – mówi Janet.

– Coś mi tu śmierdzi – dodaje Lisa. – Pies wylądował w hotelu, bo ten szczur jest z nią. – Jej koralowa szminka wydaje się bardzo jaskrawa na tle bladej twarzy. Na zabytkowym stoliku obok niej stoją buteleczki lekarstw.

– Powiedział, że nie chce żyć bez ciebie, ale nie może ci dać nic więcej. Możesz liczyć tylko na tyle. Masz swojego Pana X. Pogódź się z tym – mówi Janet, malując wargi pomarańczowym błyszczkiem. Jest ubrana w pomarańczowy sweter, czarne legginsy i czarne, ozdobione suwakami botki do kostek.

– Gówno prawda. Ogląda za dużo filmów z Carym Grantem – oświadcza Lisa.

– Czy dobry seks ma mi wystarczyć? Najlepiej sprawdzamy się jako kochankowie w ciemnościach, ale poza tym nam nie wychodzi, a ja niestety potrzebuję czegoś więcej. Czegoś, czego nigdy nie miałam. – Wzdycham. – Mówiłam wam, że dopadła go impotencja?

– Może się zdenerwował tą deklaracją, że nie może bez

ciebie żyć – podsuwa Lisa.

– Zdenerwował, akurat! – prycha Janet. – Chyba tym, że znowu go przyłapiesz na kłamstwie. Nagle zaniemógł, bo wie, że łąże jak pies.

– Sprawdziłaś, czy zagląda na JDate? – pyta Lisa.

– Tak. Nie zagląda.

– Sprawdzaj dalej.

– Wątpię, żeby to znowu robił.

– Że co, proszę?! – rzuca Lisa władczo. – Chyba sama w to nie wierzysz. Ten gość uważa, że jako strasznie piękny i bogaty facet na viagrze jest bezkarny.

– Kocham go. Wiem, że to nicpoń, ale kocham go, i tyle.

– Bardziej kochasz Pana X – oznajmia Lisa.

Kiedy wracam do domu, od razu sprawdzam JDate i okazuje się, że rzeczywiście Marv zalogował się tam dziś rano.

„No dobra. Tym razem wygram. Mam plan”. Rejestruję nowy profil – Diwa Dansingów. Wypełniam stosowne formularze i zamieszczam opis: „Mam trzydzieści dwa lata. Jestem aktorką. Lubię starszych mężczyzn. Są o wiele bardziej interesujący”. Potem skanuję swoją fotografię z czasów, gdy miałam trzydzieści lat. Na zdjęciu mam ciemne okulary i bikini w grochy i leżę przy moim basenie w Happy Valley.

Czekam. Godzinę później Marv pisze maila do Diwy Dansingów. „Zachwyciłem się tobą. Podoba mi się, że jesteś aktorką, w dodatku młodą. Podróżuję po świecie, sprzedaję brylanty gwiazdom. Sama wyglądasz jak brylant. Przez parę dni będę w Vegas, ale odezwij się do mnie. Wielki Człowiek”.

Piszę następny felieton o Panu X. Zwierzam się czytelnikom z mojego planu, a potem zamieszczam mail Marva do Diwy Dansingów. Zamierzam poczekać, aż korespondencja się rozkręci, a potem spotkam się z Panem X i wyjawię, że to ja jestem Diwą Dansingów. Niech ma za swoje.

Przez następne dwanaście dni wysyłam – czasem trzy razy dziennie – żarliwe maile do Marva, podpisując się jako Diwa Dansingów. On odpowiada. Cytuję jego maile w felietonach, a fani

natychmiast zasypują mnie listami. Moja popularność rośnie. Miejscowe stacje telewizyjne i radiowe coraz częściej zapraszają mnie na rozmowy o randkach ludzi po sześćdziesiątce. Do Moniki zgłasza się nawet hollywoodzka agentka. Chce zaklepać sobie prawo do ekranizacji moich tekstów. Szefowa odpowiada, że nam się nie spieszy.

– Ci goście z Hollywood to sępy – mówi.

Cieszy mnie moja niespodziewana kariera i czuję się tak, jakbym mogła wszystko.

Piszę felieton zatytułowany: *Kiedy przychodzi czas, by to skończyć?*

*Jak to rozpoznać? Pan X jest cudownie przebiegły, zachowuje się jak chłopiec na seksualnym polowaniu – to gorący, to zimny, to skryty, wciąż inny. Nigdy nie nadejdzie odpowiednia pora, by to zakończyć, ponieważ jego neurotyczne zachowania się nie powtarzają, a kiedy patrzę, jak biegnie do swojego samochodu, serce mi bije tak szybko...*

Dwa dni później, gdy siedzę przy komputerze, dzwoni Marv.

– Kochanie, tęskniłem – mówi.

– Jak miło.

– A ty?

– Jak wariatka.

– To może się dziś spotkamy?

– Nie mogę. Przepraszam. Mam mnóstwo pracy z felietonem, a potem umówiłam się na kolację.

– Więc jutro?

– Cały ten tydzień odpada.

– To może sobota wieczorem? Kolacja i weekend ze mną?

– W niedzielę mam urodziny, więc jestem uwiązana.

– Wszystkiego najlepszego. Spotkajmy się następnego dnia.

Wtedy uczymy twoje święto.

– Dam ci znać – oznajmiam.

## ROZDZIAŁ 26

W niedzielny ranek – moje urodziny – dostaję od Ryana bukiet bladoherbacianych róż z cudownym liścikiem: „Jesteś wiecznie młoda, Anny. Twój na zawsze Ryan”.

Stoję przed lustrem, patrząc na obwisłą skórę na szyi, zwiędły podbródek, jaśniejsze niż kiedyś, rzędzące brwi. Nasłuchuję dzwonek telefonu – na próżno. Oczywiście Marv zapomniał o moich urodzinach. Jakżeby inaczej.

Ubieram się. Mam się spotkać z Emily i Harrym w Golden Gate Park. Potem idziemy na obiad do Sam's, mojej ulubionej restauracji. Przed wyjściem wchodzę na JDate i czytam napisane kwiecistym stylem romantyczne maile od Marva do Diwy Dansingów. „Spotkajmy się jak najszybciej. Kiedy będziesz wolna?”.

Jadę taksówką do parku. Przed bramą czekają Harry i Emily. Fred skacze na mnie, niemal mnie przewracając, liże po twarzy i rękach. Emily ze śmiechem go odciąga, mówiąc, że nie wolno mu się rzucać na „babcię”. Moja córka ślicznie wygląda – z twarzą nietkniętą makijażem i fiołkami zdobiącymi jej koński ogon. Promienieje naturalnym pięknem – takim, które się dostrzega, kiedy się ją pozna bliżej.

– Wszystkiego najlepszego, mamusiu – mówi, ściskając mnie mocno.

– Wszystkiego najlepszego, mamó – dodaje Harry, mrugając.  
– Prezent dla ciebie zostawiliśmy w samochodzie. Damy ci go w restauracji.

Jak tu pięknie. Kwiaty pokrywają trawniki niby różowy szyfon. Leżymy na trawie, patrząc na Freda skaczącego i biegającego za piłką, którą Harry mu rzuca.

Przyglądam się biedronce pełzającej po żdźble trawy. Przypomina mi się, jak mój brat mówił: „Biedroneczko, leć do nieba...”. Pozwalam jej wejść na mój palec. Mam ochotę zabrać ją ze sobą, ale jest zbyt piękna. Strzepuję ją i patrzę, jak odlatuje, machając skrzydełkami, a potem opada na trawę.

– Mamó – zwraca się do mnie Emily. – Cieszę się, że jesteś

dziś z nami. To cudowne.

– Ja też dobrze się bawię.

– Dostałaś tuzin róż od swojego księcia z bajki?

– Nie powiedziałam mu, że mam urodziny.

– Nie musiałaś.

– Chciałbym ci przedstawić mojego wuja – wtrąca Harry. – Ma ładny dom w Santa Cruz. Przez cały dzień pracuje w ogrodzie. I jest bogaty.

– Mama ma za co żyć – rzuca Emily, patrząc na niego surowo.

– Nie chcę korzystać z cudzych pieniędzy. Sama pracuję i dobrze zarabiam. Przestańcie mnie swatać.

Emily wzdycha ciężko, rzucając Harry'emu porozumiewawcze spojrzenie.

– Mamo, po prostu nie chcemy, żebyś była sama.

I podczas kiedy oni nawijają o grupach singli, do których mogłabym dołączyć, i radzą, co powinnam zrobić, ja zamykam oczy. Śledzę plamki światła, które przez jakiś czas dryfują pod moimi powiekami, a potem znikają. Wyobrażam sobie, że wtapiam się w ten płaski limonkowy trawnik. Przypominam sobie, jak w dzieciństwie Emily siedziała przy stoliku z otworkami, w które wkładała klocki. Jej śliniaczek pachniał morelami i gumą.

– Mamo, obudź się. Idziemy! – woła Emily.

Następnego dnia wieczorem odpoczywam i oglądam *Cheaters* – okropny reality show o padalcach jeżdżących furgonetką detektywa i wywnętrzających się na temat niewierności swoich partnerów, dopóki nie przyłapią ich na gorącym uczynku. Zmieniam kanały, rezygnuję z powtórek *Dra Phila* i *The Bachelor* – o głupich dziewczynach płaczących z powodu rozlazłego kawalera z odzysku. Dzwonek telefonu przyprawia mnie o łomot serca. Zbliża się północ. W słuchawce słyszę głos Lisy, która z ożywieniem opowiada mi, że poszła z chłopakiem na lanserskie przyjęcie Jewish Federation.

– I kogóż tam zobaczyłam? Postawnego, przystojnego mężczyznę z identyfikatorem, na którym widniało jak byk „Marv

Rothstein”! Towarzyszyła mu wysoka, anorektyczna kobieta, bardzo młoda i niestety ładna. Przedstawiono nas sobie, a on udawał, że mnie nie zna, co jest żałosne, bo przecież opowiadałaś mu o mnie. No, w każdym razie to było przyjęcie dla bogaczy.

Mocno ściskam słuchawkę.

– Dlaczego ten gość cię ze sobą nie zabrał?

– Nie lubię takich imprez.

– Doradzam użycie feng shui – mówi Lisa, zniżając głos. –

To zmieni twoje życie. Ja sama, odkąd odwiedził mnie specjalista od feng shui, sprzedałam dwa budynki, a potem poznałam Harolda. Dobra, może szau nie ma, ale Harold lubi się przytulać i jest odpowiedzialny. No więc dam ci numer do tego specjalisty. Jest niesamowity. Bardzo uduchowiony. Zmieni twoje życie.

Rozłączam się i przez jakiś czas krążę po pokoju. Mam do siebie pretensję o to, że tak długo tkwię w związku z Marvem. Jak to zakończyć? Nagle wpadam na świetny pomysł: skontaktuję się z Wielkim Człowiekiem jako Diwa Dansingów i poproszę o spotkanie jutro wieczorem. Potem powiem mu prosto w oczy, że wszystko skończone. Wreszcie zrozumie, że moje na wierzchu.

Ożywiona, wchodzę na JDate, klikam na profil Wielkiego Człowieka i piszę: „Będę jutro wieczorem w San Francisco i bardzo chciałabym cię poznać. Jesteś szalenie przystojny i uroczy. Spotkajmy się na najwyższym piętrze Mark Hopkins Hotel o siódmej. Rozpoznasz mnie po długim czerwonym płaszczu. Naprawdę mam na imię Natasha”.

Dwie godziny później, o drugiej nad ranem, Marv odpowiada: „Nie mogę się doczekać. Będę siedzieć przy barze”.



## ROZDZIAŁ 27

Przyjeżdżam na Nob Hill trochę wcześniej. Mgła opadła na miasto i jest bardzo zimno. Mam na sobie długi czerwony płaszcz i czarne buty na platformach. Włożyłam też czerwony beret z kryształowym motylkiem.

Księżyc lśni na ciemnym niebie jak złota kula. Tramwaje suną ze szczękiem po wzgórzach, katedra Łaski Bożej lśni jak biały sen.

Wciągam w płuca powietrze przesycone zimną mgłą i idę pospiesznie do hotelu. W wielkim holu wysoko pod sufitem wiszą potężne kryształowe żyrandole, ściany są wyłożone boazerią. Wjeżdżam szklaną windą pełną turystów na najwyższe piętro, zamykając oczy i wstrzymując oddech.

Drzwi rozsuwają się, ukazując wielką salę pełną czerwonego pluszu i kryształów. Staję za turystami czekającymi w kolejce na stolik i przyglądam się Marvowi siedzącemu na końcu długiego lustrzanego baru. Pianista w białym fraku gra *It Had to Be You*, a pary wirują na małym parkiecie. Kryształowe żyrandole zwisają z wysokiego sufitu jak brylantowe kolczyki, a przez wysokie okna widać gwiazdy – tak bliskie, że niemal dotykają szyb.

Patrzę, jak Marv, bardzo elegancki w ciemnym garniturze, niecierpliwie zerka na zegarek, nerwowo przygląda śliczną smukłą ręką idealną fryzurę. Przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie. Jego widok zaparł mi wtedy dech. Nadal brakuje mi powietrza, kiedy na niego patrzę. Pomimo jego próżności, narcyzmu, samolubstwa, kłamstw i zdrad zalewa mnie niespodziewana fala miłości. Wiem, że jeśli uświadomię mu, że jestem Natashą, upokorzę go do końca życia. Sama także zaprezentuję się jako osoba znerwicowana, podła, która go prześladowa. W tej chwili dociera do mnie, że go kocham i zawsze będę kochać. Otrzymałam od niego wspaniały dar: obudził moją seksualność. Uprawiał ze mną seks gorączkowo, jak młody żołnierz jadący na wojnę – bo on właśnie jest takim żołnierzem. Żyje chwilą, tak, jak chce.

Postanawiam, że spotkam się z nim jutro i powiem, że

wszystko skończone. Ale nigdy nie wyjawię mu prawdy o Diwie Dansingów. To mój podarunek dla niego.

Biegnę do windy i dopadam do czekającej taksówki.

Następnego ranka piszę do Marva, że spotkam się z nim na kolacji w sobotni wieczór.

Siedzimy w North Beach Restaurant. Marv wygląda na zmęczonego. Jego zwykle rozświetlona oliwkowa skóra pobladła i pokryła się plamami. Opowiada o swojej „podróży w interesach” i fantastycznym żółtym brylancie, który sprzedał gwiazdzie rocka. Chce kupić mieszkanie w Londynie.

– Wspaniale – mówię.

– To ty wyglądasz wspaniale, Anny. Promieniejesz.

Uśmiecham się.

– Tęskniłem za tobą. Za twoimi kapryсами i dramataми, za twoim ciałem. Jesteś piękna – dodaje, zniżając głos.

– Marv, musimy porozmawiać.

Przymyka oczy i wzdycha ciężko, jakby przygotowywał się do starcia.

– Wiem, że nie poświęcam ci dość uwagi. Jesteśmy już starszymi ludźmi. W naszym wieku to, co nas łączy, to rzadkość. – Uśmiecha się, bierze mnie za rękę. – Nadal twierdzę, że z nikim nie było mi lepiej w łóżku.

– Marv, chciałam ci powiedzieć, że to koniec, więc już do mnie nie dzwoń. Proszę. Nie umiałam ci się oprzeć, ale nasz związek to już przeszłość.

Marv gładzi mnie po ręce i spogląda błagalnie jak chłopiec na matkę.

– No, skoro tego chcesz...

– Nie tego chciałam. Ale tak musi być.

Marv zerka na zegarek.

– Zamierzałem ci pokazać nową sofę. Moja dekoratorka kupiła ją w Paryżu...

– Marv, wracam do domu. To koniec.

Powoli, jakby dawał mi czas na zmianę decyzji, płaci rachunek i wstaje. Kiedy idziemy przez zatłoczoną restaurację do

drzwi, potyka się.

– Trzymam cię – mówię, łapiąc go za rękę.

– Chyba za dużo wypilem – mruczy z zażenowaniem.

– Poprosimy o wodę – zaczynam, ale już jest za późno. Marv mdleje. Leży na podłodze, w jego szarej twarzy błyskają białka wpróprzymkniętych oczu.

– Pomocy! – wołam. – Szybko, proszę!

– Jestem lekarzem. Proszę dzwonić na pogotowie! – krzyczy niski rudy mężczyzna. Rozkazuje wszystkim się cofnąć i zrobić trochę miejsca. Zdejmuje Marvowi krawat, rozpina koszulę, uciska jego pierś. Marv szarzeje jeszcze bardziej. Wszystko dzieje się niezwykle szybko. Zjawiają się sanitariusze i zakładają Marvowi aparat tlenowy.

Jadę karetką do szpitala. Marv jest niemal siny, oczy ma zamknięte. Sanitariusze siedzą po obu jego stronach z bardzo poważnymi minami.

W szpitalu Mount Zion wiozą go pospiesznie korytarzem i zatraskują drzwi OIOM-u. Pielęgniarka pyta, czy jestem jego krewną.

– Nie, bardzo bliską przyjaciółką. Chciałabym zostać.

Kobieta prowadzi mnie do poczekalni i obiecuje, że powiadomi mnie o stanie Marva, kiedy tylko lekarze postawią diagnozę.

Siedzę na plastikowym krześle, pijąc gorzką kawę. „Proszę, nie umieraj” – powtarzam w duchu. Nie powiedziałam mu, że zawsze będę go kochać, że dał mi coś, czego nie miałam od dawna, coś, co uważałam już za martwe. Jego słowa przestają mieć znaczenie.

Drzwi się otwierają i do poczekalni wchodzi pielęgniarka z wiszącą na szyi maską.

– Pani jest krewną pana Rothsteina?

– Przyjaciółką.

Kobieta spogląda na mnie ze współczuciem.

– Miał rozległy zawał. Następne dwadzieścia cztery godziny zdecydują o jego stanie. Jeśli nie należy pani do rodziny, proszę

jechać do domu i zadzwonić do szpitala jutro.

W drodze do windy spotykam biegnącego korytarzem wysokiego, przystojnego blondyna. Rozpoznaję syna Marva, Maurice'a, którego widziałam na zdjęciu w salonie. Ma mocny podbródek Marva, jego szerokie usta i wysokie kości policzkowe. Zatrzymuję go. Wyjaśniam, że byłam z jego ojcem.

– Pani jest Anny – zgaduje.

Kiwam głową.

– Kiedy tylko się czegoś dowiem, zadzwonię do pani.

Czekam cały dzień. Telefon milczy. Późnym wieczorem dzwonię do szpitala. Pielęgniarka mówi, że Marv jest na sali operacyjnej. Robią mu potrójny by-pass. Potem spędzi parę dni na OIOM-ie.

– Kiedy mogę się z nim zobaczyć?

– Musi pani zadzwonić do jego syna.

Numer Maurice'a znajduje się w książce telefonicznej.

Zostawiam wiadomość z prośbą o oddzwonienie.

Mijają dni. Modłę się o wyzdrowienie Marva. Chodzę do katolickiego kościoła Świętego Marka w North Beach i zapalam świece wotywnie. Katolicyzm do mnie przemawia. Uwielbiam te rytuały, kolory, pompę i wiarę. Później dzwonię do szpitala. Pielęgniarka mówi, że Marv jest „w stanie krytycznym”.

Zamykam oczy, przypominając sobie pogrzeb mojej matki. Została skremowana. Złota tekturowa urna z jej prochami stała przed żałobnikami, a wynajęty rabin nawijał piskliwym głosem o „cudownym” życiu mojej matki.

Zapada wieczór, deszcz bębni o szyby. Choroba Marva obudziła we mnie głębokie współczucie, a perspektywa jego śmierci mnie przeraziła. Zajmował ważne miejsce w moim życiu.

Żeby się odprężyć, zaczynam przygotowywać się do pracy nad obrazem. Ustawiam paletę, postanawiam używać szarości, zieleni i bieli – i odrobiny szmaragdu. Kiedy zaczynam malować, dzwoni telefon. To syn Marva.

– Jak pański tata?

– Już lepiej. Przenieśli go do prywatnej sali.

– Bardzo się cieszę. Co za ulga.

– Doktor Abrams twierdzi, że potrzebuje kilku tygodni opieki i wypoczynku, ale będzie jak nowy. – Maurice waha się przez chwilę. – Ojciec chce panią zobaczyć. Tylko proszę najpierw upewnić się co do jego stanu.

Następnego ranka dzwonię do szpitala; pielęgniarka mówi, że Marv jest osłabiony i nie może się przemieszczać.

– Proszę przyjść o czwartej, przed obiadem – radzi.

Popołudnie jest deszczowe i zimne. Wkładam trencz do kostek. Biorę do torby oprawione w ramki zdjęcie Niuni i biegnę do szpitala.

Mówię pielęgniarkom, że przyszedłam do Marva Rothsteina. Idę za jedną z nich do sali z zasłoniętymi oknami.

Podchodzę na palcach. Marv leży na ułożonych wysoko poduszkach. Twarz ma równie białą jak włosy. Przy łóżku stoi kwitnąca biała orchidea.

– Cześć – szepczę. Monitor piszczy, zielona nitka kardiogramu podskakuje.

– Cześć, kochanie – odpowiada. Pod oczami ma szare cienie. Na jego rękach pojawiły się starcze plamy, w miejscu wkłucia – małe siniaki.

Delikatnie całuję jego wargi. Są suche jak papier.

– Ładnie pachniesz – mówi Marv, usiłując się uśmiechnąć.

Stawiam zdjęcie Niuni na szafce, obok fotografii syna i wnuczki.

– Dziękuję. Śliczne.

– Wiem, że musisz za nią tęsknić.

– Chcę, żebyś wróciła – chrypi. – Anny, Kocham cię.

– Wyzdrowiejesz. Zobaczysz.

Marv ma łzy w oczach.

– Lekarze powiedzieli, że nie mogę brać viagry.

Przepraszam. To dlatego...

– Nie narażaj zdrowia.

– Anny, połóż się koło mnie. Proszę.

Zdejmuję botki, stawiam je pod łóżkiem. Kładę się obok

Marva, starając się go nie przygnieść, nie urazić, nie nacisnąć rurek. Trzymam mocno jego dłoń i myślę, że stał się kruchy, bardzo kruchy, zupełnie bezbronny. Jego ramiona, zwykle opalone i gładkie, pobladły. Jak mogłam nie zauważyć starczych plam na jego twarzy? I tych małych zmarszczek wokół ust – teraz są o wiele głębsze, niż zapamiętałam. Przez jakiś czas leżę, nie odzywając się, trzymając go za rękę i słuchając odgłosów szpitala: pisku pagerów lekarzy, szybkich kroków pielęgniarek w korytarzu. Ze starego grzejnika bucha żar, bębnienie deszczu o szyby uspokaja.

– Jeśli umrę, chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham. Nie ma żadnej innej.

– Śpij. Jutro wrócę.

Deszcz przestaje padać. W pokoju zapada nagła cisza. Wkładam buty i zapinam płaszcz.

Przez chwilę stoję, patrząc na niego, potem całuję go w czoło i cichutko wychodzę.

Nazajutrz wchodzę do szpitala z żółtą orchideą. Biegnę na górę, ale sala Marva świeci pustką. Idę do pielęgniarek, żeby spytać, co się stało.

– Przewieźli go na OIOM – rzuca młoda kobieta. – Wymagał resuscytacji. Lekarze nad nim czuwają. Na razie nie wolno go odwiedzać.

– Czy wyzdrowieje?

– Nie mogę powiedzieć. Powiadomię lekarza, że pani czeka.

– Proszę nie zapomnieć.

– Tak, pani Rothstein.

– Ale... – zaczynam, po czym gryzę się w język.

Siedzę w poczekalni przed OIOM-em. Jest mała, pomarańczowa i pusta. Pachnie w niej gorzką kawą. Z telewizora nastawionego na CNN dobiega ściszony głos.

Do poczekalni wchodzi wysoka, szczupła, niezwykle efektowna i o wiele ode mnie młodsza kobieta o nieprzyjaznych, mrocznych oczach. Siada naprzeciwko mnie. Proste czarne włosy sięgają jej za ramiona. W uszach ma brylanty w kształcie kropel.

To ją widziałam na zdjęciu w „Gazette” obok Marva. Kobieta zdejmuje płaszcz i wówczas dostrzegam na jej nadgarstku złoty zegarek z malutkimi brylancikami – ten sam, który zauważyłam w domu Marva.

Czuję się oszukana. Oszołomiona. Cały czas mnie okłamywał, nawet leżąc w szpitalnym łóżku. To nieuleczalny kłamca. Jest jak te japońskie pudełka z laki: gdy wydaje ci się, że już trafiłeś na ostatnie, pojawia się następne. Usiłuję się nie gapić na siedzącą naprzeciwko kobietę. Przypominają mi się wszystkie wykręty Marva, jego liczne spotkania rzekomo z wnuczką, synem czy lekarzem – i czuję, że pali mnie twarz.

Do poczekalni wchodzi lekarz. Ma na sobie zielony uniform chirurga, na szyi wisi mu maska.

– Pani Rothstein?

Kobieta wstaje.

– Debro, pan Rothstein chce cię zobaczyć.

– Czy wyzdrowieje? – pyta kobieta.

Lekarz kiwa głową.

– Chodź ze mną.

Debra znika w korytarzu.

Biegnę do windy, nie czując stóp, cała odrętwiała. Orchideę z moją wizytówką zostawiam w recepcji i wracam do domu.

Spotkanie z Debrą uświadomiło mi wreszcie dwulicowość Marva, ukazało całą prawdę. Nie wracam już więcej do szpitala. Parę razy wysyłam tylko kartkę i dzwonię do syna Marva, który mówi, że ojciec jest już w domu i szybko dochodzi do siebie.

Mój ostatni felieton *Pan X miał zawał* znowu wywołuje szum. Ludzie piszą, że moja bohaterka nie powinna go teraz zostawiać. Kobiety radzą, żeby wynajął pielęgniarkę.

Hollywoodzka agentka Melissa Powell nadal wydzwaniania do Moniki.

Robi się głośno o moim nowym cyklu tekstów o kobietach i dyskryminacji ze względu na wiek. Telewizja CBS łączy się ze mną przez satelitę o wpół do czwartej rano i robi wywiad o starszych kobietach i seksie. Mówię, że życie erotyczne nie ma nic

wspólnego z wiekiem. „Można być kiepskim w łóżku dwudziestolatkiem i wspaniałym stulatkiem”.

I nadal wygłaszam wiele prelekcji o dyskryminacji starszych osób.



## ROZDZIAŁ 28

Dziś jestem w domu i robię pranie. Niosę kosz brudnych rzeczy do pomieszczenia gospodarczego obok garażu. To wilgotna klitka oświetlona tylko jedną żarówką.

Wrzucam ubrania do bębna, siadam na plastikowym krześle i czytam nowy magazyn „Poets”. Komórkę mam przy sobie. Stare pralki głośno pracują.

– A, tu jesteś – mówi Ryan, wchodząc z własnym praniem. – Dzwoniłem do ciebie.

– Nie wiedziałam, że jesteś w domu. – Przytulam go. Nie widzieliśmy się kilka tygodni, bo wyjechał na zlecenie.

Siedzimy w mdłym świetle, przekrzykując warkot i wizg pralek. Ryan przeżył wspaniałą przygodę i opowiada z zapałem o swojej pracy. Wydaje książkę ze wszystkimi nagrodzonymi fotografiami. Kiedy płukanie się kończy, przenoszę ubrania do suszarki.

– Poinformowałem administrację, że przenoszę się na stałe do Sebastopola – mówi Ryan, patrząc na mnie przenikliwie.

– Wyprowadzasz się? Nie możesz! Komu będę się zwierzać?

– A Marv?

– Miał zawał... Zresztą już się nie widzimy. Opowiadałam ci.

– Teraz będzie mu na tobie jeszcze bardziej zależeć. Mam nadzieję, że nie dasz się znowu przekonać.

– To już skończone.

Ryan milczy przez chwilę.

– Podjąłem decyzję. Przeniosę się na stałe do domu w Sebastopolu. Nie potrzebuję już mieszkania w mieście. Więcej podróżuję.

Składa pranie; jego duże, silne ręce troskliwie wygładzają prześcieradło.

Suszarka trzęsie się i warczy. Kiedy cichnie, składam rzeczy i umieszczam je w koszu.

– Pamiętasz, Anny, powiedziałem ci, że fotografuję dla „National Geographic” motyle. Pałac Motyli to coś niezwykłego.

O jego istnieniu wiedzą tylko nieliczni. To piękne i inspirujące miejsce. Chciałbym, żebyś tam ze mną poszła w sobotę. Potem pojedziemy do mojego domu w Sebastopolu. Zrobię obiad.

Kiwam głową.

– Świetnie.

– Przyjadę po ciebie w sobotę w południe.

Waham się chwilę, patrząc na światło lśniące w jego włosach. Chcę mu podziękować, że zawsze mi pomagał, zawsze mnie wysłuchiwał. Potem idę na górę.

W sobotnie popołudnie, zimne i wietrzne, jadę z Ryanem do Parku Motyli przy Stinson Beach. Niebo jest ciemnosine, ani śladu słońca. Małe chmurki jak kłębki waty tkwią w miejscu, nie przesuając się ani odrobinę. Po drodze Ryan opowiada mi z ożywieniem o migracjach motyli monarchów, o tym, że lubią chłód. Dużo o nich wie – o ich pochodzeniu i nawykach. Uwielbia fotografować ptaki i naturę.

Jego furgonetka jedzie z turkotem wąską piaszczystą drogą, mijając akry róż najróżniejszych rozmiarów, kształtów i odcieni. Zatrzymuje się w lesie przypominającym ogród. W głębi stoi strzelisty pałac ze szklaną kopułą i wysokimi łukami. Widać za nim wzgórze i pochmurne niebo. Z oddali dobiega bicie dzwonów.

– Budynek znajduje się na tyłach klasztoru – wyjaśnia Ryan szeptem.

– Jak tu spokojnie... – zauważam, idąc z nim pod rękę stromą, wąską ścieżką.

– W środku zachowuj się bardzo cicho. Nie dotykaj motyli. Same przylecą do ciebie.

Wchodzimy do sali ze sklepieniem klasztornym i szklanymi ścianami. Widok tysięcy wielkich motyli zapiera mi dech. Niektóre siedzą na ścianach, inne furkoczą pod sufitem. Ich skrzydełka są różnobarwne i wzorzyste, czasem tak bardzo jak lampy Tiffany'ego. Jeśli natura stworzyła coś tak wyrafinowanego, jeśli potrafiła tak doskonale dobrać kolory i wzory, to znaczy, że naprawdę istnieje jakaś boska siła.

Kiedy idę przed siebie, motyle obsiadają mnie całą, nawet

buty. Wyciągam ręce – przylatują do mnie kolejne, nieopisane piękne.

Ryan klęczy i robi dziesiątki zdjęć. Jego wrażliwa twarz o mocnych rysach wyraża najwyższe uniesienie. Motyle przysiadają mu na głowie, ramionach i aparacie fotograficznym.

Nie jestem osobą religijną, nie należę do żadnego konkretnego wyznania, jednak wierzę w siłę wyższą, rządzącą wszechświatem, i w tej chwili przepelnia mnie wiara, jaką niesie ze sobą miłość. Patrząc na motyla na mojej dłoni, podziwiając jego misterne piękno i spokój, czuję, że coś się we mnie zmieniło, coś bardzo mi drogiego. Jakby nagle zapaliło się we mnie światło. Ogarnia mnie uniesienie – zachwyty tajemnicami życia, pięknymi chwilami, poczuciem wolności.

Wychodzimy, gdy mrok już gęstnieje, a wczesny zmierzch pochłania resztki światła. Jedziemy do Sebastopola. To był piękny dzień, ale po drodze zaczynam mieć wątpliwości, czy wyprawa do domu Ryana to rzeczywiście dobry pomysł. Milczymy, ciszę mąci tylko chrzęst żwiru pod kołami – jest to taka cisza, jaka zapada po wspólnym oglądaniu zachodu słońca, nagłego deszczu czy szybkiego nadejścia nocy – pewnego rodzaju metamorfozy. Jestem pewna, że nigdy nie zapomnę dotyku motyli muskających moją skórę, wyrazu ich malutkich oczu, nagłego trzepotu wspaniałych skrzydeł. Przeżyliśmy coś pięknego, zrodzonego z tajemnic natury.

Ryan zatrzymuje furgonetkę i otwiera wysoką bramę. Jedziemy dalej, aż docieramy do małego drewnianego domku stojącego na trawniku między magnoliami, wiciokrzewem i różami. Zerwał się silny wiatr i drzewa się kołyszą. Jak tu spokojnie... Wszystko – kwiaty, drzewa – wygląda na zadbane. Czuć tu duszę Ryana.

– Anny, jest zimno. Wejźmy do środka.

Biały drewniany dom wygląda przytulnie. Stoją tu wygodne drewniane fotele i miękkie kolorowe sofy, które Ryan kupił na pchlim targu i odnowił. Przy wysokim kamiennym kominku stoi koszyk ze świeżo porąbanym drewnem, a obok drugi z żołądziami, suchymi liśćmi i niezwykłymi kamykami, które znalazł na plaży.

W tej skromnej kolekcji darów natury dostrzegam jego ciekawą świata, artystyczną duszę. Ten dom żyje; na krzesłach i stołach leżą otwarte książki, skromne pokoje ozdabiają pamiątki z podróży. Na ścianach wiszą zdjęcia, które Ryan zrobił znajomym artystom z różnych części świata.

– Mogłabyś przyjeżdżać tu z laptopem i pisać – mówi Ryan, wrzucając drwa do ognia. – Albo malować. Znajdziesz tu spokój.

– Może kiedyś kupię domek nad morzem. Mój własny.

– Na pewno.

Siedzimy na trawniku przed domem, pijemy kawę, jemy francuski chleb i ser, który Ryan kupił po drodze w wiejskiej mleczarni, i rozmawiamy o wszystkim, począwszy od latynoskiej muzyki, którą oboje kochamy, po niedawne wernisaże w mieście. Czasami mówimy coś jednocześnie. Ryan trzyma nikona i co jakiś czas fotografuje mnie zniecacka. Mówi o Irlandii – pięknie łąk, zamków, ludzi. „Ten kraj nie przypomina żadnego innego, Anny”.

– Chciałabym zobaczyć, gdzie James Joyce pisał swoje książki.

– Więc pojedź tam ze mną na wiosnę. Zamieszkamy w starym zamku nad morzem.

Popijam kawę, podziwiając kompozycję chmur, które ciemnieją i zaczynają się powoli przemieszczać.

– Bądź z kimś, kto chce ci poświęcić swój czas.

– Ryan, ja...

– Nie proszę cię o rękę. Będziemy razem tworzyć i nawzajem się inspirować.

Milczymy przez chwilę. Na drzewo wbiega wiewiórka.

– „Musisz nauczyć się chodzić po ziemi, zanim zaczniesz spacerować po linie”. To słowa Matisse’a. Mam sześćdziesiąt sześć lat i dopiero uczę się twardo stąpać po ziemi.

– Wiek nie ma znaczenia. To od ciebie zależy, kim jesteś na różnych etapach swojego życia.

– Masz tylko pięćdziesiąt pięć lat. Łatwo ci mówić.

Ryan uśmiecha się; na jego palcu siada biedronka.

– Patrz, Anny. Szczęście do nas przyleciało.

Biedronka przechodzi na moją rękę. Przez chwilę trzymam ją, myśląc o tym, że jest przepiękna. Potem owad rusza szybszym krokiem, usiłując znaleźć drogę ucieczki. Opuszczam go na trawę.

– Pozwól, że zrobię ci parę zdjęć. Nie układaj włosów, nie strój min, podobasz mi się taka jak teraz – naturalna, rozbawiona... O tak, uśmiechaj się.

Dzień wkrótce zmienia się w wieczór.

Nieco później siedzę w dużej kuchni przy długim stole, który Ryan sam zrobił z sekwojowego drewna. W tle słychać grającego Milesa Davisa. Oboje kochamy jazz. Ryan stoi przy kuchence i kroi pomidory na sos do makaronu z krewetkami, jednocześnie opowiadając historyjki ze swojej młodości. Wychował się na irlandzkiej wsi, w rodzinie hodowców ziemniaków. Jako dwunastolatek pojechał do Stanów i zamieszkał z rodzicami w Los Angeles. Przez całe studia na UCLA, gdzie skończył projektowanie krajobrazu i fotografię, pracował. Potem zrobił dyplom w Chicago Art Institute.

– Nigdy nie mówisz o swojej żonie – mówię, zauważając, że nagle pochmurnieje.

– Sarah była wspaniała. Zachorowała na raka i zmarła, mając dwadzieścia osiem lat. Ale otrząsnąłem się z rozpacz. Musiałem – mówi Ryan ze smutkiem w oczach. – Porozmawiajmy lepiej o tym cudownym wspólnym dniu.

– Myślisz, że to przeszłość nas kształtuje? Czy możemy się stać inni, czy zawsze musimy popełniać te same błędy?

Ryan wzrusza ramionami.

– Przeszłość to wspaniały punkt odniesienia. Nasze życie jest jak film. Oglądamy go, przekonujemy się, co działa, a co nie. No, nieważne. Zapraszam do stołu.

Po obiedzie zjedzonym w ciepłej kuchni siadamy na poduszkach przy kominku, pijąc grzaną brandy. Ryan puszcza cygańską muzykę i przez chwilę milczymy, rozkoszując się zmysłowymi dźwiękami.

– Nigdy nie zapomnę twojej miny w Pałacu Motyli – mówi Ryan, czule odgarniając mi z oczu kosmyk włosów.

Wiatr łomocze w szyby. W oddali rozlega się grzmot.

– Pięknie tu – mówię, opierając się o jego ramię.

– Ty jesteś piękna – szepcze Ryan.

Bierze mnie w ramiona i całuje. Początkowo opieram się, waham, ale on nie ustępuje, a potem oddaję pocałunek, długi i czuły, i wkrótce zaczynamy się całować jak napalone nastolatki. W końcu się cofam.

– Nie powinnam... Nie możemy...

– Za późno, Anny. Musimy.

Czuję podniecenie, cieszę się jego namiętnością, uczuciem, jakie we mnie budzi. Ryan całuje powoli, czule, spokojnie, dotykając mnie delikatnie, tak jak dotyka swoich róż i motyli.

Potem bierze mnie za rękę, a ja bez oporów idę za nim do sypialni.

W pokoju jest ciemno, jedynie światło księżycyca oświetla zwyczajne podwójne łóżko. Kładę się. Nie czuję wstydu, tylko pewność siebie i seksualne ożywienie. Ciało Ryana jest twarde i młode. Przez chwilę leżymy nieruchomo, światło srebrzy nasze nagie ciała. Jest cicho, słychać tylko szum wiatru. Nagle ogarnia mnie lęk – to samo uczucie miałam w dzieciństwie, kiedy znalazłam się w zakazanym miejscu.

Zaczynamy się kochać – w milczeniu, czule. Jest cudownie.

Potem leżymy spleceni ramionami.

– Szkoda, że nie palimy – odzywam się, żeby rozładować nagłe napięcie. – To ten moment, kiedy papierosy uzasadniałyby nasze milczenie.

– Anny, było cudownie.

– Tak.

Ryan długo mnie całuje. Potem układamy się do snu. On mocno mnie przytula. Wkrótce zaczyna lekko pochrapywać. A ja nie mogę spać. Czuję się niezręcznie, nie na swoim miejscu. Nagle robi mi się smutno. Przypominam sobie, jak się czułam, kiedy Marv obejmował mnie przez sen, jak pachniał, jak spał cicho niczym dziecko. Delikatnie uwalniam się z objęć Ryana i odsuwam na brzeg łóżka. Leżę bezsennie aż do świtu.

Następnego ranka budzi mnie słoneczny blask. Ryan jest na dole, robi śniadanie. Przeciagam się, trochę przestraszona. Spieszy mi się, żeby już wrócić do domu. Teraz wiem, że źle postąpiłam. Nie jestem gotowa na nowy związek i nie powinnam budzić w Ryane złudnej nadziei. Nie czuję też takiej samej namiętności jak z Marvem. Już rozumiem, że Marv przeżywał to samo co ja, kiedy w pośpiechu odwoził mnie do domu.

Szybko kąpię się, ubieram i schodzę. Ryan – bez koszuli, w dżinsach – robi omlety i kawę. Przytula mnie.

– Dzień dobry, kochanie. Masz ochotę na śniadanie? Ściąłem dla ciebie kilka lawendowych róż. Pamiętaj, skróć łodygi pod wodą, zanim włożysz je do flakonu.

– Dziękuję, są piękne.

Przy śniadaniu rozmawiamy o ogrodzie Ryana i jego planach remontu domu.

– Mógłbym zbudować ci atelier przy różach. To idealne miejsce na malowanie.

– Zamierzam kupić własny domek na wsi.

– Chcę ci pokazać parę zdjęć. – Ryan otwiera podłużną kopertę i ostrożnie układa na stole czarno-białe fotografie jastrzębi w locie. Przedstawił je w niezwykły sposób – jakby zamglone, z ogromnymi skrzydłami zagubionymi w ruchomych chmurach.

– Nie wiedziałam, że te ptaki są takie piękne – mówię z podziwem. – Takie majestatyczne...

– Jastrzębie potrafią zawisnąć bez ruchu w powietrzu. – Oczy Ryana się rozświetlają. – Unoszą się na silnych prądach powietrznych. Zorganizuję wernisaż tych zdjęć w galerii w Nowym Jorku – dodaje, chowając fotografie do koperty.

Jem w milczeniu.

– Zostań ze mną na weekend.

– Ryan, proszę cię. Ta noc była piękna, ale to nie to, o czym myślisz.

– Chodzi o Marva? – pyta. W jego oczach widzę ból.

– Nie. Czuję się okropnie. Bardzo cię lubię, ale nie chcę od ciebie nic więcej, nie potrafię.

Zdruzgotany Ryan wstaje i idzie do zlewu, żeby opłukać talerze.

– Myślałem, że dziś obejrzymy wioskę.

– Przestań. Nie jesteśmy parą. Nie możemy. Przepraszam.

– Ale wczoraj...

– Zapomnij o tym. Nie powinno było do tego dojść – mówię, zaskoczona własnym okrucieństwem.

– Rozumiem.

Trudno mi patrzeć na jego cierpienie.

– Nie rozumiesz. Na razie nie jestem gotowa na żaden związek. Mam swoją pracę. Muszę zająć się sobą, swoimi relacjami z Emily. Nie chciałam cię skrzywdzić.

Ryan wygładza smukłymi palcami artysty kopertę ze zdjęciami. Ciężko mi na duszy. Wiem, że go zraniłam, i doskonale zdaję sobie sprawę, co czuje. Mam także świadomość, że pora rozwiązać sytuację z Marvem.

Ryan wstaje.

– Anny, przez jakiś czas nie chcę się z tobą widywać. Ufałem ci, a ty złamałaś mi serce. Odwiozę cię do domu.



## ROZDZIAŁ 29

– Przeglądałam twoje slajdy – mówi moja agentka Inga przez telefon. – Bardzo mi się podobają. Proponuję ci indywidualną wystawę w lutym. Jesteś gotowa?

– No pewnie! Cudownie, dziękuję. Pracowałam trzy lata nad tymi obrazami i pudełkami.

– Szczególnie interesujące są obrazy kobiet w kapeluszach. Kreska bliska de Kooningowi.

– O rany...

Inga oznajmia, że popracuje nad zaproszeniami, i prosi, żebym przysłała jej listę mailingową. Jej furgonetka odwiezie moje obrazy do galerii.

Rozłączam się i przez chwilę siedzę przy oknie. Rozpiera mnie duma. Myślę o tych wszystkich latach, kiedy marzyłam o własnej wystawie. Tak, wszystko jest możliwe. W każdym wieku. Trzeba tylko wierzyć w siebie i ciężko pracować.

Zbliżają się święta. Na moim szklanym stoliku stoi mała choinka. Ozdobiłam ją sznurami plastikowych perełek i srebrnymi dzwoneczkami. Na czubku lśni gwiazda. Ryan nie odzywał się od tamtej nocy w Sebastopolu. Jest mi smutno, ale życzę mu szczęścia. I strasznie za nim tęsknię.

W Boże Narodzenie jadę szybką koleją do Berkeley. Emily i Harry zaprosili na kolację niektórych krewnych, przyjaciół i sąsiadów. Wagon się kołysze, a ja trzymam kurczowo torbę ze szpinakowymi kluskami, zapiekanką z serem i prezentami. Kiedy wjeżdżamy w tunel, wstrzymuję oddech i modlę się, żeby pociąg nie utknął pod wodą. Siedzący obok mnie grubas o długich, rzadkich włosach i nieświeżym oddechu ciągle gada o takim przypadku, kiedy ludzie zostali uwięzieni w wagonie na całe godziny.

Na stacji Berkeley zbiegam długimi schodami do wyjścia, gdzie czekają na mnie w SUV-ie Harry i Fred. Harry jest ubrany w sweter ze Świętym Mikołajem. Czarne włosy ma nastroszone.

– Babcia przyjechała! – wołam, wsiadając do samochodu i całując Freda.

Harry rusza, opowiadając mi, że Emily od kilku dni piecze i gotuje, przygotowując się do tej kolacji.

– Jest niesamowita – mówię.

Fred liże wierzch zapiekanki.

– Martwi się o ciebie – odpowiada Harry. – Lubimy Ryana.

– Ja też. Przyjaźnię się z nim – oznajmiam.

– Bez urazy, ale powiedziałaś Emily, że zostałam na noc w Sebastopolu.

– To jeszcze nie znaczy...

– Dla niej znaczy! Nie opowiadaj jej tyle. Potem się martwimy.

– Więc się nie martwcie. Mam się dobrze. Jestem szczęśliwa. Radzę sobie.

– Może powinnaś wejść na eHarmony. W telewizji puszczają reklamy o tych seniorach, którzy się w sobie zakochują. Wyglądają na szczęśliwych.

– Raczej na ofiary lobotomii! – warczę. – Miłości nie dostaje się po złożeniu CV. Miłość przychodzi, kiedy chce.

W końcu przybywamy do pięknego, zaprojektowanego przez Harry'ego domu ze stali i szkła, z pokojami o wysokości dziesięciu metrów i betonowymi podłogami oraz wbudowanymi w ściany biblioteczkami na dwie kondygnacje. Budynek stojący na środku dziedzińca otoczonego japońskimi klonami robi wrażenie małego szklanego kościółka.

Emily w czerwonej tunice, legginsach i czerwonych szpilkach ściska mnie serdecznie. Idę za nią do otwartej kuchni.

– Wspaniała zapiekanka, mamó – mówi moja córka, biorąc ode mnie formę. Na długim blacie z białego marmuru stoi gigantyczny indyk na półmisku, a także najróżniejsze pasztety, dania ze słodkich ziemniaków, sery i sałatki. Wszystko jest schludne, piękne, idealne. Długi szklany stół w jadalni jest przykryty złotym obrusem. Zdobia go białe róże w kanciastych szklanych wazonach, a środek stołu – pomalowane na złoto szyszki.

– Mamó, pobaw się z Fredem. Pilnuj, żeby zawsze miał

swoją zabawkę. Dostaje świra, gdy mu ginie. To ta żółta kaczuszka. I uważaj na schodach. Jeszcze tego brakuje, żebyś spadła. Harry mówi, że nie patrzysz pod nogi.

– Jeszcze tego brakuje, żebyś spadła – powtarza za nią Harry. Stoi przy barku i ustawia butelki z alkoholem.

– Harry, ona niedowidzi! – krzyczy Emily.

Kiedy moja córka kończy zastawiać stół, siadam na podłodze i bawię się z Fredem w „przynies kaczuszkę” aż do przyjścia gości. Krewni, sąsiedzi i przyjaciele wręczają gospodarzom podarunki i własne dania, Harry robi drinki. Moja ciocia Zoë, która ma osiemdziesiąt lat i zjawiała się w diademie ze sztucznych brylancików osadzonym na natapirowanych jasnobrązowych włosach, popija wódkę i mówi, że „uderza w gaz”. Wszyscy piją, skubiąc krabowe ciastka z dipem. Ryczą świąteczne piosenki, ja tańczę twista w rytm *Jingle Bells* z sąsiadem Andym, który ma wielkiego irokeza i podkoszulek z Rolling Stonesami. Inni sąsiedzi, pracownicy Harry’ego, także ruszają w tany.

– O Boże, indyk! – krzyczy Emily. – Fred zeżarł indyka!

Biedny Fred pochłania swoją zdobycz, kryjąc się pod stołem, a moja córka zawodzi, że zepsuł jej przyjęcie. Harry wyrывa szczytki ptaka z pyska psa, ja zaś zapewniam Emily, że nie znoszę indyka, a poza tym i tak jedzenia jest za dużo.

– Nikt się tym nie przejmie – podkreślam.

– Niedobry pies! – krzyczy Harry. Surowym ojcowskim tonem poucza biednego Freda, że indyk „kosztował fortunę”, a teraz przepadł.

W końcu przyjęcie się zaczyna. Wszyscy pochłaniają zapiekanki i domowe placki.

– Co wy, goje?! – krzyczy ciocia Zoë. – Świeczki, choinki, szynka?! Oj!

– Mamo, proszę – rzuca ostrzegawczo jej córka, moja kuzynka Marcia.

– Kochamy Boże Narodzenie – oznajmiam. – Interesuje mnie o wiele bardziej od judaizmu.

– Sziksa – mamrocze ciocia Zoë, napychając się plackiem

dyniowym.

– Pora na prezenty! – woła Emily, po czym zaczyna odczytywać imiona z karteczek wrzuconych do kapelusza. Wszyscy zajmują się otwieraniem podarunków i przekrzykiwaniem się, podczas gdy Fred rozdziera papier. Zauważam parę prezentów przechodnich. Mnie przypadają trzy słoiki zeszłorocznego dżemu, ohydny dziergany szal od kuzynki i jeszcze brzydszy sweter z kołnierzem ze sztucznego futerka od drugiej kuzynki Boo Boo. Dostaję też mikrofalówkę i subskrypcję AARP od Emily i Harry’ego. Z trudem symuluję radość.

– Teraz możesz zacząć żyć jak normalny człowiek. Prześtań podgrzewać jedzenie na kuchence jak jakaś bezdomna – radzi Emily.

– I w piekarniku – dodaje Harry z politowaniem.

– W mikrofalach możesz nawet piec ziemniaki.

Kiedy wieczór dobiega końca, krewni, sąsiedzi i przyjaciele stają w kolejce, a Emily rozdaje im pudełka z jedzeniem, które zostało. Fred pożera część zapiekanki zawleczonej przez niego pod stół.

Sprzątam z Emily kuchnię, po czym idę do pokoju gościnnego, gdzie przebieram się w nową piżamę z czerwonej flaneli i osuwam się na łóżko w japońskim stylu, tak niskie, że muszę się bardzo pochylić, żeby się na nim położyć. Fred leży obok mnie z kaczuszką pod łapą.

– Kupiłam ci wentylator – mówi Emily, wchodząc. – Wiem, że bez niego nie zaśniesz.

Ma na sobie wielki czerwony kudłaty szlafrok ode mnie. Czarne jedwabiste włosy sięgają jej do pasa. Stawia wiatrak na nocnej szafce przy łóżku i go włącza.

– Świetnie. Teraz już mi nic nie brakuje.

– A Harry pojechał do Longs i kupił ci twoje ulubione wiśniowe pastylki od kaszlu. Leżą w szufladzie szafki.

– Miło z jego strony.

Córka przygląda mi się przez chwilę.

– Mamo, Ryan cię kocha i jest cudownym, interesującym

mężczyzną. Wyjdź za niego, zanim będzie za późno. Marv wyznał ci miłość tylko dlatego, że stał nad grobem i nie mógł już brać viagry.

– Nie widuję się z Marvem. Daj mi spokój, nie chcę znowu wychodzić za mąż.

– Czemu?! – krzyczy Emily, czerwieniejąc. – Wolisz sterczeć w atelier, pisząc i gadając nocami przez telefon ze swoimi koleżankami? Musisz o tym pomówić z terapeutką.

– Ty też nie jesteś mężatką – ośmielam się powiedzieć.

– Ale ty jesteś stara. Nie chcę, żebyś została sama.

Emily stoi przy łóżku, patrząc na mnie, jakby czekała na jakąś cudowną przemianę. Gryzę się w język, żeby nie powiedzieć, że to ona powinna wyjść za mąż. Na co czeka? Potem córka całuje mnie na dobranoc i otula kocem.

– Dobranoc, mamó. Kocham cię.

– A ja ciebie.

– Harry cię jutro odwiezie. Nie chcemy, żebyś jechała kolejką. Nie widzisz dobrze i mogłabyś upaść. Jeszcze tego brakuje, żebyś złamała biodro.

Znowu się całujemy, a Emily idzie na górę.

Przez jakiś czas słucham pochrapywania Freda. Czuję wdzięczność za to, że mam Emily, Harry'ego, Freda, moje życie.

## ROZDZIAŁ 30

Jestem w domu i piszę *Starość i złość* – tekst o gniewie społeczeństwa na starszych ludzi. Z zamyślenia wyrywa mnie dzwoniąca komórka. Dzwoni i dzwoni, a ja biegam po mieszkaniu i nigdzie nie mogę jej znaleźć. Ani w szafie, ani w kieszeni żakietu, ani pod kanapą. „Gdzie ja ją posiałam? Czy teraz częściej zapominam różnych rzeczy? Kluczy? Karty do bankomatu? PIN-u?”.

Podążam za cichym sygnałem. Dobiega z okolic łóżka, ale nie spod niego. Obmacuję narzutę jak przestępcę podczas rewizji osobistej. Mam!

– Halo?

– Mamo?

– Czemu płaczesz? Boże, co się stało?

– Jestem zaręczona!

Zapiera mi dech. Emily opowiada ze szczegółami, jak poszła z Harrym świętować szóstą rocznicę ich związku w Trader Vic’s w Emeryville. Kiedy rozłamała chińskie ciasteczko, znalazła w środku karteczkę z napisem: „Wyjdiesz za mnie?”.

– Jak romantycznie... – zachwycam się zdławionym głosem.

– To Harry kazał takie zrobić. Ludzie w restauracji zaczęli bić brawo i wykrzykiwać gratulacje. Dobrze, mamo, przestań już płakać. Harry twierdzi, że reagujesz zbyt emocjonalnie.

– Nic na to nie poradzę. Jestem bardzo szczęśliwa.

– Chcemy skromnego ślubu, tylko najbliższa rodzina – może w Lake Tahoe, żebyśmy mogli zabrać Freda. Pobierzemy się w walentynki.

– Cudownie. – Z ulgą przyjmuję wiadomość, że nie chcą wystawnego przyjęcia.

Emily milczy przez chwilę.

– Mamo, jesteś w wannie?

– Nie!

– Harry twierdzi, że masz zły nawyk rozmawiania przez komórkę w kąpielni. Jego dziewięćdziesięcioletnia ciocia Rose zginęła od porażenia prądem. Spaliła się na popiół.

– Emily... – jęczę.

– Mamo, muszę podzwonić do innych. Odezwę się później. Jestem strasznie szczęśliwa! Chcę, żebyś była przy mnie na wszystkich etapach przygotowań.

Trzy tygodnie później idziemy po suknię ślubną. Emily stoi na drewnianym podeście przed potrójnym lustrem i mierzy kolejne kreacje. Od czasu oświadczeń Harry’ego spędzamy ze sobą więcej czasu niż kiedykolwiek. Godzinami wybierałyśmy kwiaty na stół, kartki z podziękowaniami, księgi, w których goście mają się wpisywać, a potem w końcu sałatki, bajgle i wędzonego łososa na śniadanie po ślubie. Przez pół dnia wraz z Emily i Harrym zamawialiśmy w Macy’s zastawę – i doskonale się przy tym bawiłam. Oboje są perfekcjonistami, więc godzinami roztrząsali, czy wolą kwadratowe, czy okrągłe talerze, jakiego koloru ma być pościel, jak duże ręczniki.

Łzy cisną mi się do oczu, kiedy siedzę z trzema przyjaciółkami Emily i zachwycamy się każdą kolejną suknią. Przypominam sobie, jak sama przymierzałam w Saksie suknię na własny ślub – taką w stylu Audrey Hepburn, z jedwabnej tafty. Marzyłam wtedy o pozbyciu się dziewictwa. Matka chwaliła się sprzedawczyni, że udało mi się „złović niezłą partię”, a ja cieszyłam się, że sprawiłam mamie przyjemność i że mogę spędzać z nią długie godziny, przymierzając suknie, które nazywała moją wyprawą. Dla niej małżeństwo było wszystkim – kwintesencją roli kobiety, jej „statusu życiowego”, jak mawiała.

– Halo, jesteś tu? – Emily strzela palcami. – Mamo, to chyba ta sukienka. Co sądzisz?

– Jaka elegancka... – Kremowy jedwabny atłas i gorset podkreślają kobiecą figurę mojej córki, a spódnica faluje przy każdym jej kroku.

– Wyglądam grubo – wyrokuje Emily, stając bokiem. – Zaczęłam tyć.

Z oczu płyną mi łzy.

– Och, mamo! – woła Emily ze śmiechem. – Przestań! Aż tak źle nie wyglądam, prawda?

– Wyglądasz jak księżniczka.

Potem przez całe popołudnie szukamy sukienki dla matki panny młodej. Nie mam za dużo pieniędzy do wydania, ale przymierzam dziesiątki strojów. Nie znajduję jednak nic, co by mi się spodobało. W końcu idziemy do Loehmann's.

Sklep o trzech kondygnacjach jest ogromny, pełen kreacji od najbardziej znanych projektantów. Na jednym piętrze znajdują się same buty i torebki. Już bardzo dawno nie robiłam takich zakupów. Ogarnia mnie prawdziwe podniecenie. Razem z Emily zdzieramy suknie z wieszaków i biegniemy do wspólnej przebieralni, gdzie wieszamy nasze łupy na haczykach. Pomieszczenie pełne półnagich kobiet mierzących ubrania śmierdzi potem i tanimi perfumami. Wkładam parę sukienek, aż wreszcie znajduję taką, w której chcę wystąpić – krótką, prostą, z czarnego szyfonu z długimi rękawami i głębokim kwadratowym dekoltem.

– Będą do niej świetnie pasować perły babuni – mówię, obracając się przed lustrem.

– Wyglądasz seksownie – oznajmia zadowolona Emily z uśmiechem. – Podoba mi się.

– I cena też dobra.

Na obiad idziemy do Mama's, ulubionej restauracji Emily. Jemy kanapki i pijemy dietetyczną colę. Nie wytrzymuję i pytam, czy Emily i Harry planują dzieci.

– Nie chcę się wtrącać, ale jestem ciekawa...

– Nie wiem, mamo. Boję się ciąży. – Dziewczęco radosna twarz mojej córki poważnieje.

– Emily, przepraszam, że nie towarzyszyłam ci w czasach twojego dzieciństwa. Ale to nie znaczy, że będziesz złą matką. Wybacz mi. Nie chciałam...

Moja córka bierze mnie za rękę. W jej czarnych oczach pojawiają się łzy.

– Mamo, nie prasowałaś mi ubrań, nie piekłaś ciasteczek, nie robiłaś obiadów... i tak, moje kanapki na lunch wkładałaś do zamrażarki, więc całkiem rozmiękały w pudełku, w którym je nosiłam do szkoły. Ale w Halloween przebierałaś się za



czarownicę i bawiłaś się ze mną. Nauczyłaś mnie malować palcami. Byłaś fantastyczną mamą.

Wracamy do jedzenia. Przez chwilę nie rozmawiamy. Z roztkliwieniem myślę, że chciałabym się cofnąć w czasie i jeszcze raz wychowywać Emily, nie będąc tą obojętną, zagniewaną kobietą, która zaniedbuje swoje cudowne dziecko. Ale oddanie i miłość Emily to skarb i nie chcę psuć mojej córce tego dnia swoimi nagłymi humorami, więc po obiedzie pędzimy przejęte do sklepu z butami.

## ROZDZIAŁ 31

Pisanie, malowanie i przygotowania do ślubu sprawiają, że mam pełne ręce roboty. Napisałam do Ryana maila, że Emily i Harry się pobierają. Przez lata zwierzałam mu się z obaw, czy Harry kiedykolwiek oświadczy się mojej córce. Ryan odpisał, że bardzo się cieszy i chce im wysłać prezent. Poprosił mnie o ich adres.

W środku tego młyna dzwoni Monica. Mówi, że ta hollywoodzka agentka, Melissa Powell, znalazła producenta, który chce zekranizować moje felietony o Panu X. Monica długo z nią rozmawiała.

– Pogadaj z nią. Zadzwoń do ciebie. Wysłuchaj jej – radzi mi przez telefon. – Kto wie? Film mógłby bardzo pomóc gazecie.

– Dobrze. Czemu nie?

I parę minut później dzwoni Melissa. Mówi szybko, po nowojorsku, z lekkim akcentem z Bronksu. Zaczyna od tego, że uwielbia felietony o Panu X i że sama zna takiego.

– Mohammed ma pięćdziesiąt parę lat i uważa, że wystarczy mi dać podróbkę roleksa, a już jestem jego własnością. Nie potrafię go wybić sobie z głowy.

Śmieję się.

– W każdym razie od jakiegoś czasu molestuję Monikę. Uwielbiam twoje teksty o starszych ludziach i uwieeeeelbiam Pana X. Chcę go zobaczyć na ekranie.

Czekam na dalszy ciąg.

– Zainteresowałam tym projektem ważnego producenta filmowego. Bruce Samson to wielka szycha – i dodaje, zniżając głos: – wiiiiieelka. Ma pieniądze i możliwości, żeby to wszystko nakręcić. Fiuty – mówi jakby do siebie. – Wszyscy oni to fiuty. Ale on uwieeeeelbia ten projekt.

– Aha. Brzmi ciekawie.

Melissa wzdycha. W tle słyszę dzwonki telefonów.

– Ale nie uda mu się sprzedać żadnej wytwórni historii o sześćdziesięciolatce.

– To po co wam mój projekt? – rzucam z rozdrażnieniem.

– Bo uwielbiamy relację Pana X z narratorką. Gdyby nie miała sześćdziesięciu pięciu lat... Możemy z niej zrobić pięćdziesięcioośmiolatkę?

– Plastikową babę z przedłużanymi włosami? Nie, to niestety niemożliwe. Ten świat i tak wystarczająco lekceważy starszych ludzi, nie trzeba mu jeszcze pomagać, przerabiając autentyczne teksty.

Melissa wzdycha.

– Rozumiem twój punkt widzenia. Sama mam czterdzieści siedem lat i już mi wspominają o emeryturze. Ale pozwól, że porozmawiam z producentem. Zobaczę, co się da zrobić.

– Jasne. Świetnie.

– Odezwę się jeszcze, obiecuję. Chcę, żeby tekst trafił we właściwe ręce. Te problemy mają prawdziwą wagę.

– Cudownie.

– Wytwórnice się boją. Czekały dziesiątki lat, żeby zrobić *To skomplikowane*, i mimo to twórcy nie poszli na całość. Pan X to klasyka: wymyka się, boi się starości, kocha bohaterkę, lecz ją lekceważy, ponieważ uważa ją za zbyt starą.

– Aha – mamroczę, uświadamiając sobie, że tak właśnie było. – Hm, porozmawiam z Monicą. Muszę się nad tym zastanowić. Prawdziwy Pan X jest teraz chory i mógłby się bardzo zdenerwować, dlatego chciałabym mieć twórczą kontrolę nad projektem...

– Kochanie, kogo to obchodzi? – warczy Melissa. – Czy on by się tak przejmował tobą? Anny, wytwórnice chcą dwudziestolatek. To i tak trudne zadanie, więc go nie komplikuj.

– Albo zrobimy to po mojemu, albo wcale.

– Muszę lecieć, ale się odezwę. *Ciao, ciao...*

Tego popołudnia zjawia się Emily z pudełkiem kartek od zaproszonych na ślub gości. Robię brzoskwiniową herbatę, a ona cienkim nożem wyklada na talerz świeżo upieczone ciasto cytrynowe.

Oddzielamy kartki z potwierdzeniem obecności od tych z odmową. Moja córka promienieje, włosy spływają jej do pasa, a w

oczach pojawił się ten blask, który w nich widziałam w dniu, kiedy wygrała nagrodę jeździecką za skoki przez przeszkody. Starannie, żółtym zakreślaczem rozplanowuje rozmieszczenie gości w restauracji. Kiedy wyjaśnia mi, kto jest kim spośród krewnych Harry'ego, przypominam sobie minione tygodnie, które spędziłyśmy na planowaniu ślubu.

Uparłam się, że to ja za niego zapłacę, dlatego przyjęcie w restauracji Trader Vic's, gdzie Emily i Harry się zaręczyli, ma być skromne. Ślub odbędzie się na tarasie, po nim zaś będzie obiad. Z wielką przyjemnością szukałam wraz z Emily odpowiedniego tortu. Chodziłyśmy do cukierni, kosztowałyśmy próbki, aż w końcu Emily zdecydowała się na Schubert's Bakery, najstarszą cukiernię w San Francisco, słynącą z prawdziwej bitej śmietany i truskawkowego kruchego ciasta. Zamówiłyśmy truskawkowy tort z czternastu warstw, ozdobiony różowymi różami – ulubionymi kwiatami mojej córki.

– Więc, mamo, na razie sto dziesięć osób.

– Rany.

– Zjawią się wszyscy krewni Harry'ego z Nowego Jorku i Jersey.

– Świetnie.

– Oczywiście ojciec przysłał zawiadomienie, że nie może przyjechać. – Emily zagryza wargę. – To pewnie przez Conchitę. Ta kobieta strasznie się boi, że mogłabym dostać od niego z dziesięć centów.

– Emily, wiem, że on cię kocha. Nie zamartwiaj się tym w tej chwili. Jego strata.

– Mamo, poprosiłam Megan, żeby nas uczesała w hotelu tuż przed ślubem.

– Jasne. Doskonale.

– Twoje włosy wymagają przycięcia.

– Lubię długie.

Obie się śmiejemy.

– Wspaniała jesteś, mamo. Chcę tylko, żebyś była...

– Szczęśliwa – kończę. – Cieszę się twoim szczęściem.

– Mamo, o rety. Fajnie jest, nie?  
Padamy sobie w objęcia, a ja ściskam ją ze wszystkich sił.

## ROZDZIAŁ 32

W przeddzień ślubu przyjeżdżają krewni Harry'ego i goście spoza miasta. Wszyscy spotykamy się w holu hotelu, całujemy i szepczemy: „Teraz jesteśmy rodziną”, rozwodząc się nad tym, jakie to wielkie szczęście nas spotkało. Emily, promienna i cała w czerwieni, chwali się zaręczynowym pierścieniem z brylantem, a Harry w podkoszulku z logo Harvardu pokazuje zdjęcia Freda.

– To pies! – odzywa się ochryple ciocia Frieda. – Potrzeba wam dziecka, dzieci!

– Boże, dopomóż – dodaje ciocia Zoë, ubrana dziś w różowy garnitur. Rzadkie jasne włosy zczesła wysoko w koronę.

– I co w tym złego, że to pies? – mówi Joe, wujek Harry'ego.

Bardzo lubię rodziców Harry'ego. Lil jest energiczna i zabawna, drobniutka, z burzą gęstych ciemnych włosów z siwymi pasmami, orzechowymi, głęboko osadzonymi oczami i nosem, który odziedziczył po niej Harry. Aaron jest wysoki, wysportowany, ma szpakowatą czuprynę z wyraźnym dziobkiem nad czołem i przenikliwe brązowe oczy. Zjawił się w zielonych bojówkach i białych tenisówkach do kostek. Przechwala się – z wyraźnym nowojorskim akcentem – że chodzi dziennie piętnaście kilometrów. Snuje opowieści o drugiej wojnie światowej – jak został ranny i ocalił życie, udając martwego. Nosi czapkę z latarką – żeby widzieć w ciemnościach, jak mówi. W ogromnych kieszeniach trzyma drobiazgi, które znajduje na ulicach Nowego Jorku, a potem sprzedaje. Jest energiczny i przezabawny. Kiedyś występował w wodewilu. Naprawdę go lubię.

Po chwili wszyscy się rozchodzą na zakupy i do swoich spraw. Resztę popołudnia spędzam z Emily, wybierając kwiaty na ślub – bukiety różowych róż, które przenosimy do Trader Vic's – i upewniając się, że tort dotrze na czas. Pod wieczór wracamy do hotelu i przygotowujemy się do czekających nas uroczystości.

Restauracja jest ładna. Ciemno w niej, że ledwie coś widać, ale dosłownie unosi się na wodach zatoki. Cumujące tu łodzie rybackie są oświetlone i ich blask barwi wodę na pomarańczowo. Wokół stołów ustawionych w wielką podkowę siedzi

pięćdziesięcioro gości pijących i jedzących steki, ryby i makarony. Wszyscy gadają, nikt nie słucha. Zajmujący miejsce u szczytu stołu Emily i Harry, rozpromienieni, całują się jak wariaci. Aaron, wystrojony w ciemny garnitur, opowiada kolejne historie wojenne. Kuzyn Harry'ego, Seymour, relacjonuje bez końca swoje internetowe poszukiwania kobiety takiej jak Emily.

– Powodzenia – szepcze ciocia Zoë. – Kiedy miał dziesięć lat, upadł na głowę. To świr.

Doris, ciocia Harry'ego, wypła dużo wina i chrapie głośno.

– Przykryjcie ją kocem! – ryczy Aaron.

– Lil mówi, że piszesz felietony o lubieżnym siedemdziesięcioletnim handlarzu diamentów – zwraca się do mnie Blossom Cohn, kuzynka Harry'ego. Ma jasne włosy, nadmiernie opaloną twarz o ostrych rysach i biały sweter odsłaniający jedno ramię.

Informuje mnie, że jej mąż Noah – wskazuje na obleśnego, spalonego na solarium mężczyznę o białych włosach i zbyt białych zębach – jest producentem filmowym.

– A, świetnie – mówię.

– Jest ważny. To gruba ryba w Paramount. Liczy się. Przyślij mi swoje teksty. On z nich zrobi film.

Odwraca się, zanim mam okazję jej odmówić. Ciocia Belle, która ma sto jeden lat i czuje się doskonale, skarży się na posiłek.

– Jeszcze mi brakuje zatrucia pokarmowego. Kiedy ostatnio zjadłam krewetkę, wylądowałam w szpitalu z rurką w kuprze.

– Mamo, jedz. Nie gadaj – rzuca jej syn, niski jak karzeł mężczyzna zgarbiony nad talerzem.

– Maury zbankrutował – odzywa się chuda kobieta z ogromną rudą fryzurą. Ma Parkinsona i jest przywiązana do fotela.

– Co ci lekarze wiedzą – oznajmia Arnold, wujek Harry'ego. Opowiada mi, że jego syn Louis to geniusz z IQ 160. – Urodził się malutki. Lekarze byli gotowi spisać go na straty. A teraz proszę, ma metr osiemdziesiąt.

Nate, kolejny wujek Harry'ego, stuka łyżeczką o kieliszek. Wstaje.

– Mamy w rodzinie sławną felietonistkę. Oto nasza Anny Applebaum, autorka *Kronik viagry!*

– Boże, spraw, by zarobiła fortunę!

Oklaski.

– *Viva viagra!* – woła wujek Nate.

– W obecnych czasach robią takie cudowne rzeczy – dodaje ciocia Zoë.

Wracam do pokoju i przygotowuję się do snu. Potem bardzo długo leżę z otwartymi oczami. Jestem zbyt przejęta, żeby zasnąć. Jutro są walentynki. Mimo woli wspominam minione miesiące, kiedy czekałam na żalosalne telefony od Marva i zastanawiałam się, jak go usidlić. W porównaniu z moim obecnym szczęściem te krótkie chwile z Marvem wydają mi się blade, bez znaczenia. Zawsze sądziłam, że miłość mężczyzny da mi szczęście. A jednak w tej chwili – wiedząc, że moja córka jest szczęśliwa, a ja wykonuję pracę, którą kocham – po raz pierwszy w życiu czuję zadowolenie, niewiarygodny spokój.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie Emily w wieku dziesięciu lat. Jest na lekcji gimnastyki. Robi gwiazdy, a jej długie nogi wirują jak skrzydła wiatraka. Potem Emily stoi na drewnianym stołku i piecze chleb bananowy w puszkach po kawie, sadi kwiaty w plastikowych kubeczkach. Jej doniczkowe awokado sięga ponad parapet...

Pora spać.

Na parę minut przed ślubem stoję z Lil i Emily w szatni Trader Vic's, czekając na sygnał, że moja córka ma wyjść na taras. Lil, śliczna w szarym szyfonie i perłach, opowiada Emily o dniu, w którym pięćdziesiąt pięć lat temu poślubiła Aarona.

– Wydaje mi się, że to było wczoraj – mówi tęsknie.

Potem ciocia Pearl, wystrojona w czerwony atłas i z migoczącą sztucznymi brylancikami spinką we włosach, wchodzi do szatni, mamrocząc: „Tylko zerknę”. Tuli Emily do pokaźnego biustu i opowiada jej o swoim ślubie, który odbył się pięćdziesiąt lat temu.

– Nigdy nie idź do łóżka w gniewie – radzi ochrypłym od



papierosów głosem.

– Niech on nigdy nie ma pewności – dodaje towarzysząca jej kuzynka Linda. Jej wielkie orzechowe oczy zasnuwają się łzami wspomnień.

– Emily ma czterdzieści dwa lata! A on pięćdziesiąt jeden! To nie dzieci! – niecierpliwi się ciocia Pearl.

– Emily wie, co robić. Kocha mojego syna – warczy Lil. Na nadgarstku ma stroik z białych róż od Harry’ego.

Do drzwi puka kantor Feldman.

– Już pora! – woła.

– No dobra, pora to pora. Chodźmy – mówi Lil, całuje Emily i wychodzi.

Przez chwilę patrzę na moją córkę trzymającą bukiet białych róż – to ostatnie wspomnienie panięskich czasów. Wygląda przepięknie i promiennie – jej koński ogon przytrzymuje spinka z białych różyczek – a ja czuję, że się rozklejam. Prawie zapominam, że nowe atłasowe szpilki dają mi w kość, nie wspominając już o tym, że rwie mnie w kolanie.

– Mamo, już płaczesz – mówi Emily, zagryzając wargę.

– Wyglądasz jak bogini.

– Powtórzyłaś to już z pięć razy.

– No co ja na to poradzę. Jesteś moją córeczką i wyglądasz przepięknie.

– Mamo, muszę ci coś powiedzieć. Jestem w ciąży.

Czy ja się przesłyszałam? Przez chwilę nie mogę wykrztusić słowa. Takie uczucie pojawia się, kiedy wydarzy się coś kompletnie nieprzewidywalnego. Mam wrażenie, że odrywam się od ziemi i unoszę wysoko w górę, pod sam sufit.

– Mamo, nie płacz. Tusz ci się rozmazał. Zostaniesz babcią.

– Kiedy? – udaje mi się wykrztusić. Chwytam ją w ramiona.

– To piąty tydzień. Nie chcemy, żeby dziś się ktoś dowiedział. Pomyślą, że bierzemy ślub, bo musimy, a to nieprawda. Już wcześniej się na to zdecydowaliśmy. Więc nie mów nikomu.

– Nic dziwnego, że promieniejesz.

Ściskamy się, ja płacząc, rozmazując sobie makijaż. Poprawiam sukienkę Emily, a potem znowu rozlega się pukanie i kantor Feldman przypomina, że jest gotowy.

Idziemy za nim, trzymając się za ręce, długim czerwonym chodnikiem na taras, gdzie na krzesłach siedzą zaproszone osoby. Słońce zachodzi, zerwał się wiatr, ocean szumi. Powoli mijamy gości, którzy szepczą: „Jesteś piękna. *Mazel tow*”. Emily puszcza moją rękę i staje z Harrym pod chupą z różanych girland. Zajmuje miejsce obok nich razem z Aaronem i Lil.

Kiedy Harry i Emily składają przysięgę, nad ich głowami widać, jakby zatrzymane w kadrze, stado ptaków. Trzymam Lil za rękę. Wiatr porusza trenem Emily, lekko go unosi. Mrok opada na wodę, szary jak srebrny piasek.

Skupiam się na tym jednym momencie ogromnej miłości, wiecznej przysięgi – i powtarzam w myślach, że będę miała wnuka lub wnuczkę. Gdy padają słowa „póki śmierć nas nie rozłączy”, w końcu uświadamiam sobie, że miłość wiąże ludzi na całe życie, że tylko ona się liczy. I w tej chwili, jako świadek na ślubie mojej córki, czuję się spełniona i kompletna.

– Stoję tutaj jako stanowiąca o sobie osoba, gotowa spleść swoje życie z twoim – mówi Emily, patrząc Harry’emu w oczy.

– Kocham cię, lecz nie jesteś moją własnością – zapewnia on. Na czubku głowy ma podobną do guziczka fioletową atlasową jarmułkę.

– Nasze małżeństwo pomoże nam rosnąć w siłę, codziennie lepiej kochać się i rozumieć – recytuje Emily, wpatrzona z uwielbieniem w Harry’ego.

– Ogłaszam was mężem i żoną! Możesz pocałować pannę młodą! – woła kantor Feldman. Harry i Emily całują się, a goście krzyczą: „*Mazel tow!*”.

Ciocia Zoë rzuca płatki róż, wujek Nate monety, a dzieci je zbierają. Potem pojawia się fotograf, który robi zdjęcia. DJ puszcza muzykę, barmani serwują drinki. Goście stają w kolejce do stołów, gdzie nakładają na talerze plastry łososia, sałatki, chińskie potrawy. Wszystko wygląda przepięknie – na każdym

stole są cukrowe serduszka, a w małych kanciastych wazonach róże w odcieniu fuksji, które układałam razem z Emily.

Zaczynam się witać z gośćmi; przybyło wielu moich znajomych.

– Kochanie, bardzo seksownie wyglądasz w tej sukience – mówi Janet. Ona sama wystąpiła w czerwieni, jak na walentynki przystało. Włosy ma upięte we francuski kok ozdobiony małutkimi brylancikami. Jej nowy chłopak Paul jest przystojny, ma białe kędzierzawe włosy i życzliwe błękitne oczy. Wydają się szczęśliwi i zakochani.

Tańczę z Aaronem do szybkiej piosenki. On obraca mnie i przechyla. Chwali się, że kiedyś wygrywał konkursy taneczne.

Śmieję się.

– Jesteś zabawny. I dobrze tańczysz.

– Ty też nieźle – odpowiada, wirując ze mną.

Muzyka cichnie. Goście idą do bufetu, zbierają się w grupkach. Siadam przy stole, aby złapać oddech. Wyjmuję z wieczorowej torebki błyszczak. Kiedy rozlega się dzwonek komórki, odbieram ją w nadziei, że to biuro rzeczy znalezionych z Trader Vic's kontaktuje się ze mną w sprawie mojej zaginionej perłowej bransoletki.

– Cześć, Anny, tu Marv.

Mocno zaciskam palce na telefonie.

– Jak się czujesz? – Serce mi łomocze.

– Dobrze jak nigdy – odpowiada dziarsko. – Chciałem ci podziękować za twoje kartki.

– Nie mogę rozmawiać. Jestem na ślubie Emily i Harry'ego.

– O, gratulacje. Może byśmy kiedyś wyskoczyli na kolację czy coś w tym stylu...

– Nie, nie sędzę. Muszę kończyć. Powodzenia.

Odkładam komórkę. W głowie lekko mi się kręci, jak zawsze, kiedy słyszę głos Marva. Ale potem przypominam sobie, że wszystko skończone i tak naprawdę łączy mnie z nim już tylko sentyment, który nigdy nie zniknie. Zdumiewające. Czasami los wiąże nas z niewłaściwą osobą, a mimo to te więzy pozostają na

zawsze. Kiedy teraz spoglądam wstecz, widzę, że Marv musiał się pojawić w moim życiu, żebym mogła znaleźć się w tym miejscu, w którym teraz jestem.

Wieczór mija bardzo szybko, światło ustępuje ciemności, wszystko wiruje. „Wnuk – powtarzam sobie – wnuk”. Zupełnie jakby coś się we mnie obudziło, coś się naprawdę zmieniło. Po raz pierwszy w życiu czuję, że znalazłam się w zupełnie innym miejscu, a moja przeszłość się zamknęła. Tańczę, tańczę swinga z Janet, a potem z Paulem, aż stopy mi puchną i muszę zdjąć szpilki. W końcu grają horę i bierzemy się za ręce z gośćmi, krążymy po sali tak szybko, że brak mi tchu. Starsi krewni z balkonikami siedzą przy stolikach, klaszcząc i śpiewając.

Po pierwszych dźwiękach *Hawaiian Wedding Song* parkiet pustoszeje, a Emily i Harry tańczą przytuleni, patrząc sobie w oczy.

Muzyka cichnie. Kelner wtacza stolik z truskawkowym tortem, a kiedy Emily i Harry go kroją, goście wołają: „Pomyślcie życzenie!”.

Wszystko toczy się bardzo szybko. Harry prosi mnie do ostatniego tańca. Szepcze, że powie rodzicom o dziecku jutro przy śniadaniu.

– Kocham cię, Harry.

– Ja ciebie też.

Wirujemy, wirujemy, w głowie mi się kręci i jestem szczęśliwa. Po paru kolejnych piosenkach światła się zapalają. Pora się zbierać, schować wspomnienia do albumu. Krewni walczą o bukiety ze stołów. Ci, którzy przyjechali z daleka, obiecują się spotkać rano przy śniadaniu, całują się w powietrzu i odpukują w niemalowane drewno na szczęście.

Emily zawija kawałek tortu w papier.

– Masz, mamó. Włóż do zamrażalnika. Zjesz go na swoim weselu.

Wracam do siebie po północy. Moczę spuchnięte stopy w wodzie i wspominam każdy szczegół ślubu. Piękne momenty przemykają tak szybko jak wspomnienia. Raz po raz powtarzam

sobie, że będę babcią, i czuję radość, czystą radość. Dziękuję Bogu, że dał mi drugą szansę, żeby wychowywać dziecko.

## ROZDZIAŁ 33

Tego wieczoru mam wernisaż swojej wystawy. Do galerii przyszedł tłum. Stoję z boku, piję czystą wódkę i patrzę na ludzi. Z głośników płynie kubańska muzyka, pulsująca i zmysłowa. Mam na sobie czarną jedwabną sukienkę z długimi obcisłymi rękawami i owalnym głębokim dekoltem, a także buty na platformach z cienkimi, ozdobionymi szkiełkami paskami w kostkach. Ponadto, tak jak kobieta z obrazu *Uwolniona z pudełka*, ozdobiłam niski kok na karku girlandą z białych różyczek.

Przyjechali Emily i Harry. Brzuszek mojej córki, bardzo eleganckiej w luźnej czarnej sukience i perłach, lekko już się zarysowuje. Jej włosy związane w ładny długi kucyk ozdobione są grzebieniem z motylkiem z czerwonego kryształu – prezentem ode mnie. Harry wspaniale prezentuje się w czerni i mocno trzyma Emily za rękę. Jego gęste włosy są obecnie krótko obcięte i falują. Pracuje jak szalony. Ostatnio dom jego projektu, wzniesiony na wzgórzach Berkeley, otrzymał nagrodę.

– Mamo, twoje obrazy są cholernie wspaniałe. Kurczę. I super wyglądasz w tej sukience. Masz cudowne włosy.

– Podoba mi się *Dziewczyna z psem* – dodaje Harry. Jego orzechowe oczy błyszczą. – To Emily i Fred.

Kiwam głową.

– Zarezerwuję go dla was.

– Dziękuję. To piękny obraz.

Emily uśmiecha się do mnie.

– Mamo, jesteście z siebie dumni. – Spogląda na mojego drinka. – Nie pij za dużo.

Obejmujemy się. Patrzę, jak oboje wtapiają się w tłum. Myślę o tym, jak bardzo się cieszę, że zostanę babcią. Wnuki to takie szczęście. Nie mogę się już doczekać. Poza tym mam mnóstwo nowych planów. Rozpiera mnie radość. Bez względu na wiek można być sobą i żyć pełnią życia.

Muzyka staje się głośniejsza. W wysokich wazonach stoją egzotyczne szkarłatne kwiaty, które zorganizowała Inga. Nagle zaczynają nadchodzić kolejni goście. Cieszę się na widok malarzy

i pisarzy, z którymi studiowałam. Potem zjawiają się Janet z Paulem i Lisa z Johnem. Ściskamy się i skaczymy z radości.

– Kochanie, w dechę te twoje prace – mówi Janet, wystrojona w jaskrawą pomarańczową marynarkę z poduszkami na ramionach w stylu lat czterdziestych, krótką spódniczkę i buty na wysokich obcasach. Włosy ma ułożone w fale, a w jej uszach kołyszą się sięgające aż do ramion serduszka ze sztucznych brylantów. Paul gratuluje mi serdecznie.

– Kupuję *Damę w czerni* – oznajmia Lisa. Włożyła bajeczny dopasowany w talii płaszcz z fioletowego zamszu i bardzo wysokie szpilki. – To zachwycające prace. Jestem z ciebie bardzo dumna. Prawda, John?

– Gratulacje – odpowiada jej towarzysz, drobny mężczyzna w brązowej tweedowej marynarce.

– Kochanie, przyszło sporo boskich facetów. Bierz się za nich – prosi Janet.

– Jej to nie obchodzi, ma swoją pracę – rzuca Lisa, piorunując ją wzrokiem.

– Tylko wyciągnąć rękę – ciągnie Janet, mrugając do mnie. – Bierz wszystko.

– Dziś mam już wszystko. Kocham was, dziewczyny.

– Przestań, bo będę płakać – prosi Lisa.

– Zdzwoniemy się jutro.

Tłum jest coraz większy. To znani mi fani sztuki, dziennikarze z różnych gazet, młodzi artyści w podkoszulkach z Myszka Miki i sztucznych futrach, liczący się kolekcjonerzy, którzy obrzucają obrazy jednym szybkim spojrzeniem, jakby dzięki temu płótno zyskiwało rangę dzieła sztuki. Potem serce bije mi szybciej, bo widzę znaczek „sprzedane” na *Natasha wyszła i Muzach* – obrazie unoszących się w powietrzu kobiet.

Kiedy spoglądam na te swoje prace, widzę w każdej miniony czas. Inne życie. Inny szczyt do zdobycia. Po raz pierwszy czuję, że niczego mi nie brakuje. Wiem już, kim jestem. Wiem, że istnieją inne szczyty. Że czeka mnie nowa podróż.

– W jej malarstwie jest poezja – odzywa się drobna kobietka

w ogromnej chuście od Hermèsa na kruchych ramionach.

– O co chodzi z tymi pudełkami? – pyta inna, stojąca przy *Dziewczyźnie w pudełku*.

– Jakiś kwas, jak cytryny Cézanne’a – odpowiada towarzyszący jej mężczyzna.

– Al! On malował pomarańcze!

– Cytryny, pomarańcze, co za różnica? – Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Anny? Sam Stein.

Odwracam się do niskiego faceta z żabią twarzą.

– Tak, słyszałam o tobie – mówię. To znany kolekcjoner sztuki i sponsor niezależnych filmów artystycznych. Ma na sobie ekscentryczny zielony garnitur, a kapelusz w tym samym kolorze rzuca cień na jego okrągłą twarz i małe oczka.

– Interesują mnie twoje obrazy.

– Naprawdę?

Sam kiwa głową.

– Podoba mi się *Dziewczyzna w pudełku* i cykl *Za siecią*.

Wspaniale. – Wskazuje ponaddwumetrowe płótno przedstawiające kobietę wydostającą się z pudełka. – Te twoje prace różnią się od wszystkiego, co dotychczas widziałem. Pokazałaś jej duszę.

– Tak, właśnie.

Sam opowiada o finansowanym przez siebie filmie o siedemnastowiecznej malarce April Bourgeois.

– Malowała kobiety uwięzione w pudełkach. Twoje obrazy łączą przedziwne pokrewieństwo z jej studiami na temat odosobnienia lub prób wyrwania się na wolność. Ona opisywała emocje, które widzę w twoich pracach.

– Kurczę. To zdumiewające. Czyli też była dziwna – mówię ze śmiechem.

– Dziwność to zaleta – odpowiada Sam i jego szerokie żabie usta rozciągają się w uśmiechu, ukazując małe ząbki. – Tak jak April Bourgeois potrafisz oddać w swoich obrazach chorobę, smutek, introspekcję. – Sam poważnie. – Ten patronat artystyczny jest do bani. Jeśli artysta jest sławny, kolekcjonerzy



kupią nawet jego zasmarkaną chusteczkę. Będą się ślinić nad cegłą albo sznurkiem.

Tłumię śmiech.

– Ja kupuję nieznanymi artystów, zanim staną się sławni. Ha! Wiem, że piszesz *Kroniki viagry*. Uwielbiam tę bezczelność. Lubię Pana X. To kanalia.

– Każdy mężczyzna ma w sobie coś z Pana X.

Sam chichocze przeciągle i ochryple.

W galerii robi się tłoczno. W głowie kręci mi się od wódki i pulsującej seksownej kubańskiej muzyki.

– Wróć, kiedy się zrobi pusto. Kupię twoje obrazy do mojego filmu o April Bourgeois. Chcę przyjrzeć się im bliżej.

– Będę czekać na wiadomość od ciebie.

Sączę kolejnego drinka. Podnoszę głowę i widzę Ryana stojącego koło drzwi. Rozgląda się, jakby mnie szukał. Serce bije mi mocniej, ale czuję nagłe ukłucie wyrzutów sumienia.

Ryan dostrzega mnie i biegniemy do siebie. Jestem zdumiona, niemal wstrząśnięta. Ryan prezentuje się świetnie: cały na czarno, z długimi kędzierzawymi włosami. Chwytam się w mocne objęcia.

– Cieszę się, że cię widzę – mówię, zaglądając mu z bliska w oczy. – Kiedy wróciłeś? Ale się opaliłeś – trajkoczę nerwowo.

Ryan wzrusza ramionami.

– Jestem w domu od paru tygodni. Pojechałem do Włoch. Pływałem w Lazurowej Grocie. Zrobiłem świetne zdjęcia.

– O, Lazurowa Grota... Byłam tam jako osiemnastolatka. Woda wygląda jak błękitny aksamit...

Ryan patrzy na *Pływaczki*, trzymetrowe płótno znajdujące się za naszymi plecami. Kobiety skaczą na nim z wysokich skał, jasne ciała zawieszane w powietrzu, włosy trzepoczące na wietrze.

– Anny, rozwinęłaś się twórczo, te obrazy są... magiczne. Nie przestawaj tworzyć. Im więcej pracujesz, tym jesteś lepsza. Wiele tych prac widziałem na różnych etapach ich powstawania.

– To prawda. Mnie także widywałeś na różnych... etapach. Mam wyrzuty sumienia po naszym ostatnim spotkaniu...

– Anny, to przeszłość. Dziś zaczyna się przyszłość. – Ryan patrzy na mnie przenikliwie mądrymi oczami. – Te obrazy wspaniale cię uzupełniają. – Zerka na zegarek. – Muszę lecieć. Pozwól, że sfotografuję cię na tle *Pływaczek*. No, uśmiechnij się. Pokaż mi swój piękny uśmiech.

Błyska flesz.

– Przyślę ci je.

– Ryan, tak się cieszę, że cię widzę. Chcę...

– Wyjeżdżam do Irlandii. Wrócę latem. Będę o tobie myślał, Anny. – Całuje moją rękę. – Pamiętaj o tej zielonej kulce na szklanym pudełku. Wszystko się zmienia.

Patrzę, jak znika w tłumie. Cieszę się, że przyszedł i że nadal zależy mu na naszej przyjaźni. Wiem, że kiedyś go znowu zobaczę, i nagle wyrzuty sumienia stają się mniej dotkliwe. To wspaniały przyjaciel, a ja cenię sobie to, co nas łączyło.

Biorę następnego drinka i rozmawiam z Moniką wystrojoną w fioletową suknię. Towarzyszy jej miły facet, nowy wydawca gazety. Ma około czterdziestu lat i ogromną szopę czarnych włosów.

– Wspaniałe obrazy, Anny – mówi Monica. – Chcę kupić *Dziewczynę w czerwieni*.

– Przyjmij ją w prezencie za to wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

Monica wzrusza się do łez. Ściskamy się, obiecując sobie, że wkrótce porozmawiamy.

– Jutro przyślę następny felieton – mówię, posyłając jej pocałunek.

Przeciskam się przez tłum, przystając czasem, żeby przywitać się ze znajomymi – młodymi ze Starbucksa, parami z mojego budynku, nawet kilkoma mężczyznami, z którymi niegdyś zrobiłam wywiad. Widok otaczającego mnie życia przepelnia mnie radością. Potem tłum się rozchodzi i zostaje tylko parę osób.

Znajduję siedzącą za biurkiem Inge, która mówi, że Sam Stein kupił trzy obrazy i wróci jutro.

– Świetnie. Polubiłam go.

– *Natasha* jest sprzedana – oznajmia Inga z uśmiechem.  
– Kto ją kupił?  
– Niejaki Marv Rothstein – mówi, zaglądając w dokumenty.  
– Był tu?  
– Wcześniej, koło pierwszej. Powiedział, że przeczytał o wystawie w „Chronicle”. Długo przyglądał się twoim pracom. Bardzo go zainteresowały.

Inga włącza i wyłącza światło, sygnalizując, że wernisaż dobiegł końca.

Zapinam czarną aksamitną pelerynę. Dochodzi już prawie północ. Inga podaje mi stertę zaproszeń i plakat z *Natasha*, który wisiał przy jej biurku. Zwijam go i oplątuję gumką.

Na zewnątrz jest lodowato. Świeci biały księżyc. Postanawiam przejść się kawałek i wezwać taksówkę. Przecinam parking za galerią. Latarnie rzucają na chodnik długie pasma mętnego światła. Stukot moich wysokich obcasów niesie się echem w ciszy. Niebo jest pełne gwiazd. Chcę jak najszybciej dotrzeć do domu, żeby podumać o tym wspaniałym wieczorze.

– Cześć, Anny.

Odwracam się.

Marv, ubrany w długi czarny płaszcz, stoi przy samochodzie. Jego włosy lśnią srebrem w mroku. Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu.

– Pięknie wyglądasz, Anny.

– Jak się czujesz? – pytam. – Minęło sporo czasu.

Marv kiwa głową.

– Sprzedałem firmę. Już nie pracuję.

Latarnie rzucają na jego przystojną twarz szpecące, szarawe światło. Wydaje mi się bardziej zgarbiony, jakiś starszy, jakby osuwał się w to miejsce, w którym za nic nie chce się znaleźć. Doświadcza tego, czego nie toleruje w sobie ani w swoich kobietach.

– Cieszę się, że doszedłeś do siebie i dobrze się czujesz – mówię cicho.

Marv odpowiada uśmiechem.

– Fantastyczna wystawa. Już ją widziałem.  
– Tak, Inga powiedziała, że kupiłeś *Natashę*.  
Marv przymyka oczy w zamyśleniu.  
– Zdumiewający obraz. – Wspomina, jak widział w moim mieszkaniu niedokończone płótna. – Nigdy nie sądziłem... Jestem zaskoczony... – Milczy przez chwilę. – Lubię Pana X. Czytuję twoje felietony.  
– Wzorowałam tę postać na tobie. Nie przeszkadza ci to?  
– To fajny facet. Jest... młody. – Marv spogląda na zegarek. – Proszę, chodź ze mną na drinka. Mam ci coś do powiedzenia. Jutro wyjeżdżam do Paryża i muszę z tobą porozmawiać.  
– Już rozmawialiśmy.  
– Teraz jest inaczej. – Bierze mnie za rękę.  
– Jedziesz do Paryża z Debrą?  
– Już się z nią nie widuję. – Marv stawia kołnierz płaszcza. – Chcę, żebyś to ty pojechała ze mną do Paryża. Wyjeżdżam jutro w południe. Mam dla ciebie bilet.  
– Nie mogę. Nie kocham cię już w ten sposób. Coś się zmieniło.  
– Anny, chcę się z tobą ożenić.  
– Nie potrafiłeś mi dać nic więcej niż poniedziałkową noc, a teraz nagle się oświadczasz?  
– Wszystko się zmieniło. Dotarliśmy do końcowego etapu naszego życia. Anny, masz sześćdziesiąt sześć lat. Wkrótce stuknie ci siedemdziesiątka. Jesteśmy starzy, zostało nam niewiele czasu. Jak sądzisz, jak długo potrwa twoja kariera? Nie odtrącaj miłości.  
– To ty ją odtrąciłeś dawno temu. Nie interesujesz mnie już pod tym względem. Mam wspaniałą pracę. Zostanę babcią. Mam nowe cele i widoki. Nigdy nie byłam szczęśliwsza. Przyszłość nie zależy od wieku.  
Marv milczy, jakby podejmował decyzję.  
– Pobierzemy się w Paryżu.  
Odwracam się i odchodzę. Nie oglądam się, gdy Marv mnie woła. Przyspieszam kroku. Gwiazdy promienieją w mroku. Tramwaje suną Market Street, przykucnięci na rogach ulic muzycy

grają na instrumentach. Jutro to nowy początek. Jak zawsze. Każdy dzień jest świeży i ekscytujący.

Zatrzymuję taksówkę i siadam na tylnym siedzeniu. Jadąc stromą ulicą, patrzę na miriady migoczących i lśniących srebrem gwiazd. Są przepiękne, jak brylantowa brosza. Boże, gwiazdy to jest coś. A potem widzę, jak jedna z nich odrywa się od pozostałych, zmienia kurs i wzbija się wyżej.

*E. H.*

## PODZIĘKOWANIA

Serdeczne podziękowania dla moich zięciów: Gary'ego Ostermana za nieustanną pomoc i wysłuchiwanie mnie oraz Henry'ego Ungera. Dla Patti Axelrod za niekończące się wsparcie i pomoc w przeniesieniu tej powieści do Hollywood; dla producentów Wendy i Alana Riche'ów za ich wiarę. Dla Marlene Levinson za bezwarunkową przyjaźń i zaufanie. Dla Aarona Kaplana, Patti Felker, Chrisa Abramsona, Olgi Vezeris za wielką pomoc w kontaktach z zagranicą, a także dla Matthew Carliniego. Dla Bradly Bessey, Franka Sancheza, Gabriela Bessey Sancheza i Alana Rinzlera, który jako pierwszy uwierzył w ten projekt, oraz Davida i Kathy Lernerów. Dla Jerry'ego Astrove'a, Donald'a Alexa, Billa Bowkera, Sue Lakin, wspaniałej pisarki i redaktorki, dr Janine Canan, Phyllis Koestenbaum, Rose Wang, dr Billa Smitha, dr Arlene Keller, dr. Johna Chana, dr Sydneya Williamsa, który otworzył mi oczy, dr Jane Melnick, Tary Cortez za pomoc, Rikiego Rafnera i moich byłych studentów z San Francisco State University OLLI. Gorące podziękowania dla Arshy Michaels, Cathy Fiorelli, Francee Covington, Sue Woods, Vivian Zetlin i Normy Kaufman. Dla Barry'ego Millera, Davida Weintera, Pammy Mittle, Judy Camp, Jeffrey'a Flatgaarda, Steve'a Saroyana, Susan Savage, Diane Rosenberg, Roberta Rose'a, Andy'ego Altmana, Mii Stageberg, Miry Paskinov, Michelle Spitz i zawsze Barbary Brenner za naszą przyjaźń do grobowej deski oraz Judy Cohn – za jej śmiech. Dla Laurie Marshall, Marilyn Schneider i Marshy Mayer oraz Pat Andrews i Baseball Mary, Eileen Williams, Barry'ego Millera, Davida Weintera za nieustanne zaangażowanie, Billa Zzbowkera, Davida Dahla, Suzanne Spitz, Patti Felker, Chrisa Abramsona i Wendy Knecht.

I specjalne podziękowania dla mojej muzy Lycii.



Fot. Billy Winters  
BARBARA ROSE BROOKER jest pisarką, dziennikarką,  
wykładowczynią uniwersytecką i obrończynią praw człowieka.

Była pomysłodawczynią pierwszego w historii Marszu Seniorów, który miał stanowić protest przeciwko dyskryminacji osób starszych.





